

TOM CCXLI

De. II. 1.

ROK 61

SERYA 8

ZESZYT 723

**BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.**

**MARZEC.**

**1901.**

---

**TOM I. — ZESZYT 3.**

---

**WARSZAWA.**

**Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.**

—  
**1901.**

## *Źreść zeszytu.*

	Str.
I. POŻEGNANIE STULECIA, — przez Szymona Askenazego . . . . .	405
II. STOSUNKI EKONOMICZNE W POZNAŃSKIM, — przez Poznańczyka . . . . .	433
III. SPRAWA DOŁĘGI, powieść (dalszy ciąg), — przez Józefa Weysenhoffa . . . . .	445
IV. ARNOLD BÖCKLIN, — przez Stefana Popowskiego	474
V. KRONIKA PARYSKA, — przez Antoniego Potockiego . . . . .	489
VI. PRAWO I HYPOTEZA W BADANIU PRZYRODY, — przez S. Kramsztyka . . . . .	508
VII. STOWARZYSZENIA ROLNICZE, — przez J. Jeziorańskiego . . . . .	513
VIII. PIŚMIENICTWO.	
Prof. dr Franciszek Piekosiński: „Zdobycze szlachty polskiej w dziedzinie prawa publicznego w wieku XV. Kraków, 1900, — przez A. Rembowskiego . . .	555
Prof. dr G. Tschermak: „Podręcznik mineralogii“, dzieło, zawierające 840 drzeworytów i III tablice kolorowe. Z piątego wydania niemieckiego przełożył, uzupełnił i przedmową historyczną opatrzył Józef Morozowicz. (Wydanie Kasy pomocy dla pracujących na polu naukowym, imienia d-ra Józefa Mianowskiego). Warszawa, 1900, — przez Jana Lewińskiego . . . . .	561
IX. KRONIKA MIESIĘCZNA.	
Z żałobnej karty: ś. p. Konstanty Górski. — „Ceres“. — Nowy gmach dla teatru „Rozmaitości“. — Schronisko dla podupadłych artystów. — Estetyka i duchowienstwo. — Wdzięczna pamięć. — Ś. p. Wojciech Gerson . . . . .	565
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	589



De. II. 1.

# Pozegnanie stulecia.<sup>1)</sup>

---

## II.

Sankcye wiedeńskie i paryskie 1815 roku przywróciły porządek w Europie. Przywróciły go razem w obu zakłóconych dziedzinach: międzynarodowej i państwowej. Harmonia i przyjaźń znów zakwitły pomiędzy mocarstwami. Bezpieczeństwo i prawo zeszyły napowrót pomiędzy rządy a ludy. Mądrość kongresowa obejrzała swoje dzieło i uznała, że dobre jest. Obwołano Alleluja zgodnym chórem dyplomatów, myślicieli a nawet wieszczów. Chwalba uderzyła w tony najgórnniejsze, niemal bluźniercze. Spełniło się jakoby objawienie Apokalipsy. Pojmana, spętana i zapieczętowana na odludnej wyspie „bestya, wychodząca z morza“. Stanęły na czterech węglach świata cztery potęgi związkowe, trzymając cztery wiatry nowożytnego ducha, „aby nie wiały na ziemie“. Na „stolicy wielkiej, białej“ zakrólowała udzielnie zbawcza sędziowska władza. Pod nowem niebem świeża spoczęła gleba: „nigdzie ani smętku, ani krzyku, ani boleści“.

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 1.



Szczytny zespół tych hymnów samochwalecznych ponurym zgrzytem rozdzierała rzeczywistość. Zaiste, wielki i powszechny święcili tryumfzwiązkowcy. Przecież li tylko wojenny, broni, nie pokojowy, ducha. Gdyż tylko zbrojne skojarzenie interesu, nie duchowe idei, było arką ich przymierza, ostrogą ich wysiłków, owocem ich wygranej. Jak sprzymierzili się i wysilili, tak w końcu wygrali każdy dla siebie, w imię własnych interesowych pobudek obawy, odwetu, albo pożądlivosti, lecz bynajmniej nie dla ludzkiego ogółu, nie w imię jakichkolwiek ideowych przykazań prawnych, dziejowych, albo Bożych. Napróżno okrywali się obłudnym pozorem takich wyższych, dobroczynnych zamierzeń. Napróżno rzekomi pogromcy niewiary, wywrotu i bezprawia wywieszali rzekome godła chrystyanizmu, konserwatyzmu, legitymizmu. Kiedy na onym świętobliwym Kongresie wiedeńskim przymuszano katolickich Belgów do unii z protestancką Holandją pod nienawistnem berłem różnowiercy Orańczyka, albo kiedy, po zaciekłych targach ks. Metternicha z kardynałem Consalvim, Apostolski cesarz Franciszek I, wbrew protestom Piusa VII, najspokojniej zabierał tłusty kęs Legacyi papieskich i kładł załogę austryacką do Ferrary: cóż w tem wszystkim naprawdę było „chrześcijańskiego“? A znowu cóż było rzeczywiście „zachowawczego“ w konfiskacie starożytnej republiki weneckiej przez Austryę, albo w zagarnięciu blisko połowy Saksonii, odwiecznej ojcowizny wettyńskiej, przez Prusy? Cóż właściwie było „prawnego“ w okrojeniu Księstwa Warszawskiego, w rozdarciu Włoch na szmaty, w pocięciu na skrawki Rzeszy niemieckiej? Tak to od pierwszej zaraz chwili, na każdym kroku, w każdej rzeczy, przebijał zgrzytliwy rozdźwięk między nazwą a treścią twórczości kongresowej. Sławione arcydzieło okazywało się w istocie mizernem partactwem. Okazywało się fatalną łataniną sprzeczności, półśrodków i niedomówień. Okazywało się poronionym płodem oportunistów a obłudy, krótkowidztwa a niekonsekwencji, zapamiętałości a zakłopotania. To panaceum na wszelkie choroby wieku, zowiące się Aktem Zamknięcia, lub Świętem Przymierzem, było w gruncie rzeczy tylko szarlatanską receptą, która skrywa do czasu zewnętrzne chorobliwe objawy, wpędzając je do wnętrza ustroju i pogarszając samą chorobę. Nie rozwiązano gordyjskiego węzła najważniejszych i najaktualniejszych zagadnień publicznych, lecz go rozcięto, a raczej ponacinano, postrzępiono w stu miejscach tępemi nożycami dyplomatycznymi. Wielkie zagadnienia europejskie: sprawa wschodnia i polska, włoska i niemiecka, wielkie zagadnienia społeczne: sprawa obowiązków i praw obywatelskich, równouprawnienia cywilnego i politycznego,—zostały bądź w całości pominięte milczeniem, bądź przygodnie, konwencyjonalnie, lub też zgoła naopak, za-



łatwione od ręki. Braterskie hasła w rzeczach sąsiedztwa, ojcowskie w rzeczach rządzenia, uroczyście objawiane światu w namaszczonej inwokacjach wiedeńskich i paryskich, jednakowo nieznośnym rozbrzmiewały fałszem. Pod udaną bratnią spójnią żarzyło się i zaogniało zażarte współzawodnictwo mocarstw. Pod mniemaną patryarchalną sielanką ciążył i rósł twardy przymus rządów. Odżyły na nowo najniezdrowsze, najopłakańsze tradycje przeszłowieczne. Wprawdzie niewszędzie już w całej pierwotnej doskonałości i pełni. Doskonale i zupełnie odżyć już nie mogły, ani w międzynarodowym, ani w państwowym zakresie. I tutaj, i tam, wypadło z konieczności poczynić przynajmniej niektóre ustępstwa dla pojęć zwyciężonych. Takim ustępstwem było stworzenie Królestwa Polskiego. Takim—niektóre karty ustawodawcze, bądź nadane, bądź przyrzeczone. Ale to były kompromisy ulamkowe, wyjątkowe, stąd niepewne. Niepewne zwłaszcza, o ile one same, w drodze samorodnego rozwoju, nie zdobędą sobie własnej, niezawisłej podstawy bytu. Gdyż oczywiście ponad temi wymuszonymi wyjątkami górowała nieskończenie, zalewała je zewsząd, pochłaniała i znosiła wręcz przeciwna panująca reguła polityki, zarówno w międzynarodowej, jak w państwowej dziedzinie. Duch rozbiorczy w jednej, duch wsteczny w drugiej, był prawdziwym tryumfotorem, niewiele krępowany onemi przygodnymi wyjątkami, a dążący z natury rzeczy, pośrednio lub bezpośrednio, rychlej czy później, do doszczętnego ich zagładzenia. Dwie wielkie zdobycze myśli nowoczesnej: równość obywatela przed prawem, narodu przed ludzkością, w samej zasadzie zostały dotkliwie sponiewierane, o ile w całości nie zostały zaprzeczone. Owóz, ta zgubna podwójna negacya nie uszła, nie mogła ująć bezkarnie. Pod rozkładowym jej wpływem od pierwszej chwili zaczęły kruszeć, niebawem rysować się, w końcu chwiać się i walić wszystka kongresowa budowa. Zmilczana sprawa wschodnia najwcześniej, natychmiast, niebezpiecznego dostarczy fermentu. Zgoła z nią niewspółmierne, na pozór całkiem od niej oderwane, a przecie w utajonym będące z nią związku, odezwą się zlekceważone zachodnie sprawy społeczne i narodowe. Wybuchnie ostatecznie wielka wojna na Wschodzie, odpowie jej wielka rewolucya na Zachodzie, zagrzmie wreszcie pośrodku wielka wojna rewolucyjna. Do takich wyników, po kilkunastu zaledwo latach, miała doprowadzić powszechna pacyfikacya zewnętrzna i wewnętrzna, okupiona kosztem tak ciężkich ofiar, na wieczne jakoby ustaloną czasy. Na takim rychłem a zupełnem miała skończyć bankructwie. Nie mogła prowadzić i kończyć lepiej, ani inaczej. Sztuczna razem i połowiczna, była zarówno i błędem, i urojeniem. Polegała, koniec końcem, w zasadniczej swojej osnowie, na podstawieniu martwych i jałowych założeń chwi-

lowego wyrachowania zamiast koniecznych i rozwojowych założeń historycznych. W tem tkwiła klątwa, w tem ułudność kongresowej roboty. Koło dziejów wstecz się nie cofa. Zahamowane na razie w polowie swego obrotu, musiało wnet dalej potoczyć się naprzód, druzgocąc i precz odrzucając tymczasowe, czysto mechaniczne hamulce kongresowe, z rwistszym tylko i gwałtowniejszym rozpędem, z niepowetowaną stratą zdrowia, sił i spokoju ludzkości, z niezmierną szkodą dla przyrodzonej, a opaźnianej i paczonej, ewolucyi dziejów politycznych Europy.

Rozkład dzieła kongresowego, w najrozmaitszej postaci, stopniu i sposobie, lecz nie bez łącznego powinowactwa najodleglejszych zjawisk rozkładowych, równolegle zaczął się, odbywał i dokonał, w krótkim przeciągu niniejszego piętnastolecia, we wszystkich, „restaurowanych“ na nową modłę, europejskich ustrojach mocarstwowych.

Francya, pośrodku tych ustrojów, nasamprzód zatrzymuje uwagę. Przedstawia ona, w rzeczy samej, rzadkie i uderzające widowisko. Wielki i ambitny naród, przed chwilą rządcą świata, naraz strącony z zawrotnych szczytów napoleońskich, doświadczywszy raptownej losów odmiany, znalazł się, niby szaleniec i winowajca, pod kuratelą i różgą Europy. Dopiero co był posyłał swoje zwycięskie legiony do Rzymu, Wiednia, Berlina, Madrytu i Moskwy: teraz oglądał podwakroć mściwe armie związkowe, wkraczające do Paryża. Straty materyalne, upokorzenia moralne, równie były głębokie i dotkliwe. Pozbawiona Francya, za jednym zamachem, hegemonii europejskiej, drogocennych prowincyi nadreńskich, belgijskich, włoskich, kilkunastu milionów ludności, ukarana podatkiem kontrybucyjnym kilkuset milionów, poniżona dłuższym pokojowym postojem półtorastatysiąca nieprzyjacielskiego żołnierza. Wrócił z Luwru Apollo do watykańskiego Belwederu, Wenera do Galeryi florenckiej, wróciły z Łuku Tryumfalnego korynckie rumaki i lew bizantyński na Plac św. Marka, z Pałacu Inwalidów wróciła do Poczdamu szpada Fryderyka Wielkiego. Zaś natomiast do opróżnionych Tuileryów wszedł z powrotem restaurowany Bourbon, mając za świętę pół miliona sprzymierzonych zbawców, rossyjskich, pruskich, austryackich i angielskich. Przyszedł Ludwik, nazywający siebie XVIII-tym, w nieprzerwanej rzekomo kolei sukcesyjnej, i liczący sobie osiemnasty rok panowania, jak gdyby nie istniała dla niego heroiczna narodowa doba republiki i cesarstwa, kiedy Francya, bądź co bądź, w najdumniejszej, najwspanialszej postawie, ofiarą krwi swojej najlepszej, broniła się od najazdu i wstrząsała posadami świata, a kiedy on, król francuski, w towarzystwie metresy i dworaków wycierając cudze kąty, schroniony bezpiecznie na łaskawym chlebie u wrogów swego kraju, żywił się z subwencyi, płaconej w rublach, florenach, talarach



i funtach. Po epickim „małym kapralu“ z pod Piramid, Marenga, Austerlitzu, przyszedł Bérangerowski „królik z Yvetot“, stary, podagryczny pensyonarz z Werony, Warszawy, Mitawy i Hartwellu, niepozbawiony wprawdzie zdrowego rozsądku i pewnej rodowej powagi, ale obojętny, wygodny epikurejczyk, doskonały, skostniały egoista, znieczulony oddawna, wyziębiony ze wszelkich żywszych uczuć dla własnego narodu, a bodaj i dla własnej rodziny. Cała ta rodzina bourbońska, odcięta od narodu, przywrócona obcą przemocą, sama wewnątrz siebie rozstrzelona, wyczerpana duchowo i nawet cielesnie, już martwa politycznie, skazana na blizkie wymarcie fizyczne, na prawym, ongi świetnym, tronie swoich przodków była teraz jednym oplakany anachronizmem. Król schorzały i bezdzietny, który dosyć już miał wędrówki po stromych stopniach wygnania i pragnął umrzeć spokojnie u siebie w domu, tyle jeszcze posiadał praktycznego zmysłu, że w pewnej przynajmniej mierze objawiał ostrożną wstrzeźliwość wobec nieodwołalnie dokonanych faktów nowego porządku społecznego, liczył się poniekąd z rzeczywistością i nie lubił zadzierać zbyt ostro i swawolnie z niebezpieczną potęgą opinii publicznej. Przeciwnie, jego brat a sukcesor, pomimo siwych włosów i twardych doświadczeń, pozostał niepoprawnym Don Kichotem wszystkich widm niepowrotnej przeszłości, pozostał z zasady i usposobienia egzaltowanym rycerzem skrajnej, bezwzględnej reakcji; a dotrzymywali mu kroku, jeśli go nie prześcigali, w tych zgubnych zapędach zapamiętałego wstecznictwa, dwaj jego synowie, obadwaj bez męskiego potomka, choć również już nie pierwszej młodości, najbliżsi po stryju i ojcu następcy tronu, jedyna a krucha nadzieja dynastji. Istniały tym sposobem w Tuileryach naraz dwa całkiem niezgodne rządy: jeden oficjalny króla w pawilonie Flory, drugi, półoficjalny, brata i synowców królewskich w pawilonie Marsan, bezustanku krzyżujące się, niekiedy jak najostrzej zwalczające się nawzajem. A zarazem tuż obok, w Palais Royal, już przygotowywał się w cichości rząd trzeci, kuchyna królewskiego, śmiertelnie znieawidzonego od krewniaków, grającego z nimi starą grę orańską ze Stuartami, którą sam odziedziczył po ściętym ojcu, a którą powolniej, uczciwiej i sprytniej prowadzi i wygra z Bourbonami pierwszy i ostatni koronowany Orleańczyk. Jawne w rodzinie monarszej niesnaski nie przyczyniały się oczywiście do poprawienia jej stanowiska, do zmniejszenia jej niepopularności w kraju. Pomiędzy krajem a dynastją, wygnaną przez naród, narzuconą przez zagranicę, leżała cała przepaść dokonanych przewrotów i zdobyczy politycznych i społecznych. Leżała tem<sup>ś</sup> samem głęboka nieufność narodu, wynikająca z uzasadnionego przewidywania, iż zechcą go obecnie pociągnąć do odpowie-



działności za tante przewroty, że zarazem zechcą wyzuć go z tamtych zdobyczy. Wprawdzie otrzymano pod tym względem pewne uspakajające rękojmie. Taką rękojmię formalnie stanowiła nadana przez Ludwika karta konstytucyjna. Warowała ona równouprawnienie obywateli, tolerancję wyznań i przekonań, nietykalność spełnionych prawnie zmian własności, moc obowiązującą nowych kodeksów, niezawisłość sądownictwa, kompetencję prawodawczą i budżetową wyborczego przedstawicielstwa narodowego. Niezawodnie, skądinąd wiele pozostawiała do życzenia: udzielona była w archaicznej postaci „nadania i koncesyi“, zatrzymała przy królu wyłączną inicjatywę prawodawczą, zaprowadziła niepopularne parostwo dziedziczne, przepisała dla izby poselskiej nadmierny cenzus podatkowy, ścieśniała tym sposobem do kilkudziesięciu tysięcy liczbę uprawnionych wyborców czynnych dwudziestopięciomilionowego narodu, wreszcie zawierała jedną, nieobliczoną doniosłości groźbę, fatalny artykuł czternasty, — fatalne zaiste ostrzeżenie dla dzisiejszych gdzieindziej powikłań, — zastrzegający dla króla, poza obrębem jego prerogatyw konstytucyjnych, przywilej „wydawania zarządzeń i ordynansów, niezbędnych dla zachowania praw i bezpieczeństwa publicznego“, czyli poprostu prawną możność wywrócenia konstytucyi, legalne narzędzie zamachu stanu. W każdym razie jednak, mimo wszystkie te braki, karta ustawodawcza stanowiła tymczasem nader pożądaną i drogocenną porękę dla narodu. Ludwik, chociażby dla miłego spokoju, gotów był ją uszanować. Lecz inaczej myślało jego otoczenie najbliższe. Razem z królem i rodziną królewską napłynęła z powrotem potężna fala wychodźcza, wyrzucona za granice kraju przez burzę rewolucyjną; powrócił „markiz Carabas“, emigrant zbieżony, rozżalony, nieprzejednany, dopominający się odrazu trzech rzeczy: pomsty za doznane krzywdy, opróżnienia zajętych przez społeczeństwo wakansów, powrotu utraconej własności. Proskrypcya, epuracja, restytucya, tak brzmiało samobójcze hasło „ultrasów“ francuskich, mieniących siebie prawowiernymi, zachowawczymi rojalistami, obrońcami tronu i ołtarza, choć byli na prawdę najgorszymi wrogami i monarchii, i samych siebie. Gdyż urzeczywistnienie tamtego potrójnego ich hasła równało się oczywiście zniweczeniu karty konstytucyjnej, która, jeśli była gwarancją dla narodu, była nią bardziej jeszcze dla korony. Pojmował to i potępiał prostym rozsądkiem Ludwik; „oni mnie samego — mawiał — gotowi epurować“; wstrzymywał, póki mógł, ślepych zapaleńców, a mógł niewiele i niedługo, skoro do nich, do najgorętszych, należała własna jego najbliższa rodzina, wszyscy jego prawi sukcesorowie, czyli widocznie należała przyszłość. Wadliwy system wyborczy zaciemniał zgoła odbicie istotnej

myśli narodowej w parlamencie, a tem samem dawał złudzenie potęgi ultrasowskiemu stronnictwu. Rządziło ono swobodnie w sejmie, wszechmocne w izbie parów, wkrótce przemożne w poselskiej, wlokąc za sobą umiarkowany środek „doktrynerów“, uczciwych, uczonych, dobrze myślących i dobrze perorujących, a pozbawionych wszelkiego politycznego zmysłu, zahukanych przez skrajną prawicę i wysługujących się jej wbrew własnemu lepszemu przekonaniu. Po drugiej stronie stanęła nieliczna garść „independentów“, przedstawiających owoczesną najcenniejszą treść narodowego duch. Przedstawiali oni właściwie oświecone mieszczaństwo, — co im dziś bywa srodze wytykane z obu stron przeciwnych, sposobem najnieдорzeczniejszego, bo skrót anachronistycznego zarzutu, — to jest jedyną, uświadomioną naówczas, przodującą część narodu, mieszczaństwo zresztą w nader szerokim zakresie, gdyż aż do warstw najliczniejszych pół miliona nowych właścicieli, stworzonych przez rewolucję, umocnionych przez kodeks i związanych całym swoim bytem z utrzymaniem ustalonego nowego porządku rzeczy. To stronnictwo, pierwotnie z kilku zaledwo głów poselskich złożone, było parlamentarnie całkiem bezsilne i odosobnione; lecz właśnie w tem zupełnem odosobnieniu, w widomem pogwałceniu przez fikcyjną większość sejmową, w oczywiście niesłusznem i opacznem ustosunkowaniu swojej moralnej wziętości u narodu a liczebnej nicości w parlamencie, czerpało groźną moc wybuchową, popychane zarazem z konieczności, w osobie najrozwazniejszych i najspokojniejszych swoich przywódców, na tory niejawnego, niekonstytucyjnego oporu. Jakoż prądy opozycyjne, nie znajdując należytego upustu na powierzchni istniejących form ustawodawczych, skryły się pod spody życia publicznego, gdzie skłębić się musiały w tem gwałtowniejsze podwodne wiry: wnet cały kraj pokryty siecią tajnych związków spiskowych, na poły obronnych, na poły już wprost zaczepnych i wywrotowych. Zmieniały się tymczasem osoby kierownicze w rządzie, aż siedem kolejnych zmieniło się ministerów, trafiała się wśród nich jedna i druga trzeźwiejsza ministeryalna głowa, bywały krótkie przebłyski samowiedzy niebezpieczeństwa ale nikt nie potrafił wstrzymać monarchii na ślizkiej pochyłości, po której staczały ją obłąkane ręce zbyt gorliwych przyjaciół. Przez pierwsze pięciolecie w niejakim jeszcze stopniu miarkował zagorzalców Ludwik XVIII; potem, sam wytracony z równowagi przez morderstwo synowca, dał im folgę; gdy jego nie stało, gdy ich protektor i naczelnik, Karol X, ujął berło, najprostszym już i najburzliwszym szlakiem popłynięto ku doszczętnemu rozbiciu, na pełnych żaglach samowoli administracyjnej i prawodawczej. Kraj, zgoroszony drakońskimi nowelami karnymi i policyjnymi, zaniepokojony uchwałą miliardowej dla emigrantów indemnizacji, na ostatnie



zdobył się ostrzeżenie, przełamał z trudem przeszkody cenzusowe, i wyprawił do izby, zamiast nielicznych dotychczasowych mężów zaufania, zwartą ławę absolutnej większości liberalnej. Teraz korona miała do wyboru: albo stanowczą zmianę kierunku, albo zamach stanu. Po niedługim wahaniu, wybrano ostatecznie, wydobyto tamtą broń samobójczą, tamtą fatalną wyjątkową prerogatywę koronną, i mocą samowładczych ordynansów królewskich unieważniono wybory, przepisano nowe prawo wyborcze, zmniejszono liczbę mandatów, zmniejszono do jednej czwartej liczbę wyborców, zapewniono wśród nich bezwzględną przewagę, a właściwie wyłączność stanu szlacheckiego, uprzedzono zarazem protest opinii, zniesiono wolność słowa, jednym słowem, obalono konstytucję. Rękawica została rzucona. Naród ją podniósł, i na cztery ordynanse lipcowe odpowiedział w tem samym mgnieniu rewolucją 1830 roku.

Kiedy w stosunkach wewnętrznych francuskich dokonywał się ten chyży proces rozkładowy, w swoich wynikach końcowych będący wagi najpierwszej dla wszystkich, zwłaszcza dla pokrewnych ustrojów europejskich, — równocześnie, a w ścisłym związku, dokonywało się odpowiednie przeobrażenie zagranicznej polityki francuskiej. Na kongresie wiedeńskim, jak widzieliśmy, z powodu sprawy sasko - polskiej doszedł chwilowo do skutku akces Francyi do austro-angielskiego systematu, przeciw prusko-rosyjskiemu. Owóż, w tym względzie niebawem zasadnicza nastąpiła odmiana: Francya bourbońska wnet wycofuje się z tej kombinacji przechodniej, aby natomiast we wprost przeciwnym kierunku poszukać na własną rękę zbliżenia i porozumienia z Rosyją. Oczywiście, taki zwrot, jak niemal zawsze w podobnych wypadkach, nie odbywał się prostolinijnie, ani jednolicie, lecz przechodził rozliczne zбочenia, dość zawile i zajmujące, lecz obojętne tutaj, gdzie chodzi o wyznaczenie wytycznych prądów orientacyjnych. Prąd francusko-rosyjski, pod każdym względem znamieny, nadaje dopiero właściwe piętno dobie Restauracyi, towarzysząc jej w pełnym niemal jej przebiegu. Otwiera tę nową orientację Richelieu, pierwszy minister bourboński nazajutrz po Stu dniach, zamyka ją Polignac, ostatni minister w samym przededniu rewolucyi lipcowej, obadwaj za młodu, na emigracyi, na służbie cesarzowej Katarzyny cesarza i Pawła, nauczeni ufności i respektu dla potęgi cesarzy Aleksandra i Mikołaja. Nie należy przeczyć właściwej, specyficzej genezy tego obrotu. Nie mieszać bourbońskiej drogi z napoleońską. Napoleon, mając przeciw sobie Europę, mając przedewszystkiem Anglię, uznał się zmuszonym szukać ręki cesarzy Pawła i Aleksandra, po łącznych naraz doświadczeniach Trebbii i Eylau, Abukiru i Trafalgaru, zmuszonym szukać aliansu francusko-rosyjskiego, ażeby rozbić istniejący anglo-rosyjski. Od te-



go czasu z gruntu zmieniło się położenie. Punktem ciężkości spraw światowych stała się rywalizacja pomiędzy Anglią a Rosyją. Sprawa pomiędzy Anglią a Francją nieodwołalnie została rozstrzygnięta na korzyść Anglii. Odnowić ją nie leżało w interesie Francji, nie leżało oraz w interesie Europy. Nie zrozumiał tego po Waterloo rząd Restauracji, jak później, po Sedanie, rząd Republiki. Zawsze to była i będzie rzecz w polityce jedna z najtrudniejszych: pojąć w samą porę, gdzie wyczerpał się naprawdę pewien czynnik dziejowy, a inny się narodził, zamknąć rachunki z tamym, a z tym wraz otworzyć, dla dobra wyższych i ogólniejszych zadań przyszłości. Nie posiadali tej trudnej sztuki odnowieni Bourbonowie. W swojej polityce zewnętrznej, podobnież jak w wewnętrznej, nową treść rzeczy w stare, zjedzone, wlewali statki. Tak więc, tylko pozornie nawracając na drogę Tylży i Erfurtu, zgoła przecie przerwana pod Borodynem i Berezyną, w istocie nawracali po prostu, po omacku, do najciemniejszych załków zakulisowej dyplomacji zeszlowiecznej, świecąc sobie niedzisiejszą mądrością stanu z buduarów pani La Tournelle i pani Polignac, wykrzesaną onego czasu z pierwotnych natchnień Fryderyka II. Rozniecono mianowicie, po półwiekowej niemal przerwie, dawne świetne pomysły koalicyjne i rozbiorcze, mające rzekomo zapewnić Francji niektóre nabytki na pograniczu zachodniem i północnem, kosztem zbogacenia Prus w Niemczech, przede wszystkim zaś kosztem rozbioru Turcyi. Gdyż przede wszystkim nieśmiertelna sprawa wschodnia, zatracona z oczu podczas ostatnich rozruchów światowych, lecz zawsze po dawnemu żywotna, jątrząca się i kusząca, była osią wszystkich tych odgrzewanych pomysłów, których ośrodkiem był Konstantynopol. W rzeczy samej, najwyższy, tytaniczny projekt, do którego pod sam koniec wznosił się Polignac, ostatni minister Karola X, a synu faworyty Maryi-Antoniny, to nie było ostatecznie nic innego, jeno ten sam sławny „projekt grecki“, do którego zapalała się ongi nieszczęśliwa królowa, siostra niefortunnego współnika cesarzowej Katarzyny. Obecnie ta tylko zjawiała się poprawka, że Austryę z góry usunięto za nawias, co zresztą i przed pół wiekiem było-by niezawodnie sensem moralnym lwiej spółki, zawartej przez cesarza Józefa, gdyby wtedy była wzięta pełny swój skutek. Zaproponowany przez Karola, niemal w przededniu jego upadku, tajny memoriał gabinetowy francuski przeznaczał Rosyji Turcyę z Konstantynopolem i Azyą Mniejszą, Prusom Saksonię z Hollandyą i bodaj Hannoverem, Francji Belgię i linię nadreńską, Austryę odprawiał odczepnem w Bośni i Serbii, Anglię w koloniach hollenderskich. Jednem słowem, przekreślał ryczałtem wszystką uświęconą mapę kongresową, rewolucjonizował z kretesem powszechną nietykalną rów-

nowagę mocarstw. Jądrem całej operacji winno być zostać wzmocnienie Rossyi, i to zarówno w Europie, „gdzie jest użytecznem zbliżyć Rosyan do morza Śródziemnego, aby mieć w nich niezbędną ze wszechmiar oparcie przeciw przemocy brytańskiej“, jako też w Azji, gdzie należy „otworzyć im przystęp do Indyi, aby wzmocnić w tej części świata naturalne ich z Anglią współzawodnictwo“. Król francuski, który zatwierdził takie nadzwyczajne ministeryjne dzieło, po paru miesiącach położył swój podpis na przyniesionych sobie przez tegoż ministra ordynansach lipcowych. Akeya zagraniczna i domowa przeżytych dziedziców Francyi, zestrojone obiedwie na jednorodnej myśli zamachu stanu w kraju i w Europie, na jednakowej pogardzie dla ducha prawności i rozwoju, najdokładniej na swój sposób odpowiadały sobie i dopełniały się wzajem, zdążając ręką w rękę do katastrofy we własnej ściślejszej siedzibie, a zarazem do rozsadzenia całokształtu ogólnej syntezy kongresowej.

Kwitnąca jawnie zażyłość, nawet przyjaźń, między rządową Francją Ludwika i Karola a Rosyją Aleksandra i Mikołaja, zaś niejawnie dojrzewające i istotnie już tak zamasyżycie planowane możliwości sojusznicze francusko-rossyjskie, w najpierwszym rządzie mieściły groźbę dla Anglii. Anglia owoczesna, pod względem międzynarodowym, w rdzennej, najwালniejszej rzeczy, była już Anglią dzisiejszą. A mianowicie, — pomimo przymnożonych odtąd nowych potężnych czynników pobocznych, tych dwóch zwłaszcza, jakie wyrodzą się następnie z jej przyszłych stosunków kolonialnych na lądzie afrykańskim, oraz przyszłych stosunków rywalizacyjnych z państwem niemieckim, — już wtedy, w owoczesnym świecie kongresowym, Anglia ma sobie jasno i nieodwołalnie wyznaczony z góry punkt ogniskowy swojego dalszego, aż po dziś dzień, aż po dzień jutrzejszy, dziejowego powołania; już jest Towarzystwem, jak dzisiaj Cesarstwem, Indyjskiem; już jest wielkiem mocarstwem azjatyckiem, wielkiem mocarstwem mahometańskim, strażnicą dalekiego i bliższego Wschodu, wawozów himalajskich i cieśnin dardanelskich; jest w szczególności strażnicą Porty Ottomańskiej, czyli właściwie półwyspu Bałkańskiego, wód południowo-europejskich i Bizancyum; jest nią tutaj w zastępstwie Francyi, z którą ukończyła rozprawę i której miejsce i zadania na zluzowanym objęła posterunku; a tem samem, w ostatecznym, nieuniknionym wyniku tych wszystkich założeń kardynalnych, już współlistniejących i współczynnych, jest ona już wtedy wcieleniem najrozleglejszej politycznej siły dośrodkowej naprzeciw stycznej z nią wszędzie i wszędzie biegunowo odwrotnej, równoległej i równowarnej siły odśrodkowej, jest przyrodzoną przeciwwagą Rossyi w najobszerniejszych granicach międzynarodowego wszechustroju. Jeżeli



jednak w ten sposób, pod względem swojej roli mocarstwowej, Anglia doby niniejszej ukazywała już oblicze nawskroś nowożytne, to natomiast pod względem swego prawa publicznego przedstawiała się wtedy zgoła inaczej, zgoła jeszcze odmienna i oddalona od obecnej nowożytnej postaci. W tym ostatnim względzie, odległość pojęć i instytucji pomiędzy dziś a wówczas jest tutaj zaiste ogromna, jest znaczniejsza nieskończenie, niż można-by sądzić z niezmienności samej nazwy i pozorów. Wewnętrzne, ustrojowe różnice polityczne pomiędzy Anglią dzisiejszą a kongresową są podobno dużo większe, niż pomiędzy kongresową a Anglią Tudorów i Stuartów. To jest ani mniej, ani więcej, jeno różnica pomiędzy ówczesną monarchiczną oligarchią a dzisiejszą monarchiczną demokracją angielską. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch trzecich XIX stulecia stworzyła tę kapitalną odmianną pokojowa rewolucja billów reformy, większej poniekąd, głębszej i trwalszej doniosłości, niż dwie rewolucje gwałtowne, które monarchę ścięły, lub wyгнаły. Naówczas, w dobie poprzedzającej jeszcze ów zasadniczy, choć pokojowy, przewrót nowożytny, w starym Trójkrólestwie panował po dawnemu stary porządek rzeczy. To był jeszcze po dawnemu, zamiast ludowładczego, naprawdę porządek możnowładczy. To były, pod nazwą parlamentarnych, naprawdę rządy monarchiczno oligarchiczne. Ustawodawczy systemat przedstawicielstwa narodowego polegał na szeregu najoczywistszych fikcji. Dwie trzecie mandatów poselskich do izby gmin były w ręku korony i magnaterii. Własność ziemską skupiła się w ręku kilkotysięcznego uprzywilejowanego stanu. Obowiązujące prawo administracyjne, cywilne i karne było przystosowane do takiego składu rzeczy. W tym kraju, odwiecznie konstytucyjnym, w tej tak niedawnej, wczorajszej dobie z przed lat zaledwo kilkudziesięciu, katolików na urzędach przymuszano do komunii anglikańskiej, rekrutowano przemocą zbrojną majtków okrętowych, za kradzież powyżej pięciu szylingów skazywano na szubienicę. Wielkie zwycięstwo nad Francją rewolucyjną i napoleońską podniosło niezmiernie powagę państwa brytańskiego, w niczem nie poprawiło położenia narodu. Zbogaciło tylko pewne warstwy kapitalistyczne, zwłaszcza zaś wielkich właścicieli ziemskich, skutkiem nadmiernych wojennych cen produktów rolnych, i przyłożyło się jeszcze bardziej do rozrostu olbrzymich latyfundiów krajowych. Epilogiem tego zwycięstwa były bille zbożowe, wydane natychmiast po przywróceniu powszechnego pokoju, ścieśniające przywóz zagranicznego zboża, dla sztucznego utrzymania dotychczasowej drożyzny, dla dobra panujących agraryuszów, a z najjawniejszą krzywdą dla ogółu ludności. Podobnież, korzystając z pokojowej pory, w drodze zawieszenia poborów



dochodowych, a jednostronnego rozkładu podatków pośrednich, głównie w obrębie przedmiotów najpierwszej potrzeby, niesłychany ciężar długu publicznego, przez wieloletnie wydatki wojenne nadzwyczajnie zwiększony, zwalono na szerokie warstwy ludowe w dotkliwym i nierównomiernym sposobie i stosunku. Skądinąd jeszcze zaostrzał się rozbrat między narodem a rządem. Zamienione zostały role dwóch wielkich rządzących stronnictw krajowych. Torysi, pogodzeni z domem hannowerskim, z Jakóbitów przedzierzgnięci na Hannoverczyków, od blisko pół wieku bez przerwy, za dwóch ostatnich Jerzych, dzierżyli władzę rządową. Oni-to byli wydali wojnę wraz rewolucyi francuskiej i francuskiej hegemonii, oni teraz podwójny święcili tryumf: swojego państwa i swojego stronnictwa. Ich ramię, ks. Wellington, pogromca cesarskiego orła, został zarazem pogromcą hydry rewolucyjnej; ich głowa, lord Castlereagh, zasługiwał sobie w radzie kongresowej wiedeńskiej na apoteozę od Metternicha, zaś we własnym kraju na okropne od Byrona epitafium. A jednak ci torysi angielscy, ludzie władzy i rządu, ludzie odpowiedzialności za rzecz publiczną, sprawowaną przez nich tak długo, w tak straszliwej potrzebie, a tak świetnie w końcu na ich rękę wyniesioną, jakkolwiek byli zacofani dotychczas i zaślepieni, kiedy chodziło o tę rzecz stronę wewnętrzną i domową, tem bliższe przecie posiadali czucie z koniecznym przysłym postępem wypadków, tem jaśniej i trafniej widzieli i przewidywali, kiedy chodziło o stronę zewnętrzną i światową, gdzie największą, najcięższą przeszli służbę i szkołę. Z tej też strony oni najwcześniej umieli, bo musieli, uświadomić sobie w całej pełni ów naczelną odtąd czynnik nowoczesny międzynarodowego bytu Wielkiej Brytanii, czynnik, nazywający się: Rossya. Najpierwszy był uświadomił to i wyraził wielki torys, Pitt Młodszy, gdy w przededniu rewolucyi był podejmował pierwszą angielską akcyę przeciwrossyjską. Prawda polityczna, wtedy objawiona, stała się odtąd przykazaniem naczelnem torysowskiego katechizmu politycznego. Zawieszona na czas minionej burzy europejskiej, już nazajutrz po rossyjsko-angielskiem braterstwie broni, wyłoniła się na sprzymierzeńczych obradach wiedeńskich, odzyskując w najbliższym okresie następnym pełną moc obowiązującą dla rządzącego Anglią stronnictwa. Ale to stronnictwo, możne i zdrowe w dążeniu zakrajowem, u siebie w domu było podkopane i chore. Stojąc dotychczas ciągle na wstecznej gospodarce stanowej, na protekcyi jednego obłąkanego, drugiego nieczemnego monarchy, ciągle dworskie i reakcyjne, nie posiadało należytego oparcia w narodzie. Wprawdzie można było obejść się łącno bez takiego oparcia w minionej dobie wojennej, pochłaniającej wszel-

kie inne zagadnienia postronne; obejść się na wydeptanem polu tradycyjnej walki z Francją, odpowiadającej atawistycznym nieomal, z dawien dawna uświadomionym instynktom i interesom angielskim. Lecz w obecnej dobie pokoju, a więc naturalnego upustu dla zagadnień społecznych, wstępując w niezwykłe szranki nowej walki mocarstwowej, jeszcze nieprzyswojonej sobie przez samowiedzę publiczną, trzeba było koniecznie i przede wszystkim rozrządzać całą potęgą zaufania narodowego. Trzeba było tutaj liczyć się z opozycyjnym stronnictwem wigowskim, niosącym światło zbawiennej wewnętrznej naprawy, stąd coraz mocniejszym w narodzie,—a tradycyjnie trzymającym z Rosją. Niegdyś już zbrojne ramię Pitta była powstrzymała pokojowa dłoń Foxa, kierowana z ambasady rosyjskiej w Londynie; i jak wtedy Woroncowa, tak teraz Lieven posiadał i pielęgnował drogocenne sympaty wigowskie. Trzeba było liczyć się z temi wszystkimi warunkami, czyli, inaczej mówiąc, z opinią i postępek. Zaczynali to już pojmować młodszy i tęższy wśród torysów męźowie, zwracać ku odrodzeniu stronnictwa, ku nieodzownym reformom popularnym i postępowym. Atoli ta wzniosła i rozumna dążność była znowuż w najwyższym stopniu obosieczną. Była nią mianowicie dopóty, dopóki opinia, trafna i zasadna w pojęciu domowego postępu, pozostała ciemną i obalamuconą w pojęciu międzynarodowego. Owóż tędy-to właśnie fatalne nieporozumienie pomiędzy opinią publiczną a rzeczywistą międzynarodową racją stanu wyprowadziło na bezdroża, na lód, ówczesnych najlepszych statystów angielskich. Tutaj-to ugrzązł, obalił się silny i zręczny umysł szlachetnego Canninga. Tutaj, czy to w sprawie greckiej, tureckiej, czy polskiej, na różny sposób a z jednakowym skutkiem niedopisała akcja angielska. Koniec końcem, w ostatecznym wyniku tych wszystkich, bardzo różnolitych a niemal równie niepomyślnych, szkopałów, niedopisała w całej rozciągłości kongresowego okresu, zarówno za władzy pierwszych nieprzejednanych, jak i późniejszych kompromisowych torysów, aż do ich bezpośrednich następców wigowskich. Wielka polityka brytańska w niniejszym kilkunastoletnim okresie, podejmując eksperymenty polowiczne, mając się półśrodków, szukając wybiegów, usiłując przechytrzyć przeciwnika, idąc z nim razem, unikając stawiać mu czoła, niczego nie dopięła, niczemu nie zapobiegła i, nie dokonawszy jeszcze spełna podejmowanej opornie ważnej domowej roboty, utknęła i pomyliła się w najważniejszych zagranicznych, w tych najmniej, albo wcale nieznoszących zwłoki ani przeoczenia, gdzie chwile raz stracone, raz popełnione błędy, najtrudniej odzyskać i poprawić, albo zgoła niepodobna.



Już na Kongresie wiedeńskim nieomylny czynnik probierczy — ferment sprawy polskiej — był rozłożony na pierwiastki składowe sztuczną, przygodną mieszaninę czterech sprzymierzonych żywiołów mocarstwowych, był wydzielił je w dwoistym związku politycznego powinowactwa, i naprzeciw prusko-rossyjskiej był wystawił kombinację anglo-austriacką. Luźny wtedy i odosobniony żywioł francuski, pociągnięty na razie ku tej ostatniej, niezadługo, jak się okazało, jął ciężać ku pierwszej. Ta okoliczność mogła tylko przyczynić się do tem ściślejszego zespolenia aliażu anglo-austriackiego. Takie już było koliste pasmo ciągłych sprzeczności, nanizanych rzędem obok siebie w Europie kongresowej. Spotykała się tutaj konstytucyjna monarchia francuska w zgodnej parze z autokratycznym imperyum rosyjskim; spotykało się w sąsiedztwie konstytucyjne królestwo angielskie z autokratycznym cesarstwem austriackim. W rzeczy samej, najżywotniejsze względy jednoczyły teraz Londyn z Wiedniem. A więc, pomimo już pobocznego względu na pruską groźbę dla angielskiego Hannoveru, przedewszystkiem jednoczył tamten wzgląd kardynalny na powszechną dla samej Anglii groźbę rosyjską. To było decydujące. To odrazu zacierało lub znosiło wszelkie skądinąd antynomie. Mógł ks. Metternich przeklinać piekielne wolnomyślnicłstwo Canninga, mógł lord Byron z węglarzami weneckimi spiskować przeciw policyi cesarza Franciszka: Anglia musiała stać przy Austrii i na niej się opierać. Nie było to naówczas, co prawda, stanowisko zaszczytne. A już napewno nie była silna, ani bezpieczna podpora. Austria, w godności prezydualnej, była ugaszczala u siebie Kongres i wzięła na nim, z najmniejszym nakładem wojennym, jedną z nagród najsutniejszych; obłowiła się w zarobkach i optywała w honory; posiadała wszelkie pozory potęgi i powagi: — w rzeczywistości była najbezwładniejszym, najbezbronniejszym, najkruchszem ze wszystkich wielkich mocarstw kongresowych. Z nich wszystkich, którekolwiek inne, w następnych zmiennych kolejach losu, będzie miewało, bądź co bądź, swoje wygrane; ją jedną, wszędzie odtąd i zawsze, na polach węgierskich, lombardzkich, czy czeskich, same czekają porażki. Austria kongresowa, już wtedy państwo blisko trzydziestomilionowe, dotknięta była już wtedy jedynem w swoim rodzaju, śmiercionośnem kalecstwem: nie posiadała idei państwowej. Odłożono zabójczą niewykonalną myśl germanizacyjno-unitarną Józefa, stłumiono jednocześnie każdą myśl federalno-narodowościową, lecz żadnego wzamian nie znaleziono, ani nawet szukano kompromisu. Zostawiając w pełnej mocy rozbieżność rozkładową oddzielnych części monarchii, zarazem z całą bezwzględnością gwałcono przyrodzoną ich różnolitość, przeciągano po wierzchu nieskutecznym a nielitościwym strychnulcem biurokra-



tyczno-policyjnej centralizacji, i tak trwano poprostu w jakimś nieokreślonym stanie tymczasowym. pod cudotwórczym znakiem uratowanego absolutyzmu. Jak ten twór zawył i bezduszny uratował się i utrzymał podczas ostatnich wstrząśnień europejskich, to istotnie mogło wydawać się cudem. Lecz skoro się utrzymał, zatem najpewniej w tym samym sposobie utrzyma się i nadal, byle żadną nowością cudu nie zamącić, żadnem odstępstwem go nie przerwać. Na tym tannim sylogizmie stanęła odąd cała mądrość polityczna kancelaryi nadwornej wiedeńskiej: *quieta non movere*. Pojęcie zmiany postępowej, równoważne gdzieindziej z pojęciem rozwoju, stało się tutaj równoważne z pojęciem zagłady. Rząd austriacki, w osobie kanclerza Metternicha, został wielkim chorążym powszechnej reakcji.

Wszakże, podobnie, jak w rzeczach wewnętrznych, jeśli nie w wyższej jeszcze mierze, zasada absolutnego, nieruchomego *status quo* musiała stać się dla Austrii wyłączną wskaźniczą busolą w rzeczach międzynarodowych. Wprawdzie nie obce były dawniej rządowi wiedeńskiemu śmiałe i wywrotowe ambicje europejskie. Ale te ambicje, czy to w kierunku Turcyi, czy Niemiec, przyniosły naostatek plon nader oplakany. Sparzyła się srodze z obu stron Austriya i, nauczona doświadczeniem, cofnęła, jak ślimak, rogi, wysuwane do Belgradu i Monachium. Obecnie, po otwarciu napoleońskiego spadku, posunęła się najdalej nie w tamtym kierunku największego dotychczas pożądania, lecz w całkiem innym—najmniejszego ryzyka i oporu. Zagarnęła mianowicie Włochy. Zabrała Lombardye i Wenecyę. Wniosła jeden więcej żywioł zgoła obcy i wrogi do swojego, i tak już złożonego z samych dysonansów, ustroju państwowego. Nałożyła twardą swoją rękę żołnierską, biurokratyczną i policyjną na naród kulturalnie starszy i wyższy, a zbudzony do wolności i postępu przez erę napoleońską, upokorzyła go i zdegradowała politycznie i duchowo, zamknęła usta pierwszym pisarzom, prześladowała pierwszych obywateli kraju, zapełniła nimi swoje twierdze, zastąpiła na starożytnych wszechnicach włoskich naukę języka Danta nauką niemieczyzny, posiadała nieznośny ucisk i zasłużoną zebrała nienawiść. Budził się opór w gnębionej ludności włoskiej, nie zanikały nadzieje, bądź czerpane u źródła dawnego republikańskiego ducha, bądź pokładane na widoku niezawisłości Piemontu, na młodym księciu sabaudzkim, wnuku Krasieńskiej, prawnuku Augusta III, zaś przedewszystkiem wsparte na samowiedzy swojej krzywdy i swojego prawa. Kłopoty włoskie, ustawiczne zatargi z „rewolucją“ tutejszą, tj. z instynktem samozachowawczym siedemnastomilionowego narodu, stały się w tym okresie dotkliwym cierniem w ciele rządu wiedeńskiego, a były zarazem nową aktualną pobudką dla jego polityki reakcyjnej. Jednakowóż, zбочywszy na południe, Austriya przecie ani na jedną chwilę nie mogła spuszczać z oka

tamtych pierwotnych i naczelných swoich interesów od północy i południa. Z tej-to strony, na ziemiach Rzeszy niemieckiej i Porty Otto-mańskiej, mieściły się oczywiście dwa nerwy życiowe jej międzyna-rodowego istnienia. Stanęli nad nimi dwaj stróże: nad jednym Prusy, nad drugim Rossya. Im obu, razem złączonym, dotrzymać pola nigdy nie czuła się na siłach Austria; teraz mniej niż kiedykolwiek, wo-bec świeżej obu konsolidacyi; najmniej, jeśliby do nich na trzeciego miał przystąpić kompan francuski; cóż dopiero, — wypadek naj-niebezpieczniejszy, — jeśli-by do nich przyjść miały powszechno, sympatye ludów, jeśliby tamowany dotychczas prąd ży-wiołowy opinii, ich ręką zwolniony i pokierowany, miał spły-nąć do łożyska ich wielkiej polityki i popędzić jej koła obrotowe. Zaś taki właśnie wypadek bynajmniej nie był wyłączony. Przeciwnie, wisiał w powietrzu. Wszak samowładca wszechrossyjski, a konstytucyjny król polski, był powołanym protektorem odrodzenia i wol-ności Słowian i Greków. Wszak monarcha pruski, wyniesiony na grzbiecie powstańczej fali germańskiej przeciw Napoleonowi, był re-wolucyjnym w koronie opiekunem odrodzenia i jedności Niemiec. Wszak obadwaj w ten sposób, najprostszym fortelem, przez Heteryę, czy przez Tugendbund, ująwszy dźwignię nowożytnych pojęć swobody i narodowości, mogli łađa chwila, na Bałkanie, czy w Rzeszy, wstrząsnąć u podstaw, wywrócić dnem do góry, i wedle swojej myśli przeistoczyć wszystek dotychczasowy porządek rzeczy. Były to widoki, pod każdym względem zgubne dla Austrii. Jeżeli gdziekolwiek, to na-dewszystko w sprawach wschodniej i niemieckiej, dochowanie ścisłego *status quo*, uchronienie go od zamachów rossyjskich i pruskich było dla rządu wiedeńskiego nieodzowną koniecznością. Należało za wszelką cenę, na wszelki sposób zabezpieczyć się od podobnych widoków, dopil-nować Rossyi i Prus, rozluźnić spólniczy ich związek wzajemny, pode-rwać wyrachowany związek z duchem czasu, pokrzyżować i obnażyć grę istotną, znaglić je do solidarnego udziału i odpowiedzialności w powszechnej robocie reakcyjnej, i, nieszkodliwe, lub chociaż-by jak-najmniej szkodliwe, utrzymać je w nieruchomych formach kongreso-wych. Na tem ześrodkowała się polityka i dyplomacya Metterni-chowska. Szczególne połączenie roztropnych i koniecznych pobudek a niedorzecznych, doczesnych środków; cała przenikniona do szpiku bezduszną martwością kongresowej Austrii i natchniona myślą przewo-dnią sparalizowania akcji przeciwnej przez sprowadzenie jej do wła-snego paralitycznego stanu; niezdolna własnej państwowości zapłod-nić twórczym czynem i zadufana w uwiecznienie bezpłodnej nieczyn-ności ducha europejskiego i międzynarodowych zaczepnych żywio-łów: nie uratowała Niemiec, nie uratowała Turcyi, siebie w końcu nie



ochroniła. Wszakże im był sztuczniejszy systemat Metternichowski, tem wyszukańszej wymagał sztuki. Swoją zręczność, swoją osobę bardzo przeceniał próżny kanclerz; lecz przyznać potrzeba, że istotnie niepoślednim objawił się sztukmistrzem. Niejednego narazie dokazał, niejedno przynajmniej zwłóczył. Narazie, w tym okresie przejściowym i przygotowawczym, losy Austrii pozostały w zawieszaniu. Ciężki jej obrachunek, niechybny z Prusami, niewiadomy z Rosyą, późniejsze zakrywały czasy.

Wbrew późniejszej kolei wypadków, wtedy jeszcze, w okresie niniejszym, łatwiej przychodziło Austrii dokazać i odwłóczyć z Prusami. Prusy na Kongresie wiedeńskim zostały „odbudowane“, jak wyraża się z urzędu ich historyografia, a właściwie na nowo zbudowane, w obszerniejszym, niż dawniej, zakresie, z dziesięciomilionową ludnością, lecz w różnolitszym jeszcze, niż dawniej, składzie wewnętrznym. Przeszło połowa nowego ich zaludnienia, do półszósta miliona poddanych, świeżo z cudzych najrozmaitszych skrawków została zebrana i wcielona; przeszło jedną trzecią, prawie cztery miliony, stanowiła sama ludność katolicka. Wszakże w tym różnobarwnym zlepku, w tem państwie, przywróconem do życia z nicości, trwała potężna, niezniszczalna myśl państwowa. Zaszczepiona przez fundatorów monarchii, uświęcona w złowrogich, lecz silnych, jednolitych, świadomych tradycyach Wielkiego Elektora, Fryderyka-Wilhelma I i Fryderyka Wielkiego, trwała nawet w małej i pospolitej duszy obecnego ich sukcesora, Fryderyka-Wilhelma III, trwała, co główna, od góry do dołu, w cenniejszych narządach maszyny państwowej, bez względu na większą lub lichsą wartość pojedynczych osób, trwała w duchu rządu i administracyi. To też zaledwo ta machina została znów postawiona na nogi i w ruch puszczona, niezwłocznie, naturalnym niejako rozpędem, powróciła do przerwanych swoich czynności. Rozpoczęła się natychmiast systematyczna, niezmordowana praca unifikacyjna, kierowana i dozorowana z Berlina, prowadzona na miejscu przez zdolnych i sprawnych nadprezydentów prowincjonalnych, obejmując zgodnym trybem wszystkie prowincye, jednocząc wszystkich nowych poddanych, najbardziej nawet opornych *Musspreussen* z prowincyi nadreńskiej albo saskiej, z żelazną celowością zasadniczej myśli niwelacyjnej i jej praktycznego wykonania, a nie bez rzeczywistych znakomych pożytków dla spraw dobrobytu, oświaty i prawnego porządku. Ta rozległa i na swój sposób niepospolita praca wewnętrzna, która w wielu miejscach musiała rozpoczynać rzecz od początku i która też w wielu punktach, na rumowisku katastrofy tyłzyckiej tworzyła dopiero właściwe Prusy dzisiejsze, pochłaniała główny zapas energii państwowej. Elementarne, a wieloliczne i niecierpiące zwłoki ro-

boty domowe pruskie usuwały tymczasem na drugi plan wielką politykę niemiecką i zagraniczną. Mignęły wprawdzie w Berlinie, zaraz po powrocie z bojów lipskich, sporów wiedeńskich i tryumfów paryskich, niektóre pożądanja i pomysły w śmielszym i ogólniejszym kierunku. Świeże wczorajsze wrażenia gorących dni wojny i zwycięstwa, gorącej odezwy królewskiej „do mego narodu“ i królewskich konstytucyjnych obietnic, ognistego, niebywałego od czasów bodaj rzymskich, rozmachu narodowego Niemiec, nazbyt były bliskie i uderzające, aby mogły odrazu ulotnić się z pamięci. Tkwiły one zwłaszcza w pamięci owych nowożytnych Arminiuszów pruskich, ludzi rady i szpady, którzy pod jarzmem napoleońskim, w drodze spiskowej i gwałtownej, z narażeniem swej głowy, byli gotowali zgubę legionów nowożytnego cezara, którzy, prawdziwi monarchiści rewolucyjni, robiąc w połowie na własną rękę, w połowie bez swego króla i ponad królem, byli odebrali mu naród i wojsko i przełamali nietyle urojoną lojalność ile rzeczywiste strachy tego napoleońskiego sojusznika, ażeby w końcu jego własną królewską ręką wzniecić ogień tentońskiego i wszechgermańskiego zapału. Ci ludzie, wielcy na swój sposób patrioci, to byli prawdziwi ojcowie dzisiejszych Niemiec. Ci Gneisenauowie i Steiny byli z kruszcu Roonów i Bismarczków. Dużej miary politycy, najtroskliwiej przestrzegając najściślejszej styczności z rosyjskim towarzyszem broni z Tawrogów i Kalisza, w myśl wypróbowanych tradycji Fryderykowych na związku z Rosyą pokładali siłę zaczepną Prus, budowali ich przyszłość niemiecką i europejską. A byli to już także najpierwsi wielkopruscy narodowcy liberalni. Zapalony przez nich płomień walki o wyzwolenie, pośród dymów nienawiści rasowej przeciw ciemierzcom galijskim, równocześnie, mocą samych powszechno-ludowych hasel wyzwoleniczych, krył także poniekąd światło myśli swobód i porządków ustawodawczych dla przyszłego odrodzonego i zjednoczonego narodu. Wynikało teraz pytanie, ażali ten płomień, zamiast pozwolić mu zagasnąć, nielepiej będzie rozdmuchiwać i nadal, lub przynajmniej go podtrzymać, ażeby odlaćna nim wielkie arcydzieło pruskich Niemiec. Przemyśliwali nad tem tamci tężsi i bardziej przedsiębiorczy Prusacy w pierwszych zwłaszcza chwilach doby kongresowej, układali liberalne projekty konstytucyjne dla Prus, niby smaczną i kuszącą przynętę dla pozostałych Niemiec, planowali śmieie rozwinąć sztandar rządowego liberalizmu pruskiego naprzeciw rządowej reakcyi austriackiej, a rachowali, weale zresztą zasadnie, że w ten sposób, w Bundestagu frankfurckim i opinii narodu bijąc Austryę moralnie, tem snadniej potrafią pod koniec pobić ją zbrojnie i politycznie. Wszelako ten rachunek, jakkolwiek dobry w zasadzie, był jeszcze w zastosowaniu przedwczesny i niewczesny. Jeszcze lat kilkadziesiąt wypadało poczekać. Rzecz była przedwczesną



z uwagi na niegotowość Prus, na niezalutwione jeszcze, najbardziej naglące, najpierwotniejsze potrzeby wewnętrznej reorganizacji. Była oraz niewczesną z uwagi na powszechną konstelację europejską, na nieustatkwoną jeszcze i niejasną nowość stosunków międzynarodowych. To też niedługo w berlińskich sferach ściśle rządowych, a zwłaszcza w najbliższym otoczeniu królewskim ochłonięto w bohaterskim terworze, zrzucano wzniosłą pozę oswobodzicielską, złożono do archiwum uroczyste przyrzeczenia ustawodawcze, zostawiono przyszłości wielkie cele polityki, i zakrzętnięto się tem raźniej koło mniejszych, czysto praktycznych celów administracji. Już po paru latach mógł Metternich, korzystając z takiego nastroju, wspomagany nadto przez kamaryllę berlińską, którą miał w ręku, obezwładnić niebezpiecznych patriotów wielkopruskich, a nawet podać ich w podejrzenie u króla; niebawem mógł samego Fryderyka Wilhelma, nastraszonego sztyltem egzaltowanego studenta, wziąć całkiem w swoją duchową kuratelę, skłonić go do przedsięwzięcia gwałtownych środków zapobiegawczych przeciw urojonemu widmu wywrotu, do urzędowego wyparcia się wszelkich myśli konstytucyjnych, do podpisania wspólnej urzędowej umowy represyjnej, zaprządz do wspólnego rydwanu reakcyi, pograćżyć we wspólnej pogardzie u oświeconej opinii niemieckiej. Stały Prusy w Niemczech na jednym z Austryą poziomie niepopularności; a raczej niżej jeszcze spadły, tem bardziej znieawidzone, im bardziej zawiodły. W tym przeto względzie moralno-politycznym sztuka wiedeńska snadnie dopięła celu: oddaliła Prusy od Niemiec. Mniej natomiast fortunną okazała się w innej, trudniejszej a niemniej doniosłej sprawie: nie zdołała oddalić Prus od Rosyi. Wprawdzie w Wiedniu niezaniebano niczego w tym kierunku. Podtrzymywano tajną zgryzotę królewską o bezpieczeństwo prowincyi wschodnich, nie całkiem zresztą imaginacyjną. Wręcz odmówiono usilnej jego prośbie o przyjęcie do Rzeszy, razem z monarchią pruską, także Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Wschodnich. Jakże Rzesza może podjąć się solidarnej rękojmi za nietykalność tych dalekich kresów? Wszak Rosyianie dopiero wczora byli w Poznaniu, w Toruniu, a podobno kiedyś odbierali hołd w Królewcu? Zaś odmawiając poręki frankfurckiej, zarazem poufnie ofiarowano własną wiedeńską: skoro troska o rzeczy wschodnie nie daje spać królowi, ofiarowano mu dobrodusznie obronne i gwarancyjne przymierze austryackie przeciw Rosyi. Wszakże te mądre kuszenia nie odniosły żadnego skutku. Opatrzyły się Prusy, nie dały się skompromitować wobec swego nieoszacowanego przyjaciela rosyjskiego. Przy Rosyi podniosły się, stały i pozostały. Co więcej, teraz właśnie utrwaliły powinowactwo sojusznicze mocnym węzłem rodzinnym, zapatrzywszy

się niejako na owocną dyplomacyę matrymonialną austryacką, a stosując ją tym razem w nierównie doskonalszym sposobie. Arcyksiążę habsburski niedawno był pojął córkę, teraz królowna pruska zaślubiła syna cesarza Pawła: lecz kiedy tamto niedobre małżeństwo było tylko źródłem kłopotów dla Austrii, natomiast ten związek najszcześliwszy został dla Prus niewyczerpaną krynicą pociechy i pożytków. Król pruski mógł spać spokojnie, odkąd jego zięć, cesarz Mikołaj I, wstąpił na tron wszechrosyjski. Niezakłócona harmonia prusko - rosyjska na długie lata została zapewniona. W tym zgodnym akordzie tworzyły narazie Prusy nutę pochodną i zależną. Teś w każdej niemal modulacyi dostrajał się do zięcia. Tak wypadło w dwóch zwłaszcza tematach górujących niniejszego okresu: czasu kampanii tureckiej i polskiej. Dostrajając się i wtórować, skromna i bierna umiejętność, miała przecie do rzetelnego podnieść się artyzmu, miała dokładniej jeszcze i pełniej dać się słyszeć wokresach następujących, przy powrocie tych samych dwóch przednich tematów. — aż nastąpi nareszcie pora odwrócenia porządku w scharmonizowanym jeszcze ciągle układzie, aż Prusy, sekundowane przez Rossyę, z kolei same obejmą prymę i po mistrzowsku do własnego poprowadzą finału. To jednak była dopiero muzyka przyszłości. Pół wieku prawie musi wprzódzi minąć. Tymczasem, zarówno w dwugłosie prusko-rosyjskim, jak i w powszechnym zespole europejskim, bezsprzecznie i bezwzględnie prowadziła Rossya.

Rossya po Kongre-je wiedeńskim stanęła u zenitu swojej drogi europejskiej. To był punkt najgórnieszy jej hegemonii pośród świata Zachodu. Zapewne, wzmogła się odtąd niezmiernie jej siła absolutna. Ale nigdy do równego poziomu nie wróciła stosunkowa. Od tego czasu uległ nasamprzód zasadniczej wewnętrznej przeróbce główny fronton samego państwa. Od tego też czasu, nazewnątrż, a wprost onęgo frontu, zjednoczyły się zbrojne Niemcy. Wtedy jeszcze, nazajutrz po katastrofie napoleońskiej, zwycięzki Agamemnon narodów, cesarz i król Aleksander I, samowładca i ustawodawca, miał w ręku wyjątkową w Europie, niemal jedyną, potęgę militarną, miał oraz nieporównaną moralną. Aleksander świadom był obu tych przewag. Nie wyzbywał się zrazu żadnej. Jego armie, po dokonanej już pacyfikacyi powszechnej, pozostały na stopie wojennej, w liczbie sześciukroć wyćwiczonego żołnierza. Jego pierwsze mowy tronowe warszawskie drukowane były w paryskim *Vrai Libéral*, i witane z zapalem przez wszystkie oświecone umysły Zachodu. Narzucało się pytanie: jak zużytkować te przewagi nadzwyczajne, szczęśliwy dar rzadkiej chwili, który wraz z chwilą przeminąć mógł i musiał. Stawił sobie to pytanie Aleksander tryumfator w pierwszym wyso-



kiem podniesieniu ducha. Wtedy to w skrytej i samotnej jego duszy wylęgły się jednym szeregiem ogromne, różnorodne, a zrosnięte ze sobą koncepcje. Dziwne one były w tej głowie, najdziwniejsze w tem połączeniu, wspaniałe i nieżywe twory wysokiej ambicji, wyższej wyobraźni, sięgające od Zofijskiego meczetu w Stambule aż do celi więziennej na św. Helenie, wchodzące w prawa człowiecze głębin Rossyi i narodowościowe kresów, imające się najgłębszych i najtrudniejszych zagadnień wojny i pokoju, polityki i kultury. Przedmioty wielkie, lecz niewspółmierne, rozłożone w przestrzeni i czasie, skupił razem, nie w twórczym czynie, lecz w bezpłodnej kontemplacji, lotny umysł marzyciela, aby lubować się ich ogromem, dotykać ich nawet początkiem wykonania i cofać się przed ich wciele- niem, niezwykłego zaiste marzyciela, który każdej chwili gotów i zdolen jest przeobrazić się w najtrzeźwiejszego realistę, ale który ostatecznie z tego rozdwojenia sam nie wyjdzie bez szwanku, nie wyjdzie bez głęboko wstrząśnionej duszy i wstrząśnionego państwa. Tymczasem, w pierwszych godzinach doby kongresowej trwał jeszcze w rozmachu do rzeczy wielkich. Wziął nasamprzód na oko jedną z największych, a sobie najbliższych, wspaniały „projekt grecki“ swojej babki, Katarzyny, obszerne i zawile sprawy bałkańskie, pominięte z umysłu na Kongresie, a wnet, po paroletniej ledwo przerwie, wracające do pełnej aktualności. Umyślił bez dłuższej zwłoki wysunąć je na czoło, opanować, może rozstrzygnąć. W takim mianowicie założeniu, międzyinnemi, był wiązał Święte Przymierze chrześcijańskie, z wyłączeniem jedynego niewiernego mocarstwa—Turcyi. Myślał równocześnie zająć się także dalszem rozwinięciem sprawy polskiej, połowicznie rozstrzygniętej przez Kongres. Cowięcej, idąc za jednym ciągle tokiem tej samej, bardzo niezwyklej asocjacji pojęć, pomyślał nawet o poruszeniu niektórych zasadniczych spraw ustrojowych swego własnego imperyum. Rozumiał, że do podobnych niebotycznych przedsięwzięć najlepiej wzbic się z całej wysokości swojskiego i europejskiego ducha publicznego. Czuł się wtedy chwilami, wedle słów Canninga, jako Eol, władny rozwiązać miechy kongresowe i dać upust onym zamkniętym wiatrom dziejów nowożytnych: *cel-sa sedet Acolus arce scepra tenens*. Wówczas również wyrwały mu się wyrazy: „jeżeli mnie zmuszą, wypuszczę potwora—*je lâcherai le monstre*“. Istotnie wówczas, w 1818 roku, przez umyślnego poufne-go wysłańca prowadził szczególniejsze rokowania z detronizowanym Napoleonem na dalekiej atlantyckiej skale. Stawiał stopę i zostawił też ślady na tych wszystkich labiryntowych ścieżkach, sam zapewne blakając się tutaj potrochu, w każdym razie nie zwierzając się nikomu. To był „sekrety cesarski“ Aleksandra w ciągu pierwszych pięciu

lat kongresowych, a tak dobrze ustrzeżony w jego głowie, że dziś dopiero z pojedynczych rewelacyi zwolna się wylaniać poczyna. Stworzony został oddzielny korpus litewski. Zredagowane doniosłe projekty ustawodawcze i prawodawcze, ułożone zasady ogólne usamowolnienia i uwłaszczenia włościan, zniesione poddaństwo w guberniach nadbaltyckich. Przedewszystkiem atoli wzięta w robotę tamta rzecz naprawdę najbliższa, choć pozornie odleglejsza, będąca naprawdę dotykającym punktem wyjścia i dotykającym celem wytycznym wszelkich innych zamierzeń. To była sprawa, o której wołał całkiem przepomnieć Kongres, która przecie niebawem będzie mu przypomniana, która zostanie pierwszym kamieniem obrazu dla wszystkich fikcyi kongresowych i która nawet właśnie w tych to kongresowych czasach, pomiędzy kongresem akwizgrańskim a weroneńskim, będzie ochrzczona po przeszło stuletnim żywocie i otrzyma po raz pierwszy swoje imię: sprawa wschodnia. Nikt jej lepiej nie znał, niż Aleksander. Znał ją równie dobrze z teoryi i z doświadczenia, z tylickich i erfureckich nad nią spekulacyi i z własnej długoletniej wojny z Portą. Tę wojnę w chwili wyjątkowo krytycznej, już pod samym obuchem wyprawy napoleońskiej na Moskwę, był zakończył przymusowym, a jednak wcale pożytecznym pokojem. Pożytki pokoju bukareszteńskiego polegały oczywiście nie na drobnych zarobkach bessarabskich, nie na tem, co on dawał, ale czego domagać się pozwalał. Nie tymczasowa pacyfikacya polubowna, ale następna negocyacya sporna była jego najcenniejszym owocem. Przedmiotów spornych zapewniono sobie bez liku: o fortyfikacye na wyspach dunajskich i kaukazkie rozboje, o samorzadne przywileje serbskie i piraterye algierskie, o wszystko, wszędzie i w każdej żywnie porze były tytuły dla roszczeń gotowe. Tak było niegdy po sławnym pokoju kainardzyjskim 1774 roku, tym klasycznym pierwowzorem; tak teraz po bukareszteńskim 1812 roku. Bez żadnej straty czasu, wkrótce po Kongresie wiedeńskim, przystąpiono do przedwstępnych czynności wykonawczych, i to w największym zaraz stylu. Na czele rossyjskiego ministeryum spraw zagranicznych stanął Grek, Korfiota, Capo d'Istria. Heterya filikijska założyła siedlisko w Odessie i Moskwie. Widziano w Petersburgu trzech greckich Ypsilantich i serbskiego Czarnego Jerzego. Widziano w Stambule ambasadora Strogonowa, w postawie Bułhakowa z przed ćwierciwieku. Widziano, jak w Madrycie poseł cesarski umawiał się o stacyę dla floty rossyjskiej na Minorce; jak w Janinie kousul cesarski upewniał o rossyjskiej protekcyi władzę Epiru, „nowego Pyrrhusa“, krnąbrnego wasala Porty, Alego Paszę; jak na Archipelagu, w Morei, Macedonii, Czarnogórze, Hospodarstwach, Dalmacyi, samym Fanarze stambulskim, po gór-



skich kryjówek kleftów i rodowych siedzibach palikarów, po odludnych, milczących klasztorach i zgiełkowych zaułkach fanaryockich, kipiała i rozlewała się wielka, gorączkowa robota. Cała impreza, jak zresztą już i dawniej, nadzwyczaj wszechstronna, wzorowana na dawnym typie, odlanym mistrzowską ręką Katarzyny, posiadała przecie tym razem pewne swoje znamiona specyficzne, cechowała się mianowicie umiejętnem uwzględnieniem zdobytego nowego terenu i nowych postępów techniki, a zwłaszcza nowożytnych wymagań ducha czasu. Tym razem, w przededniu kampanii, nie zadunajskiej już, lecz zabałkańskiej, a w dobie nowoczesnych pojęć wolności i narodowości, główny ładunek wybuchowy, zamiast w Wołoszy, zakładano w Helladzie, główną sprężyną, zamiast religijnego, uczyniono żywioł oswobodzicielski i narodowy. Skutek miał przejść wszelkie oczekiwania. W jednym mgnieniu będą prześcignięte i daleko pozostawione w tyle wszelkie pokrewne analogie dawniejszych czasów. Dawniej, conajwyżej, był zdobywał się Voltaire, w imię hasła tolerancyi, na parę zimnych pamfletów w obronie ciemnionych dysydentów. Teraz, w imię hasła wolności, jednym wielkim płomieniem uderzyły w górę entuzjastyczne hymny Chamissa, wzniosłe ody Wiktora Hugo, przenikliwe strofy Byrona, w obronie ciemnionych Greków. Herby greckiej Heteryi, feniks, wylatujący z popiołów i czarna flaga powstańcza, stają się świętym znakiem zbornym dla wszystkich dusz szlacheckich wszystkiej Młodej Europy. Filhellenizm zostaje doboszem Greckiego Projektu. Opinia Zachodu wybija pobudkę do szturm na Byzancyum. Żywioł przeciwny, oporny i groźny, uczyniony posłusznym motorem, szczytne wieliry uniesień opanowane i użyte do pędzenia skrzydeł młyńskich praktycznej polityki, nieświadoma siła moralna ujarzmiona przez uświadomioną potęgę realną: zaiste, godny zastanowienia i podziwu tryumf samorodnego i samoistnego rozumu stanu.

Nie było sądzonem Aleksandrowi I rozwinąć należycie już nie pełnej całości, — gdyż temu pewnie sam nigdy nie dowierzał, — lecz chociażby głównej części swoich zbyt głębokich, zbyt zawitych, zbyt dalekonośnych pomysłów. Już, zdawało się, mógł dać sygnał. Wtem nagle wstrzymał się i opuścił ręce. Rozliczne na to złożyły się czynniki, bądź podmiotowe, leżące w osobliwszej naturze człowieka, bądź też przedmiotowe, leżące w powiklanej naturze przedsięwzięcia. Jeden przecie był czynnik najniespodzianwszy, a zapewne decydujący. Wielki rachmistrz europejski pomylił się w rachunku względem własnego państwa. Nagle zrobił odkrycie, które go obezwładniło do końca życia. Odkrył rozgałęzione sprzysiężenie wojskowe w samym sercu Rossyi. Do głębi wstrząśnięty tem ponurem odkryciem, ukrył

je na dwie duszy, ukrył przed winnymi, ukrył niejako przed samym sobą. Nie potrafił zresztą skryć rzeczywiście przed światem, a najmniej przed przenikliwym okiem Metternicha. Takie już były szczególniejsze skutki antynomii wewnętrznych, osłoniętych fałszywą jednością kongresową, że kiedy autokratyczna Rosya przez swoje poselstwo w Londynie stykała się z przyszłymi „reformerami“ angielskimi, równocześnie autokratyczna Austria przez swoje poselstwo w Petersburgu miała styczność z przyszłymi „dekabrystami“. Tymczasem w myślach Aleksandra, pod bezpośrednim wpływem poczynionych rewelacyi, znaczne dokonały się odmiany. Zrzekł się repressyi wobec rozległych i ostrych symptomatów odkrytej choroby, może również wobec uczucia własnej poczytalności. Ale zrzekł się zarazem tych swoich najcelniejszych i najśmielszych planów, których warunkiem nieodzownym musiało-by być oczywiście absolutne zaufanie i bezwzględna dyscyplina własnej społeczności i armii. Uczynił to zresztą tem łatwiej, że zawsze był zostawiał sobie możność odwrotu. Zawsze z niezmierną, wrodzoną, działającą rozważą i rezerwą, dwie strzały stale trzymał w kołczanie. Obok Capodistriów trzymał Nesselrodech. Obok Sperańskich trzymał Arakcejewów. Wnet dokonał odwrotu na całej linii. Nawrócił, zwinąwszy żagle, ku stojącej wodzie fikcyi kongresowych i Metternichowskiego systematu, ażeby tutaj, w ciągłej odtąd rozterce z samym sobą, nieruchomo stanąć na kotwicy aż do kresu dni i rządów.

Ale duchów, przez siebie przywołanych, nie był już mocen odegnać Aleksander. Najcięższe doświadczenia wprawdzie miały mu być oszczędzone. Grudniowy wybuch petersburski, listopadowa katastrofa warszawska jeszcze odwołczą się do śmierci monarchy, uświetnionego wielkiem imieniem zbawcy Rosyi i wskrzesiciela Królestwa. Lecz rzeczy wschodnie, najdalej przez niego posunięte, już wstąpiły w stadium niecofnione za życia monarchy, noszącego wielkie imię greckiego zdobywcy. Podniosło się w jego oczach powstanie greckie, które on był obmyślał, a którego teraz wedle myśli pierwotnej prowadzić nie mógł. Za niego natomiast, korzystając z wymuszonej jego bierności usiłowały poprowadzić je przeciw niemu Austria i Anglia. Pragnęły Metternich poprowadzić powstańczych Greków do zupełnej zagłady, ażeby w ich upadku pogrzebać zarazem ducha rewolucyi i autorytet rosyjski na półwyspie. Rad byłby Canning prowadzić ich do zwycięstwa, żeby, podstawiając opiekę i dyrektywę angielską na miejsce rosyjskiej, stworzyć w udzielnem państwie nowogreckiem punkt obronny całkiem nowego rodzaju przeciw Rosyi. Bezładność Aleksandra obadwa ułatwiała dążenia. Jednoczyła się Grecya, już nie pod Capodistrów i Ypsilantich dwuznaczną inspiracją, lecz pod świadoc-



mym Maurokordata kierunkiem; zamiast heteryjskiego dwugłowego feniksa, mądra sowa ateńska pojawiła się w herbie i pieczęci rządu powstańczego; lord Byron, wzniosłem i szlachetnem wiedziony uczuciem, lecz oraz trzeźwą, może królewską, myślą polityczną, nietylko Euphorion na ikarowych skrzydłach wyobraźni, lecz oraz wielki Anglik na służbie europejskiej racji stanu, zjawił się pośród Greków. Z drugiej znów strony, zerwał się ugodzony w samo serce islam; Porta, zaniepokojona do żywego, a tajemnie ośmielana z Wiednia, chwyciła się środków ostatecznych; prawowierny oręż egipski pospołu z tureckim spadł na karki greckie, szerząc rzeź i zniszczenie. Dla Rossyi, w jej ówczesnej nienaturalnej roli biernego świadka, jednakowo były niepożądane obiedwie ewentualności: czy to, wedle życzeń Wiednia, całkowita zguba, pogłównie niemal wytępienie powstańców greckich, bądź co bądź, przydatnych, nawet niezbędnych dla każdej przyszłej rossyjskiej wyprawy na Turka,—czy też wedle życzeń Londynu, wzniesienie udzielnego i niezawisłego państwa greckiego. Wysłał się Aleksander, aby jednego niedopuszczyć, drugiemu zapobiedz. Przeciw rewolucyjnemu rządowi greckiemu, będącemu bezpośrednio pod wpływem angielskim, używał kondotyerów w samym powstańczym obozie, nie dając zagasnąć wojnie domowej i zażartym rodzimym rozterkom pośród Greków. Ciągnął dalej groźne negocyacye z Portą. Zaś zarazem, ponad głowę Greków i Turków, toczył subtelne rokowania z mocarstwami. Proponował mianowicie drogę pośrednią, żeby i duszom chrześcijańskim nie dać zupełnie zginąć, i duchom rewolucyjnym nie dać spełna tryumfować. „Pacyfikacya Grecyi“ miała więc być dokonaną w takim kształcie: trzy osobne księstwa lenne, Morea na Południu, Tessalia na Zachodzie, Epir na Wschodzie, z autonomią administracyjną, celną, religijną, pod berłem sułtana, a pod gwarancją rossyjską. Takie same było już w tej chwili położenie Hospodarstw. A takie same już wcześniej było położenie Kabardy, albo Krymu. To rozwiązanie miało za sobą powagę tradycyi. Ale wcześniej, w każdym oddzielnym wypadku, bywało przeparte ostrzem miecza. Teraz oczywiście nie dało się przeprowadzić samą tylko, chociażby najsubtelniejszą, dyalektyką. Niedyskretnie odsłonięta propozycyapetersburska wywołała tylko gwałtowny protest Greków i suchą odmowę mocarstw. Porażka dyplomatyczna była tem dotkliwszą, że literalnie nic więcej nie było do zrobienia przez dyplomacyę. A tymczasem nieodzwonnie i nieodwłocznie należało coś zrobić, pod karą zaprzepaszczenia całej przyszłości „greckiego projektu“ i narażenia dominującego stanowiska Rossyi na Wschodzie. Nie było innego wyjścia, jak po staremu jąć się miecza. Wojna turecka, z góry zamierzana, potem odłożona, w końcu narzucała się sama, nie była do

ominięcia. W tych samym momencie nowe odkrycia, donioslejsze od wszystkich poprzednich, objawiły całą groźę dojrzewających knowań spiskowych. Oficer sztabowy, wciągany do wielkiego sprzysiężenia armii południowej w obozie pod Tulczynem, zgłosił się do tronu i złożył najszczególowsze zeznanie o gotowym już i nieodwołalnie postanowionym zamachu Pestela i towarzyszy. Ani chwili nie było do stracenia. Podwójny dylemat otwierał się przed monarchą: konieczność stanowczej repressyi wewnętrznej, konieczność zbrojnej akcji zagranicznej. Przedwczesny zgon, przed rozstrzygnięciem tych zagadnień, zabrał ze świata Aleksandra I.

Rozstrzygnąć w obu kierunkach odziedziczone zagadnienia przypadło w udziale Mikołajowi I. Krótka i ostateczna rozprawa z dekabrystami, znosząc długoletnie napięcie wewnętrzne i dokumentując wobec świata moc niewzruszoną władzy autokratycznej, tem samem rozwiązała znów ręce czynnej i potężnej polityce zagranicznej. Nie była to tylko zmiana panującego, lecz zmiana położenia, a stąd i systemu. Nie postrzegła się od razu na tej zmianie Europa, ani w szczególności Anglia. Trwał Canning ciągle w ulubionej myśli greckiej, co więcej, mniemał, że ją skuteczni, idąc razem z Rosyją, której bierność dotychczasową nieopatrznie do przyszłego wciągał rachunku. Na dnie jego myśli leżało zwątpienie w możliwość uratowania Porty Ottomańskiej, leżała natomiast nadzieja uratowania krajów sultańskich przed sukcesyą rossyjską, sposobem celowej, przewencyjnej organizacyi odrębnych narodowościowych żywiołów tuziemczych. W rzeczy samej, czyż nielepiej będzie wyrzec się w porę całej ogromnej, a przestarzałej, niebronnej i otwartej zewsząd cytadeli tureckiej, bodaj nawet pomódz do wysadzenia zmurszałych jej fortów, i na jej gruzach wystawić szereg pomniejszych szanieców narodowościowych, nierównie odporniejszych, bo budowanych już z nowego materiału, z uwzględnieniem wszelkich postępów nowożytnych? Czy nie będzie lepiej przejąć w ten sposób i obrócić przeciw Rosyi własną taktykę rossyjską? Pomysł, w ogólnem założeniu niezwykle obszerny,—który nawet kiedyś wykroczy daleko po za same sprawy tureckie i poniekąd wtargnie do sąsiednich, w pewnym względzie pokrewnych, austriackich, — niezwykle interesujący i pojętny, wtedy po raz pierwszy został zastosowany względem Grecyi, jak najnowszemi jeszcze czasy podejmowany względem Armenii. Ale pojętny w teorii, był on przecie w najwyższym stopniu obosieczny w praktyce; zamiast realnego i pewnego przedmiotu podstawiał pojęcie nieokreślone i niewypróbowane; wymagał niezmiernej precyzji i konsekwencyi w wykonaniu; i z tem wszystkiem, w jednym mgnieniu mógł zostać nawspak wywrócony i skierowany



swojem ostrzem przeciw wykonawcy. Tak też niezwłocznie stało się w wypadku niniejszym, skoro tylko Rosssya z dotychczasowej biernej bezwładności w sprawie greckiej przeszła do samodzielnej akcy czynnej na Wschodzie. Polityka Canningowska, dotychczas na pozór fortunna, od tej chwili same już tylko najopłakaniejsze przyniosła zawody, i, zamiast krępować i hamować politykę wschodnią cesarza Mikołaja, wprost przeciwnie ułatwiała mu tylko znakomicie jaknajszybsze i najpełniejsze odzyskanie całego utraconego terenu. Tak więc wnet po objęciu rządów przez Mikołaja, nasamprzód, w Akermanie, przy mimowolnej assyście angielskiej, — jak przed półwiekiem w Ajnali - Kawaku, przy francuskiej, — wymusiła Rosssya na Porcie znaczne ustępstwa we własnych ściślejszych sprawach spornych. Następnie, w Londynie, pociągnęła mocarstwa zachodnie do wspólnej interwencyi w sprawie greckiej. Wreszcie, pod Nawarynem, dopięła tego niebywałego rezultatu, że za pomocą armat zachodnich zniweczyła flotę ottomańską. Poczem, stanawszy na wyłomie, dokonanym przy pomocy Zachodu, na własną już rękę i własny rachunek całą swoją potęgę zaczępną wprost obróciła przeciw odosobnionej i zachwianej Turcyi. Tak doszło do wojny tureckiej, będącej w tem swoim początku istnem arcydziełem polityki. Wprawdzie w swoim przebiegu nie okazała się arcydziełem strategii. Lecz po jednej niepomysłnej kampanii, po przykrych niespodziankach przed obozem tureckim pod Szumłą, ową pierwszą Plewną, niebawem następna szczęśliwsza kampania zaprowadziła armie rossyjskie daleko za Bałkany. Pokój adryanopolski nagrodził wytrwałość cesarza Mikołaja: umacniał i rozszerzał przywileje gwarancyjne i handlowe Rossyi na półwyspie i na wodach tureckich, oddawał jej ogromne zdobycze terytoryalne w Azji, stanowił olbrzymią kontrybucją wojenną, i aż do jej wypłacenia zostawiał okupację rosyjską w Rumunii i Bułgaryi, warował w obszerniejszem znaczeniu autonomię księstw nad-dunajskich, zwłaszcza niezawisłość Serbii, pod wzmocnioną poręką rosyjską, nadzwyczajnie podnosił i uświetniał w każdym względzie wpływy i powagę rosyjską u narodów bałkańskich, i samą Portę Ottomańską stawiał faktycznie w bezpośredniej, niemal lennei zawisłości od imperyum wszechrossyjskiego. Mogło zdawać się zaiste, że dni państwa tureckiego są policzone. Wtedy też, w rzeczy samej, przyszedł na stół tamten kapitalny projekt Polignaca, czyli poprostu „projekt grecki“ cesarzowej Katarzyny w osobliwej wersyi francuskiego i legitymistycznego pióra. Uprzedziła ten projekt umowa adryanopolska, będąca przecie dopiero jednym dalem krokiem na drodze do bliższego już celu. Rokowania francusko-rossyjskie w sprawie wschodniej i związanych z nią europejskich w dalszym ciągu to-

czyły się w najlepsze. Zacieśniały się coraz ściślej stosunki przyjacielskie, już dojrzewały sojusznicze i spółdzielcze pomiędzy rządem cesarza Mikołaja i króla Karola X. Z rzekomej równowagi powszechnej, uświęconej przez uchwały wiedeńskie, nie pozostało ani śladu. Zamykało się koło czynników rozkładowych w „świętej“, w „restaurowanej“ Europie.

Zabrała głos w tem miejscu rewolucya lipcowa paryska. Złożony z tronu Bourbon, wyniesiony Orleańczyk. Belgia odzyskała wolność, poruszyły się Włochy i Niemcy, zakłębiło się wszędy na Zachodzie. Tę chwilę przesilenia uznał za sposobną cesarz Mikołaj, aby przywrócić porządek i wolę prawodawcy objawić Europie. Postanowiona wyprawa wojenna przeciw Francyi rewolucyjnej, choć z imienia orleańskiej, podobna do krucjaty z przed lat czterdziestu, tylko tym razem samowtór, prusko-rossyjska. Przez ministra wojny, Czernyszewa, niegdy wysłańca Aleksandra do Napoleona, ułożony plan kampanii francuskiej. Przez feldmarszałka, Dybicza, pogromcę Turków, prowadzone w Berlinie narady strategiczne ze sztabem generalnym Fryderyka-Wilhelma. Wydane rozkazy mobilizacyjne dla armii rossyjskiej i armii Królestwa Polskiego. Data wyruszenia wojsk w pole wyznaczona na koniec listopada, potem o dni kilka opóźniona i odłożona na początek grudnia. Tutaj nagle uderzył pioran rewolucyi listopadowej warszawskiej. Od podwalin aż do szczytów rozpadło się dzieło kongresowe.

SZYMON ASKENAZY.



---

# Stosunki ekonomiczne w Poznańskim.

---

## I.

Nowy wiek rozpoczyna się dla Księstwa Poznańskiego w znaku walki narodowej. Zdaje się, iż hasło „Ausrotten“ przeszło w krew i kości narodu niemieckiego. Wobec tego trzeba sobie zdać sprawę, czy narodowość Polska ma widoki utrzymania się i zachowania swej odrębności wśród tego germańskiego potopu. Przechodząc po kolei pojedyncze pola, na których ścierać się musimy z wrogim nam żywiołem, zdamy sobie najlepiej sprawę z tego, cośmy walczyli, oraz z tego, czego od przyszłości oczekiwać możemy. W dwóch głównie punktach rząd od lat kilkudziesięciu stara się nas osłabić: pod względem ekonomicznym i językowym, czyli w samym bycie naszym i w samowiedzy narodowej.

Co o tej walce sądzić wypada? Starajmy się na razie zyskać pogląd na stan ekonomiczny kraju, a to nam ułatwi późniejsze oryentowanie się w stanie rozwoju duchowego i narodowego.

Walka ekonomiczna przez długie lat dziesiątki była dla Niemców nader łatwą i obfitą w owoce. Zajmując Księstwo Poznańskie po kongresie Wiedeńskim, rząd pruski zastał kraj wojnami zrujnowany, z natury dość ubogi i kilkakrotnymi zmianami ustawodawstwa zbałamucony. Wielcy panowie i magnaci ściągali do Warszawy, dokąd ich przynęcała możność grania roli politycznej i życie towarzyskie; szlachta, mając świeżo w pamięci kilkunastoletnie wojny Napoleońskie, więcej myślała o szabli, niż o pługu, nie zapomniała jednak i ostatnich czasów Rzeczypospolitej, licznych zjazdów i pohulanek; stan mieszczański zaledwie był w zarodku, a włościanin, odcięty przez wieki od wszelkiej czynnej roli, pracował w ziemi cichy i bierny, bez samodzielności, a zatem i bez wszelkiej samowiedzy i ambicji.

Z tem społeczeństwem zetknęły się odmłodniałe Prusy. Rygor w wojsku i urzędzie, praca na niewdzięcznej glebie, dawna wreszcie rutyna ekonomiczna i społeczna wytworzyły szczep twardy i uporny, który jak taran uderzył w rozstrojone nasze społeczeństwo. Nikt prawie wtenczas nie myślał o walce organicznej. Mogło wybuchnąć powstanie polityczne, jak w 48 r., zgniecione niebawem siłą bagnatów, o zmaganiu się jednak pokojowem i ekonomicznem było prawie równie mało mowy, jak w kolonii nowozajętej, gdzie za drobnostkę uzyskać można od kacyków najcenniejsze prawa, a prostego murzyna nikt o zdanie nie pyta. Podobnie działo się w Poznańskim. Ogromne latyfundya przechodziły za bezcen w ręce kapitalistów lub spekulantów niemieckich; ułatwiony kredyt i przełom w stosunkach gospodarczych podkopywały wciąż byt materyalny szlachty, a że ona była jedyną prawie klasą posiadającą majątek i wykształcenie, więc z nią zdawał się upadać cały byt narodowy.

Tak było dawniej, zobaczmy o ile teraz stan rzeczy się zmienił.

Przedewszystkiem Księstwo Poznańskie nie jest już tem eldorado, w którym możnaby się małym trudem dorobić majątku. Obdłużenie ziemi, wkłady w gospodarstwo, gęstość zaludnienia, w ostatnich czasach komisya kolonizacyjna i prywatne parcelacye, wszystko to były czynniki, które działały na podniesienie ceny, względnie utrzymanie wysokiej ceny ziemi, dochody zaś z niej nie były zawsze w stosunku do jej wartości. Przeciwnie, kraj, z natury na rolnictwo skazany, o glebie niezbyt bogatej i nie posiadający tak dawnej, jak inne części Europy, kultury, odczuł niezmiernie dotkliwie przesilenie agrarne, które nawiedziło Europę w ostatnich lat dziesiątkach. Przyczyniły się do tego jeszcze niektóre rysy charakterystyczne systemu ekonomicznego pruskiego, niedość może zharmonizowane z naturą kraju i tradycją jego mieszkańców. Gdy dawniej, za polskich czasów, wieś dzielono pomiędzy dwóch braci, zdarzało się niejedno-



krotnie, iż przy braku pieniędzy na spłaty, robiono z niej dwa folwarki, z których każdy tworzył osobną organiczną całość. Stąd powstały tak częste wypadki dwóch wiosek o jednej nazwie z dodatkiem „wielkie“ i „małe“, „górne“ i „dolne“ itd. System ten, który mógł mieć swoje niedogodności, przedstawiał jednak i niewątpliwe korzyści. Właściciel pół wioski obejmował ją bez ciężarów i bez obowiązków stanowych, przekraczających majątek, a rozdrobnienie własności postępować mogło normalnie i iść ręka w rękę ze wzmagającą się intensywnością gospodarstwa. Tego rodzaju tranzakcyje uniemożliwione zostały przez ustawodawstwo Pruskie. Powstałe z kilku różnorodnych elementów, nosi ono w sobie sprzeczności, które z biegiem czasu na jaw wyszły i na stosunkach ekonomicznych, zwłaszcza wschodnich dzielnic państwa, zgubnie się bardzo odbiły. Staroniemiecka instytucja dóbr niepodzielnych, przechodzących z ojca na jednego tylko z synów, instytucja tak zakorzeniona w Niemczech, iż nietylko w licznych majoratach szlacheckich, ale objawia się jeszcze w bardzo rozpowszechnionych ordynacyach włościńskich (Anerbengüter), została sztucznie połączona z nowymi modnymi na początku tego wieku zasadami.

Ekonomia klasyczna uczyła, że ziemia jest takim samym towarem, jak każdy inny, który i sprzedawać, i obdłużyć do woli można, a prawa człowieka głosiły równouprawnienie wszystkich dzieci z jednego małżeństwa.

Z połączenia tych pierwiastków wynikła instytucja dwulica, zwana dobrami rycerskimi. Zadaniem ich być miało utrzymanie pewnego procentu wielkiej własności, uważanego za niezbędną podporę monarchicznego systemu. W części cel ten osiągnęły, ale bodaj czy nie kosztem dobrobytu niezliczonych rodzin i całego prawie kraju. Jeżeli bowiem statystyka lat ostatnich wykazuje, że na wschodzie monarchii hipoteczne obdłużenie większej własności ziemskiej dochodzi w przecięciu do 60% wartości majątków, to jest to niewątpliwie skutkiem kilkakrotnie powtórzonych działów, przeprowadzonych na podstawie powyższych zasad. Kto nie chciał tracić różnych realnych i honorowych korzyści, z własnością dóbr rycerskich połączonych, lub kto nie mógł przełamać niezliczonych prawnych formalności i przeszkód, które jakby żelaznym pierścieniem majątek obejmowały i całości jego strzegły, ten zadłużał wieś jak najwyżej, aby użyć tych pieniędzy na zaspokojenie pretensyi swojego rodzeństwa. Towarzystwo kredytowe (landschaft) ułatwiała jeszcze tego rodzaju manipulacyje. Skutki tego systemu ciężą na Polakach na równi z Niemcami, zamieszkującymi Poznańskie i sąsiednie prowincye. Właściciele niemieccy tak samo bowiem, jak polscy, są często zadłużeni po uszy i ratuje ich

nierzadko dopiero zyskowna sprzedaż majątku komisji kolonizacyjnej. Ale w czem cierpią Polacy więcej od Niemców, to w dostrojeniu tego systemu do swego usposobienia narodowego. Nie twierdzę, abyśmy mieli być rasą ekonomicznie niezdolną. Przeciwnie, mamy niezaprzeczenie i na tem polu zalety. Umiemy być w potrzebie przemyślni i pilni, żyć skromnie i naginać się do nowych warunków. Stąd też widzimy, że włościanin polski bije chłopą niemieckiego, żyjącego w tych samych warunkach, i pomału wykupuje go i wypiera; pracuje on jednak w zakresie działania, odpowiadającym zupełnie jego uzdolnieniu. Przeciwnie u większego właściciela. Zmysłu organizacyjnego i porządkującego, umiejętności rozkazywania u zwierzchnika a karnego słuchania u podwładnego nie posiadamy zdaje się zupełnie. Stąd też spotyka się dużo gospodarstw, które niewolniczo kopiują administracje niemieckie, takich zaś, które-by były od góry do dołu racjonalnie zorganizowane, posiadamy w Księstwie bardzo jeszcze mało. Dla tego też zapewne uwydatnia się w ostatnich zwłaszcza czasach ogólna tendencya do rozbijania wielkich kompleksów na mniejsze centra administracyjne, na dzierżawy pojedynczych folwarków lub mniejszych jeszcze parceli. Gospodarstwo przestało być szlachetną zabawką i stało się bardzo trudną i mozolną pracą. Trafnie to określił jeden z wybitnych obywateli tutejszych, mówiąc, iż wieś, która dawniej była niejako szpiźnią, stała się naraz warsztatem, często nawet fabrycznym. Nie dziw więc, że niejeden, który potrafił być rządym i zapobiegliwym gospodarzem, nie potrafił przerobić się na technicznego i kupieckiego kierownika dużego przedsiębiorstwa. Przejście z produkcji ziarna i wełny na produkcję okopowizn i bydła rogatego zrewolucjonizowało cały system gospodarczy, a wymagając ogromnych wkładów, niejednego przyprawiło o zgubę. Liczne majątki szlacheckie upadały więc samą siłą rzeczy, a nie było komu opróżnione przez nich miejsca zajmować. Gdy w innych krajach poza właścicielami ziemi stoi znaczny zastęp kapitalistów, którzy, dorobiwszy się majątku w przemyśle lub handlu, chętnie go dla siebie lub dzieci swoich w ziemi umieszczają, u nas tego nie było i niema jeszcze. Klasa rolników wciąż jeszcze na siebie samą jest skazaną. Trzeba więc przy sążeniu jej kierować się pewną wyrozumiałością, gdyż nie jest ona może gorszą, niż gdzieindziej, tylko więcej pomocy wszelkiej pozbawiona <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Za ilustrację tego niech posłuży fakt, że w Niemczech, gdzie do początku dziewiętnastego stulecia stan szlachecki był wyłącznym jeszcze właści-



Stan obecny przedstawia się mniej więcej, jak następuje. Z wielkiej własności, która wynosi w przybliżeniu 50% całego obszaru, pozostała tylko mniejsza część w ręku Polaków. Jest to jednak do pewnego stopnia ekonomiczna elita. Ludzi zamożnych, rządnych, dorabiających się nawet pomalą majątku jest pomiędzy nimi sporo. Wobec wielkich wymagań, jakie obecna technika gospodarska stawia kierownikowi majątku, w najtrudniejszym położeniu znajdują się ci właściciele, którzy nie mają zdolności lub umiejętności potrzebnych do rządzenia się bez pomocy, a których majątek nie dość jest znaczny obszarem i wartością, aby zniósł samodzielny zarząd, albo był w stanie spłacić procenta od długów i wyżywić poza tem jeszcze właściciela i dzierżawcę. Tacy uchodzić muszą jako morituri, którzy do czasu tylko utrzymać się mogą, i których ratować wypada. W tej myśli zawiązał się w ostatnich miesiącach tak zwany związek ziemian. Zadaniem jego ma być wspieranie radą i pośrednictwem właścicieli ziemskich, znajdujących się w trudnych interesach. Utworzono kilka okręgów, a w każdym z nich dwóch lub więcej z pomiędzy najpraktyczniejszych i najdoświadczeńszych obywateli ma sprawować rolę doradców. Kto przyjmie ten urząd, obowiązany jest za wynagrodzeniem przekładane interesa zlustrować, opinię swą wydać i wskazówek udzielić.

Ponieważ jest to instytucja zupełnie nowa, nie można więc wydać o niej dziś jakiegobądź sądu. Kilkanaście lat temu założony został w tym samym celu bank ziemski, ratunkowym przezwany, który ułatwia uregulowanie prawnych i finansowych trudności, jakie się napotyka przy parcelowaniu dóbr rycerskich; prócz tego kupuje on też wprost majątki, aby je włościanom polskim ze skromnym tylko zarobkiem odprzedawać.

Działalność jego, mimo niesłychanych trudności i szykan, jakie napotyka ze strony władz rządowych, jest zbawienna i stosunkowo do funduszków, jakimi rozporządza, znaczna. W tym samym kierunku, choć mniej bezinteresownie, pracuje też kilka innych instytucji finansowych, jako to: spółka rolników parcelacyjna, bank parcelacyjny i inne, które operują często po kupiecku i, spekulując na dywidendy, znaczny znajdują kredyt. Czynności ich ograniczają się przeważnie do rozprzedawania pojedynczych folwarków lub nawet zagród włościańskich na mniejsze jeszcze parcele. Niewątpliwie dużo i one czynić mogą dobrego, ratując niejedną kawał polskiej ziemi; obawiać się

---

cielom większej własności ziemskiej, obecnie posiada już tylko 18% jej obszaru.

jednak wypada, czy, kwapiąc się na zysk doraźny, uważają dostatecznie na warunki żywotne nowo stworzonych gospodarstw i czy nie korzystają czasem zbyt z chciwości na ziemię chłopa i robotnika polskiego. Jeżeli bowiem wielka własność jest, bądź co bądź, „chorym człowiekiem“, dla którego lekarstw wciąż dobierać trzeba, to za to stan włościański cierpieć zdaje się raczej na zbytek zdrowia i zaufania do sił swoich.

Po uwłaszczeniu, które około 40-go roku już było ukończone, pierwsza generacja usamowolnionych włościan smutny przedstawiała obraz. Brak zaradności, umiejętności gospodarowania, nieraz pijaństwo doprowadzały całe gminy do materyalnego i moralnego upadku. Zdawać się mogło, że jeżeli tak dłużej potrwa, to z ludności osadzonej na własnej ziemi nikt prawie przy niej się nie utrzyma, tyle zdarzało się bankructw i sprzedaży w ręce Niemców lub większych właścicieli.

Pomału jednak rozpoczął się przełom.

Pierwsze hasło dały bractwa wstrzemięźliwości, które, kierowane i protegowane przez duchowieństwo, tak korzystny odniosły skutek, że obecnie ludność polska jest trzeźwiejsza od niemieckiej, zamieszkującej prowincje sąsiednie. Drugim czynnikiem, który przyczynił się bardzo znacznie do podniesienia ludu wiejskiego, były kółka włościańskie. Instytucja ta prosta, prowadzona bez żadnej prozopopei, a polegająca głównie na miesięcznych zebraniach i pogadankach gospodarskich, zdziałała w ciągu lat trzydziestu kilku istne cuda. Nie tylko, że nauczyła wieśniaków gospodarować racjonalnie i z myślą przewodnią, lecz podniosła nad wyraz cały ich poziom moralny.

Gdzie kółko się zawiązało (a w każdym powiecie prawie jest ich po kilka), tam zawsze obywatele i księża do niego wstępowali, obejmując nawet zwykle przewodnictwo. Stąd też ustalała pomału ta nieufność do innych klas, przez niektórych za rys charakteryzujący chłopa uważana; z tego też spotkania na obiektywnem polu wzięło początek nawet pewne ekonomiczne współdziałanie. Włościanie przystępować zaczęli do spółkowych mleczarni, łączyć się w spółki melioracyjne, wspólnie sprowadzać paszę, nasiona i nawozy <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ostatnie sprawozdanie wykazuje, że w Księstwie Poznańskim znajduje się 210 kółek, z których przeszło 180 świetnie się rozwija. Przeszło sto tysięcy mórg magdeburskich wynosi obszar ziemi, na którym kółka włościan-



Wpływ, jaki te kółka wywierają, bynajmniej nie jest jeszcze wyczerpanym, jednakże już teraz pan Maksymilian Jackowski, od założenia patron tej instytucji, może spoglądać z dumą na dzieło swoje. Przyczynił się on w znacznej części do tego, że obecnie nadzieje ludności polskiej pod pruskim zaborem bez obawy mogą spoczywać na stanie włościańskim.

Nie wszędzie naturalnie rozwój taki w równej postępował mierze. Są dotychczas okolice, gdzie, bądź to wskutek ubóstwa gleby, bądź dla odległości od komunikacji lub z innych jakich powodów, gospodarz wiejski jest zacofany w poglądach i sposobie gospodarowania, niefny i do biernego narzekania skory. To się tylko pomалу zmieniać może, a najlepszym lekarstwem jest zmiana warunków życia i zarobkowania. Na stan ekonomiczny włościanina ma niepomierny wpływ wielkość jego gospodarstwa. Tam, gdzie przy uwłaszczaniu stosunki tak się złożyły, że gospodarz dostał po kilkanaście tylko lub mało co więcej mórg magdeburgskich ziemi, tam po dziś dzień panuje bieda i apatya i tam też emigracya do Ameryki największe zrobiła спустoszenia. Przy takim bowiem obszarze nie jest człowiek w możności zatrudnić siebie i swego inwentarza w produkcyjnej pracy, zostają mu więc dni i tygodnie całe prawie bez zajęcia. Nie dziw, że w tych warunkach ma skłonność do karczmy i do jarmarku, i że gospodarstwo jego do reszty upada. W takich okolicznościach oddaje parcelacya nieocenione usługi. Przez powiększenie swego areału, może gospodarz dochody w dwójnasób powiększyć, nie pomnażając prawie wcale wydatków, rozkłada on tylko koszta ogólne na większą przestrzeń i wyzyskuje lepiej swój czas i pracę, swoją i swego inwentarza.

To też tłumaczy wysokie ceny, jakie za ziemię płacą miejscami włościanie, oraz wielkie opłaty dzierżawne, jakie więksi właściciele uzyskać mogą, oddając im ziemię małemi parcelami w dzierżawę.

Ogólnie powiedzieć można, że w stanie włościańskim jest postęp powolny, lecz stały, a najlepszym na to dowodem są referaty urzędowe i statystyki niemieckie. Wykazują one, że wostatnich latach ilość ziemi, przechodzącej z rąk niemieckich w polskie, przeniosła ubytki polskiej własności, i to właśnie dzięki czynności parcelacyjnej i okupywaniu się nieustannemu ludu polskiego. Całe wioski, do niedawna czysto niemieckie, przeszły w ciągu lat kilkunastu na własność polskich gospodarzy, i to nie w szczególnych jakich warunkach, ale równocześnie

---

skie pozakładały spółki melioracyjne, a w ubiegłym roku sprowadziły one samych sztucznych nawozów za 75,000 marek.

na różnych punktach Księstwa. Mamy tu więc do czynienia z parciem niejako elementarnem, przeciw któremu zapory biurokratyczne i nawet prawne mogą być półśrodkami tylko.

Nie ulega wątpliwości, że do powyższego rezultatu przyczyniają się i poboczne względy. Fakt, że branie udziału w rządowej kolonizacji i osadnictwie rentowem jest Polakom wzbronione, popycha ich z natury rzeczy całą siłą na pole, gdzie panują stosunki wolnej konkurencyj; Niemcy za to, faworyzowani nadzwyczajnie przez komisję kolonizacyjną, wołają nieraz własność swą Polakowi drogo sprzedać, aby potem w korzystnych warunkach nową kolonię od rządu nabyć. Niemniej jednak uznać trzeba, że polski włościanin okazuje ogromny hart, wytrwałość i przedsiębiorczość w tej walce o ziemię, która jest tutaj walką o egzystencję narodową. W niepośledniej mierze przychodzi mu jeszcze w pomoc klasa robotników fabrycznych, którzy zaoszczędzony grosz najchętniej w ziemi lokują.

Emigracja ludu wiejskiego ku zachodowi, najprzód do Saksonii, obecnie do przemysłowych nadreńskich okręgów, dała się Księstwu Poznańskiemu ciężko we znaki. Gdyby nie ciągle zapożyczanie się u ludności Królestwa Polskiego i Galicyi, prowadzenie gospodarstwa intensywnego było-by się stało wprost niemożliwem, tak bardzo robotnik rolny drożał i tak nieprzeparta chęć ciągnęła go do wędrówki „w świat”. Na szczęście jednak fala ta emigracyjna, licząca obecnie już setki tysięcy głów, w znacznej części nie została dla kraju straconą. Oprócz tych bowiem, którzy poszli do Ameryki, i nielicznych emigrantów, którzy się w Niemczech poženili i wynarodowili, reszta zachowuje stosunki z krajem, odsyła zarobione pieniądze, powraca od czasu do czasu do domu i w głębi duszy marzy zawsze o własnym zagonie. Choćby już nie nabyć całego gospodarstwa, z którego wyżyćby można, to przynajmniej każdy chciał-by kupić chałupkę i kilka mórg gruntu, gdzieby mógł osadzić żonę i dzieci, i dokąd-by na starość mógł się ściągnąć.

Tym duchem ożywieni robotnicy wśród najcięższej pracy żyją skromnie i wszystkiego sobie odmawiają, byle posłać jak największą część zapracowanego grosza do domu, lub do kasy oszczędności. Wszelka statystyka, która-by chciała ująć w cyfry sumę pieniędzy, która się tą drogą do kraju dostaje, może być z natury rzeczy tylko prawdopodobną; podawano ją kiedyś na 5 milionów marek rocznie i liczba ta nie wydaje się bynajmniej przesadzoną.

To też tłómaczy ogromny napływ pieniędzy do banków ludowych i kas oszczędności, które znowuż, dając pewność i łatwość w umieszczaniu pieniędzy, wzmagają chęć ekonomizowania i wyko-



rzeniły niemal do szczętu stary zwyczaj zamykania oszczędności w skrzyni lub zawiązywania w pończosze.

Jak zawsze, tak i w tym razie, inicjatywa jednostki na rozwój banków ludowych decydujący wpływ wywarła. Czem przez kółka rolnicze pan Jackowski stał się dla stanu włościańskiego, tem jest dla klasy robotniczej ksiądz prałat Wawrzyniak. Będąc wikarym w Śre-mie, prowadził on wzorowo ludowy bank tamtejszy, który pod jego kierownictwem świetnie się rozwijał. Obecnie kieruje on z probos-twa swego w Mogilnie, jako patron i rewizor, całym związkim spółek zarobkowych, i to z takim powodzeniem, iż nawet wrogi nam mi-nister finansów, Miquel, publicznego uznania w izbie pruskiej mu nie poskąpił.

Instytucya, która jest pod jego dozorem, obejmuje obecnie prze-szło sto filii i posiada kilkadziesiąt milionów marek depozytów. Umiał on przytem przykładem i słowem wpłynąć na wielu duchow-nych, w tym sensie, że i materyalnemu dobytкови swej parafii czas i pracę swoją poświęcają. Znane są wypadki, w których proboszcz kieruje peryodycznem wychodźstwem ze swej parafii, wynajduje dla młodych dziewcząt i chłopców odpowiednie zatrudnienie w okolicach katolickich, objeżdża od czasu do czasu porozrzucanych swych parafian i chroni ich od zdziczenia i wynarodowienia. W zamian cieszą się ta-cy księży ogromnem zaufaniem ludu, który chętnie poddaje się ich ra-dom i kierownictwu

Wszystkie te fakta i cyfry dowodzą, że dobrobyt w dolnych warstwach rośnie, i że w znacznej części tylko szyskany i utrudnienia rządowe uniemożliwiają doraźne rozwiązanie niejednej kwestyi eko-nomicznej.

Aby zdać sobie dokładniej sprawę ze stanu prowincyi, trzeba jeszcze okiem rzucić na mieszczanstwo, którego rozwój także w wyso-kim stopniu Niemców niepokoić się zdaje. Powstało ono prawie z ni-czego w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, a jest teraz liczne i ruchli-we. To zawiera całą jego charakterystykę, wszystkie niemal jego zalety i wady. Głównymi zaletami jego są: przedsiębiorczość, rzutkość i ufność w siebie, za których pomocą stawia czoło często z dobrempo-woodzeniem dawnemu przemysłowi niemieckiemu i żydowskiemu; wady jego są jednak także dość liczne. Tradycyi fachowej, zamiłowania do swego zawodu, tej skromnej rzetelności, która znamionuje nor-malnie ukształtowany przemysł i kupiectwo, trudno jeszcze napotkać. Natomiast widzimy niejednokrotnie rzucanie się na wielkie interesa, przekraczające zakres umiejętności i kapitału obrotowego, chęć odbi-cia nieuniknionych strat stąd wynikłych cenami nieracjonalnie wyso-kiemi, uderzanie w nutę patryotyczną klientów i skargi na nich, gdy

się złą obsługą zrażą. Są to wady, z których wyleczyć się musi, jeżeli ma się zdrowo rozwijać, które jednak tak młodemu przemysłowi wybaczyc można. Gdyż jest to w rzeczy samej pierwsza, rzadko kiedy druga generacya dopiero, która od roli odeszła i do miasta się przeniosła; można się więc spodziewać, że z czasem, przy ciężkiej konkurencyi z niemieckim żywiołem, sama akcyja naturalna gorsze elementa usunie, a pracowitym, uczciwym i rozumnym da się swobodniej rozwinąć. Wogóle zauważyć można w tak zwanym stanie średnim wielki jeszcze brak wyrównania. Stosownie do tego, czy pochodzą od zubożalej szlachty, czy też od włościan wyemancypowanych, mieszczanie w Księstwie Poznańskiem noszą w zarodku wady i zalety, jakie atawistycznie przejęli. Widać więc u nich raz pewną lekkomyślność i nieład szlachecki, to znów drobiazgową oszczędność wieśniaczą i chciwość na blizki zysk, a u tych, jak u tamtych, uwidatnia się brak ustalonej tradycyi stanowej. Nie można wszakże tego trochę surowego sądu uogólniać, i tu bowiem spotykają się wyjątki. Mamy poważne firmy kupieckie i przemysłowe, które z niemieckimi mogą iść zupełnie w parze i konkurencyi obawiać się nie potrzebują.

Do tej krótkiej i niekompletnej charakterystyki mieszczaństwa, które, będąc jeszcze w pełnym rozwoju, uchyla się od ścisłego określenia, dodać jeszcze wypada słów kilka o tak zwanej inteligencji. Zaliczać do niej przedewszystkiem trzeba lekarzy, prawników, techników i wykształconych agronomów, słowem tych, którzy, nie posiadając majątku, żyją z dochodu, jaki im zawód ich daje. Na tę klasę spoglądać można bez zaprzeczenia z pewną dumą, gdyż jest ona przeważnie wytworem ostatnich dziesiątków lat, a zawiera wielu ludzi tęgich, pracowitych, którzy zupełnie odpowiadają wymaganiom społecznym. Jeżeli z jednej strony przyczyniły się do tego niewątpliwie niemieckie szkoły i uniwersytety, to z drugiej strony przyznać sobie możemy, żeśmy z nich odpowiednio skorzystać potrafili. Sam fakt, że w Galicyi np. znajduje się cała plejada Wielkopolan, którzy na katedrach uniwersyteckich, na urzędach i prywatnych stanowiskach wybitnie zajmują miejsca, przemawia na korzyść tej klasy, która sobie i swojej pracy wszystko zawdzięcza.

Oto w krótkości zarys ekonomicznego stanu Księstwa Poznańskiego w obecnej chwili. Widać z niego, iż stan to nie beznadziejny. Główną wadą jego jest i pozostanie nadal jednostronność. Kraj z natury swojej jest czysto rolny i niema nadziei, aby to się zmienić mogło. Wszystkie więc niepowodzenia i klęski rolnictwa dotkliwie na wszystkich klasach ludności odbić się muszą. Znajdujemy się w podobnem położeniu, jak chory, który-by jednym płucem oddychał, gdy i to zasłabnie, dusimy się z braku powietrza. Ma jednak ta jedno-



stronność i swoje dobre skutki. Przedewszystkiem nie jesteśmy podzieleni na ekonomiczne partye, a przynajmniej nie wychodzą one poza obręb czysto akademickich dyskusyi. A potem dla społeczeństwa niekompletnego, pozbawionego życia politycznego i duchowego, jest rzeczą ważną, aby mieć jakieś hasło, pod którem można-by się grupować, hasło, przez wszystkich przyjęte i wszystkim zrozumiałe. Takim hasłem jest dla Księstwa Poznańskiego obrona ziemi. Nie sprzedajmy ziemi Niemcowi, starajmy się raczej nabyć jej jak najwięcej do rąk polskich, oto co myśli, oto co czuje, oto jak działa każdy uczciwy człowiek. Mamy więc, mimo wszystkiego, siły do walki i nadal. Przy ogromnych trudnościach, jakie zwalczać trzeba raz z ogólnemi konjunkturami ekonomicznemi, powtóre z wrogim nam rządem i narodem niemieckim, dobrobyt ogólny nie upada, lecz w niektórych zwłaszcza stanach wzmaga się niezaprzeczenie; nie trzeba więc rąk opuszczać i uważać, że wszystko stracone. Coraz bardziej w ogólnej ekonomii świata punkt ciężkości przenosi się z rzeczy na ludzi, coraz więcej znaczy praca pod wszelkimi postaciami, a coraz mniejszą rolę odgrywa stała renta. Dopóki więc będziemy jako jednostki coś warci każdy w swoim zawodzie, dopóty przyszłości obawiać się nie potrzebujemy.

I stwierdzić można z pewnem zadowoleniem, że właśnie wśród ludności polskiej duch indywidualnej przedsiębiorczości wzmaga się i rozwija. Poczucie, że tylko na sobie samych spoczywać możemy, zakorzenia się coraz głębiej. Dla Polaka, który nie chce się zniemczyć, urzędy, wojsko, stanowiska państwowe są z góry prawie zamknięte. Wynika z tego tem żywsza czynność prywatna, tem zaciętszy wysiłek, aby w walce o byt nie zginąć. Nie zdaje się chimerycznem przypuszczenie, iż rząd, odejmując Polakom wszelką pomoc i podporę, oddał im raczej dobrą niż złą usługę, gdyż nauczył ich stać o własnych siłach i od nikogo wsparcia nie oczekiwać. W biedzie i opuszczeniu nauczyli się oni w dodatku zgodnego współdziałania, tak nie licującego zdaje się ze zwyczajami, ani z usposobieniem naszym. Niedawno jeszcze uważano za bardzo trafne przysłowie, że Pan Bóg stworzył jaskółki, a dyabeł spółki; teraz roi się wprost od związków, towarzystw i spółek, i po większej części dobrze im się powodzi. Może też sprzeczność pomiędzy naturą polską a tem grupowaniem się w stowarzyszenia jest tylko pozorną. Może to nie od stowarzyszeń stronimy, lecz od tej niewoli, tej almykacyi własnej osobistości, która dawniej przy wszelkiem współdziałaniu zdawała się nieodzowną. Teraz, gdy formy prawne zmieniły się i zdemokratyzowały, coraz liczniej powstają związki interesów, w których osoba współnika żadnej nie odgrywa roli. W skali rozwoju można to niewątpliwie uważać za sto-

pień wyższy, a do tego rodzaju wspólnej czynności mamy równie wiele zdolności i równie mało odrazy, co wszelkie inne narodowości. Chodzi nam więc jedynie o to, aby mózdz zatrzymać swobodę osobistą, i dla tego też nie umiemy się zastosować do wielkich organizacyi i administracyi centralistycznych, które człowieka podporządkowują pod pewien system. I tu spotykamy się znowu z tym samym objawem, który natrafiłszy już, omawiając wielkie zarządy majątków ziemskich. Obecnie spostrzegać się dają na różnych polach czynności ludzkiej oznaki pewnej decentralizacyi. Możemy się więc spodziewać, że pod niejednym względem przyszłość łaskawszą nam będzie od przeszłości. Bo też wszystko było się przeciw nam złożyło. Rolnicy, musieliśmy żyć z ziemi w chwili, kiedy jej eksploatacya przechodziła przez jedno z najcięższych przesileń; indywidualności pracy, musieliśmy pracować w epoce, kiedy wielka własność ziemska i przemysł zdawały się wymagać zarządu biurokratyczno-wojskowego. Może więc do nowych stosunów, które się wyłaniać zdają, lepiej dostosować się potrafimy i może zaginie natenczas w słowniku niemieckim pogardliwe wyrażenie o polskiej gospodarce.

POZNAŃCZYK.



---

# SPRAWA DOŁĘGI.<sup>1)</sup>

---

## XIV.

Po ślubie siostrzenicy, pan Karol Zbązki wyjechał do Petersburga, a z nim razem i trzej delegowani po koncesyę na budowę dróg bitych. Karol Wielki nie tylko pochwalił zasadniczo zamiar, ale osobiście objął dowództwo wyprawy; wrócono sobie stąd pomyślność, i sprawa zyskała jeszcze na powadze.

Zbązki pozostawił swój pałac na wyłączny użytek Zbarazkich, więc sale, dotąd głuche i zamieszkane przez samotnego starca, stały się niebawem ogniskiem ruchu towarzyskiego w wyższych sferach. Księżna Hortensya zabawiła tu parę miesięcy i urzędowała liczne przyjęcia, choć nie potrzebowała opłacać się towarzystwu, mając na wydaniu taką córkę, jak Halszka. Pragnąc jednak zabawić Halszkę i sama dobrze czas spędzić, dawała wieczory w ściśle dobranem kółku, przyjmowała bliższych znajomych codziennie od czwartej do

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 68; lutowy, str. 273.

szóstej, a dla szerszego koła miała dzień przyjęcia we czwartki. Kiedy czasem poszła z córką na wieczór do cudzego domu, lub zjawiała się w teatrze, były to wypadki wielkiej wagi, powszechnie komentowane. Szczególniej zaś zaproszenia do Zbarazkich uważano za wyjątkowo zaszczytne; ci, którzy tam bywali, nosili niby honorowe odznaki jakiegoś wysokiego orderu. Order ten rozdawała księżna Hortensya głównie krewnym, bardzo licznym, a także ludziom bogatym i ogladzonym; cnota obywatelska nie grała tu wielkiej roli przy wyborze, ani nawet wyższa kultura. Jeżeli na większych zebraniach spotkać było można jakiego głośnego literata, lub malarza, kogoś z nazwiskiem nowem, a dobrze zasłużonem, było to po prostu oznaką że bal jest większy tym razem, nie zaś przyswojeniem nowego członka towarzystwa. Ulubioną formą towarzyską było dla księżnej ścisłe kółko, złożone z ludzi, których układ, nawyknienia i pojęcia przypadają jej do smaku. W tem kółku panowała atmosfera przyjazna i swobodna, bo nietylko Halszka, ale i księżna Zbarazka nie lubiła się nudzić. Jednak na czwartkowych przyjęciach, i wobec mało znajomych osób, księżna umiała przybierać ton grzecznie urzędowy, uprawiała tę sztukę konfundowania bierniejszych umysłów, która określa stosunki między ludźmi różnych sfer. Dla tej „idei“ poświęcała często nawet osobistą przyjemność. Szydłowski, przyjaciel księcia Janusza, dużo prostszego od żony, tak formułował w swem rubasznem narzeczu towarzyskie wymagania księżnej:

-- Chciało-by się Hortensyi jagódek, lecz księżna nie z byle kim może pójść do lasu.

Księżna Zbarazka miała też więcej przyjaciół swej pozycji, niż szczerych i własnych. Do tych ostatnich należał naprzykład Kersten.

Pewnej środy po południu, w połowie marca, w mniejszym salonie pałacu siedziała księżna z kilku znajomymi. Był Kersten, był Reckheim, była hrabina Gnińska z córkami i paru dobrze ubranych młodzieńców, tancerzy Halszki z minionych balów, obecnie dyskretnych aspirantów do możliwości starania się o księżniczkę, wśród spokojniejszych uciech wielkiego postu, na rautach i wizytach. Amon wałęsał się po salonie, jak artystyczny lunatyk. Gdy rozmowa cichła, on siadał do fortepianu i uderzał w klawisze: czasem co zagrał, czasem rzępolił tylko zęcha, strzelając oczyma po suficie; nikomu nie przeszkadzał i nikt na niego nie zwracał uwagi. Halszka nalewała gościom herbatę; na stole były ciastka i postne „tartynki“. Z powodu tych ostatnich wszczęto właśnie rozmowę o poście co do ilości i co do jakości.

Księżna Hortensya była zdania, że właściwie nie wolno w wielkim poście przyjmować pokarmów nie płynnych między śniadaniem



a obiadem (entre deux repas), ale uspakajała obecnych tem, że ma dispensę dla całego swego domu i dla swoich gości.

Hrabina Gnińska zapewniała, że ostatnie instrukcye z Rzymu rozluźniły bardzo formę postów, i przytaczała na poparcie zdanie znanego ze świętobliwości księdza.

Hrabia Reckheim, chociaż protestant, miał wielu krewnych katolików, więc był także obeznany z tą kwestyą: skłaniał się bardziej do zdania księżnej Hortensyi, starając się przytem odgadnąć pogląd Halszki,—ale ta nie dawała znaku żadnego osobistego poglądu w tym względzie.

Baron Kersten przeciał-by zapewne tę dyskusyę swoją nieomylnością, gdyby do salonu nie wszedł nowy gość i nie zasiał ogólnego milczenia.

Był to Jan Dołęga.

Zbliżył się do księżnej, jako dobry znajomy z Waru, i pocałował ją w rękę; potem, ponieważ w salonie nikogo nie było z mężczyzn domowych, poprosił księżnej, aby go zechciała przedstawić paniom Gnińskim. Następnie, widząc, że zwraca na siebie uwagę i czując chłód naokoło siebie, rzekł:

— Andrzej mi powiedział, że księżna przyjmuje po południu i służba mi to potwierdziła, gdym się oznajmił,—więc pozwoliłem sobie wejść, aby podziękować raz jeszcze za łaskawą gościnność, której doznałem w Warze.

— A tak, — skinęła głową księżna, — wspominały pana.

Halszka ścisnęła rękę Jana mocniej, niż zwykle i, wskazując mu krzesło przy sobie, rzekła wesoło:

— Dam panu herbaty.

Dołęga przywitał Kerstena i zapoznał się z Reckheimem.

Z powodu obecności cudzoziemca rozmowa toczyła się wyłącznie po francusku. Jan znał dobrze ten język, ale nie miał go w codziennem użyciu, mówił zatem powoli i z akcentem nie zupełnie poprawnym. Zwracało to nieprzyjemnie uwagę towarzystwa, podczas gdy go nie razila dużo gorsza niemiecka wymowa Reckheima.

— Czy pan dużo pracuje? — spytała księżna Hortensya.

Jan odpowiedział krótko i na tem skończyła się jego rozmowa z księżną, która zajęła się znowu swymi dostojniejszymi gośćmi.

Wtedy Halszka odezwała się do Jana po polsku:

— Od czasu, jak jestem w Warszawie, widzę pana dopiero czwarty raz.

Zaczęła liczyć na palcach, uśmiechnięta.

— Na ślubie Jurka... na tym balu... raz u papy...

— Wtedy ja pani nie widziałem.

— Ale ja pana widziałam—to trzy. A dzisiaj czwarty raz — to wszystko.

— Ja panią za to widziałem dwa razy w teatrze.

A dlaczego pan nie przyszedł do loży? Dlaczego pan jest pierwszy raz u mamy? Czy pan jest dziki w Warszawie?

— Nie, pani, ale pracuję i nie mieszam się do ruchu towarzyskiego, bo to zabiera wiele czasu, pociąga za sobą obowiązki, którym nie mógł-bym nastarczyć... Cieszę się niezmiernie, że mam sposobność podziękowania pani; nie mogłem wtedy na balu.

— Za co mi pan dziękuje?

— Andrzej mi mówił, że w Warze przyczyniła się pani głównie do namówienia ojca na tę podróż. Nawet wspominał o taktyce: „jeżeli papa pojedzie... kiedy papa tam będzie... papa musi jechać“.

— Ha, ha! ten Jędre! Wszystko widział, a nic mi nie mówił. Ale dobrze zrobiłam? Prawda? Pan mi mówił, że to dobra i potrzebna rzecz.

Dołęga odpowiedział cichym, gorącym głosem:

— Nie tyle jeszcze dziękuję pani, bo nie biorę tego dla siebie, ile wieszczę serdecznie. Postąpiła pani ślicznie i mądrze, jak prawdziwa obywatelka, jak prawdziwa księżniczka Zbarazka.

Halszka zarumieniała się z zadowolenia.

Tymczasem uboczna ta rozmowa zwracała już uwagę; szczególnie Reckheim rzucił ciekawem okiem w stronę Dołęgi. Wszyscy zdali już sobie sprawę, że pomiędzy księżniczką a tym jasnowłosym, tegim chłopcem istnieje jakaś sympatya, ale udawali obojętność i ciągnęli dalej senne rozmowy. Dopiero gdy księżna Hortensya zawołała ze szczególną intonacją:

— Halszko, nie mamy herbaty!

Zrozumieli wszyscy, nawet Halszka i Dołęga, że przedłużenie tej pogadanki choćby o chwilę było-by skrajną nieprzyzwoitością.

Jan powstał, zbliżył się do księżnej, aby się pożegnać. Otrzymał białą, nieruchomą rękę do pocałowania i proste dwa słowa:

— Żegnam pana.

Skłonił się dość hardo reszcie towarzystwa, z Halszką zaś pożegnał się na ostatku, bo ta odsunęła się pod jakimś pozorem od grona gości. Podając rękę Janowi, rzuciła oczyma w stronę matki i otworzyła usta, jakby miała jeszcze coś pilnego, coś najważniejszego do powiedzenia. Ale było to zupełnem niepodobieństwem pośród milczenia, otaczającego wyjście Dołęgi. Błysnęła więc tylko ku niemu nawpół rozpaczliwym uśmiechem i ścisnęła mu rękę wymownie. Jeżeli jest domyślny, zrozumie.



Skoro drzwi zamknęły się za wychodzącym, Kersten rzekł, odychając głęboko:

— Aaa! Jest jakaś ulga w powietrzu...

I zaśmiał się sam ze swego dowcipu.

— Jak się nazywa ten pan? Kto to taki? — pytał grzecznie Reckheim księżnej.

— To jest pan Dołęga... Do-len-ga... Trudne są czasem polskie nazwiska. Bardzo dobry inżynier, pracował u nas w Warze.

Halszka, zaciąwszy usta, patrzyła nienawistnie na Kerstena i męła między ząbkami straszne groźby:

— Ja ci tu dam, stary osłe...

Gdy się goście rozeszli po szóstej, księżna Hortensya zawołała starszego służącego.

— Dlaczego Dominik wpuścił pana Dołęgę bez anonsowania?

— A nie wiedziałem, proszę księżnej pani — przychodzi we środę, pyta, czy księżna pani, w domu... myślałem, że, tak jak w Warze, pan Dołęga jest na codzień...

— Niechże Dominik odtąd wszystkich anonsuje, oprócz we czwartki.

— Słucham księżnej pani.

## XV.

Dołęga wychodził od Zbarazkich z podwójnem wrażeniem: przyjęcie ogólne owiało go chłodem, a uśmiech Halszki zostawił mu jakiś ciepły dreszcz w piersi. Pierwszy to raz rozmawiał z nią naprawdę od wyjazdu z Waru, spotkał ją przelotnie zaledwie parę razy.

— Nadzwyczajny ma wdzięk ta panna... A jednak ona jest z nich i z nimi pozostanie — inaczej być nie może. Jej szlachetne porywy — to młodość; później sama będzie z nich drwiła pod wpływem swej atmosfery, tak jak drwi z nich już Andrzej, który także jest przecie z gruntu szlachetny... Ale siostra ma więcej charakteru, dużo więcej od brata. Niema co mówić, ta panna — to serce Zbarazkich. Ha! Gdyby ją kto wyprowadził z jej świata?..

Na myśl o prawdopodobnem małżeństwie Halszki krew w nim zawrzała, a gdy stwierdził, o czem myśli, uderzył się w czoło i zaczął sztychować sam z siebie:

— Co? Może-by się o nią starać?.. Myśl praktyczna! Ponieważ księżna nie wydaje mi się zachęcającą, starać się o córkę będzie trudno. Ha, ha! Za wysokie progi, panie Dołęgo!.. Otóż właśnie za niskie, a raczej szkoda, że się ta Halszka za innymi progami nie znajduje, bo jednak — to jest towarzyszka!

Aby sprawdzić swe spostrzeżenia, próbował je krytykować odwrotnie: Halszka dlatego idealna, że mu się podoba i że się zapaliła przypadkiem do dobrej sprawy, jak się zapala do tennisa, do konnej jazdy. Jej otoczenie dlatego nic nie warte, że księżna kwaśna, a książkę trochę leniwy. Poczekajmy, może ci ludzie umieją działać i używać potęgi swego bogactwa, uroku swego nazwiska, subtelności, którą wyrabia długa, dziedziczna kultura?

Z tych rozmyślań wypadło, że trzeba być cierpliwym i oczekiwać, aż zabiegi w Petersburgu dadzą jakiś wynik, aż działanie przybierze charakter określony.

Tymczasem brakło zupełnie wiadomości z Petersburga o stanie sprawy, która zaprowadziła tam trzech delegatów pod przewodnictwem Zbązkiego. Mówiono, że w Petersburgu panują jeszcze mrozy, podczas gdy u nas zaczęły się już wiosenne roztopy; mówiono, że tam karnawał był świetny i długi, że będą zmiany w ministeryach, że przymierze z Francją się utrwała; przychodziły codziennie różne wiadomości, — tylko o sprawie koncesyi na drogi białe głucho było w druku i w powieści. Dołęga czekał, a chociaż życie, pełne obowiązkowych zajęć, nie zostawiało mu wiele czasu na marzenia, czuł z nadchodzącą wiosną przypływ jakiegoś optymizmu, wzrost pragnień i ambicji. Obecność Halszki w Warszawie miała w tych pragnieniach duży, choć nieprzyznany udział. Pod wpływem uwag Andrzeja, począł się trochę mieszać do ruchu towarzyskiego i obcować z ludźmi, na których liczył w przyszłości; doraźnym z tego pożytkiem była sposobność spotykania Halszki, naprzykład u Gnińskich.

Gnińscy, mając na wydaniu dwie córki, nie odznaczające się ani posagiem, ani pięknnością, dużo mniej wybredni byli od Zbarazkich w zaproszeniach, zwłaszcza młodzieży męskiej. Dołęga ze swą powierzchownością przyjemną, z dobrem szlacheckim nazwiskiem, z reputacją człowieka pracującego owocnie, był bardzo możliwym



kandydatem na zięcia; to też Gnińscy dobrze go przyjęli, szczególnie ojciec, uprzejmy z natury, równie jak z wyrachowania. Hrabina i obie jej córki należały do rzędu istot, niezadowolonych ze swego udziału piękności i znaczenia w świecie; uprzejme z potrzeby, nieco zazdrośne z okoliczności, lubiły utyskiwać nad naszymi czasami, w których pozory zewnętrzne i pieniądze tak wielką grają rolę. Cała rodzina utrzymywała się jednak na poziomie wysokich sfer z powodu historycznego nazwiska i świetnych koligacyi. Ta dążność do równoprawnienia ze Zbarazkimi, lub Kostkami, przyczyniała Gnińskim trochę kłopotów pieniężnych i trochę kwasów wewnętrznych, ale reprezentacya domu na zewnątrz była okazała.

Dołęga nie miał wcale zamiaru starać się o jedną z panien; do tego domu zaprowadziła go najprzód pewna sympatya dla hrabiego Gnińskiego, który odznaczał się ruchliwością społeczną, znał różne sprawy publiczne, a w niektórych był czynny. W jego salonie mógł też Jan spotkać Halszkę. I rzeczywiście ujrzał ją na wieczorze u Gnińskich.

Otaczały ją hołdy mężczyzn i uśmiechy kobiet. W tych warunkach Halszka przybierała inny pozór, może jeszcze piękniejszy, ale mniej pocziwy. Oczy jej błyszczały tryumfalnie, nagradzały, albo karciły wymownie; dla Jana, choć były zawsze łaskawe, jednak roztargnione jakimś obcem szczęściem. O ile w spokojnych rozmowach, zbyt rzadkich, Jan czuł w Halszce istotę sprzymierzoną, pochopną do zwierzeń, do kochania rzeczy pięknych, o tyle trwożyła go postać Halszki rozbawionej.

-- W tej gorącej zabawy jest jakiś pierwiastek zakaźny...

Jak wówczas na wizycie u jej matki, widział ją i teraz otoczoną przez wytworną młodzież, która lasiła się do jej względów; pochlebstwa uśmiechy poddańcze spotykała ciągle około siebie, a w gronie dworzan jeden wyglądał na wielkiego szambelana: hrabia Reckheim, poważniejszy od innych, bardziej pewny siebie, trzymał się jej ostentacyjnie; gładząc jasną brodę, patrzył uparcie w oczy księżniczki, gotów na rozkazy. Ona zaś traktowała go specjalnie: jakby chcąc dać poznać, że jej nie imponuje ani jego medyatyzowana rodzina, ani pozycya w dyplomacyi, przemawiała do niego drwiąco, mniej grzecznie, niż do innych; dawała mu jednak ciągle zlecenia, niby uznając jego tytuł oficjalnego konkurenta.

Dołęga nie miał talentu ani do salonowych pochlebstw, ani do lekkiej, żartobliwej rozmowy, więc i na tym wieczorze nie czuł się

swobodnym, i mało rozmawiał z Halszką. W dalszych pokojach, gdzie mężczyźni palili papierosy, natrafił za to na wiadomości, blisko go obchodzące. Jak wszędzie, tak i tam, krzątał się gospodarz domu, zajmując się prawie każdym po kolei ze swych gości. Zwrócił się do Dołęgi:

— Może cygaro?.. Jakże stoi nasza sprawa szos?

— Nie nowego nie słyszałem oddawna.

— Ci panowie nie pisali?

— W każdym razie nie do mnie.

— Zbązki ich zaprowadzi wszędzie, gdzie potrzeba, — rzekł Gniński, — a stosunki z grafem Zellerem dokonają reszty.

— A więc udali się do Zellera?

— Jakto? I tego pan nie wie?—dziwił się Gniński. — Cieszę się zatem, że mogę pana poinformować. Mam bezpośrednie wiadomości, że rozszerzyli pierwotny projekt, że starają się w paru ministeryach. Zajmie im to jeszcze dużo czasu, a potem graf Zeller ma osobiście zjechać do Waru.

— Zeller do Waru?..

— Tak, tak. Dużo sobie obiecują po tej wizycie: nietylko koncepcji, ale i załatwienia wielu spraw naszych. No, zobaczymy.

Gniński przeszedł do innych swych gości, zostawiając Dołęgę zamysłonego. Jan obejrzał się dokoła, szukając wrażenia wieści, ogłoszonej przez Gnińskiego. Grono mężczyzn żywo o czymś rozprawiało; gdy się Jan przysłuchał, stwierdził, że chodziło tym panom o proces Dreyfusa. Powrócił więc do salonu, gdyż czuł wstręt do polityki zagranicznej, zwłaszcza opartej na depeszach gazet, i dziwił się, jak mogą rozprawiać godzinami o sprawach francuskich ci sami, dla których każda wewnętrzna sprawa krajowa jest tak zwaną „piłą“.

W parę dni po tym wieczorze Dołęga otrzymał drukowaną kartę z zaproszeniem na niedzielę do Zbarazkich, ostatnią przed Wielkąnocą. Domyślił się, że zawdzięcza ten zaszczyt protekcji młodego pokolenia: Andrzeja, może Halszki?..



## XVI.

Już po skwerach warszawskich krzaki bzów wypuściły pierwsze listki i kasztany roztwierały swe lepkie pąki, już świeża zieloność trawy ogłaszała wiosnę i promienie kwietniowego słońca, odbite od murów, prażyły rozkosznie w kark i w głowę miejskiego mieszkańca, który, zdjęwszy kapelusz, szedł wolno ulicą, rozpromieniony, udając, że mu za gorąco.

W Łazienkach wyższe konary drzew, jeszcze czarne, rysowały się jednak wiosennie na przezroczystym błękitnie, a niżej czeremchy już się przesłoniły zieloną gazą, i lozina ubrała się w świeże szare kiście, i coraz gęstsza zieloność spadała na krzaki, okalające klomby, aż rozplywała się szeroką powodzią na trawniki, gdzie w mokrych cieniach mnożyły się błękitne plamki sasanek, białe pierwiosnki i żółte płomyki kaczyńców.

Andrzej i Marynia szli wilgotną dróżką w pobliżu Pomarańczarni i rozmawiali o febrze.

— O, widzi pan—mówiła Marynia—siedzi tam w głębi klombu, na czarnej ziemi i czyha na nas; siedzi i tu, pod kwiatami—i wieje do nas z całej łąki... tak przyjemnie! Czuj pan?

— Czuję tylko mnóstwo zapachów i rozróżniam z nich wiele; czuję nawet zapach sukni pani.

— Ale febrę? tę niezdrową, tę nieprzyjazną, o której mówi pani Wadowska?.. Ach, trzeba do niej wracać, bo ona się doprawdy zaziębi na tej ławce.

— Jeszcze trochę, jeszcze chwilkę, moja Maryniu!

— Panie Andrzeju, proszę mnie tak nie nazywać...

Andrzej wziął ją za rękę i, pochylony ku niej, szedł obok, mówiąc:

— Przecie to pani nie ubliża, że jej daję najśłodsze, jakie znam, imię?

Marynia szła ze spuszczonei oczyma, słuchając tej muzyki.

— Niech przecie raz będzie wolno, kiedy jesteśmy sami, otrząść się z konwencyi, z form, które mnie dławią. Gdyby nie te więzy, dawno-bym już podążył do moich pragnień, do mojego własnego szczęścia.

Marynia teraz rzeczywiście drżała, jak w febrze, zważając do czego zmierzała mowa Andrzeja. Ale Zbarazki puścił rękę dziewczęcia i ciągnął dalej, smutniej:

— Tak mi obrzydło moje koło zajęć, czyli system mojego lenistwa! Muszę to wszystko przełamać—i przełamie— a wtedy przyjdę po pani i powiem ci to, Maryniu...

— Czy tak będzie?— spytała, podnosząc na Andrzeja oczy badawcze, ale słodkie i zaufane.

— Musi tak być— rzekł Zbarazki, całując obie ręce dziewczęcia bezbronne, drżące.

Był już wielki czas wracać do zostawionej opodal nauczycielki. Pocziwa pani Wadowska, oszołomiona przez urok i wytworną delikatność Andrzeja, dała się namówić do wspólnictwa tej niebezpiecznej wycieczki. Chodzić piechotą do Łazienek z Marynią— było zwyczajem, ale spotkawszy, niby przypadkiem, Zbarazkiego, pozwolić na samotną przechadzkę dwojga młodych— to już było zupełnie świadomą ślepotą— i biedna, uczciwa kobieta, pierwszy raz w życiu grając tę rolę, przechodziła na swej ławce przez najdramatyczniejsze wyrzuty sumienia. Żeby wyratować swą powagę, próbowała upominać powracającą Marynię, ale ta rzuciła się jej na szyję:

— Moja pani Zofio! przepraszam! już będziemy chodzili razem. Andrzej ukłonił się nisko:

— Moja wina; poddaję się odtąd pod absolutny rygor i rozkazy pani.

Chwyciła ich nagle dziecinna wesołość.

— Czy pan umie kosić trawę?— spytała Marynia.

— Umiem wybornie.

— To niech pan nakosi kaczynców.

— Ale czem?

— Tą laską.

Andrzej miał laskę z zakrzywioną rączką. Odrzucił w tył kapelusza, zakasał niby rękawy, stanął do kosy i machnąwszy kilka razy, ściął czubki trawy i trochę kaczynców.

— Teraz będzie zbiór!— zawołała Marynia.

Przyklekła i z użytych kwiatów i ziela zrobiła maleńki stożek. Andrzej rzucił się do pomocy i znaleźli się obok siebie na klęczkach. Ona zanosila się od śmiechu, a on patrzył wesoło na jej śliczne zęby, odsłonięte dziąsła i skórę tak delikatną, że krew pod nią krążyła prawie widocznie.

— Ależ moi państwo!— zwracała uwagę pani Wadowska.



— Zaraz, zaraz—teraz będzie podział—ma pan!—zawołała Marynia i cisnęła całym snopkiem na Andrzeja, który znowu odrzucił na nią, tak, że powstali oboje okryci zielenią.

— Doprawdy dosyć już tego, Maryniu!—rzekła nauczycielka—możemy kogo spotkać.

Zbarazki wybrał dwa kaczyńce i ofiarował po jednym obu paniom; więc Marynia podała mu także kwiatek i tak szli udekorowani złotymi gwiazdkami.

— Będzie to order Łazienek—rzekła Marynia.

Gdy się zbliżali do szerokiej drogi kołowej, ujrzeni powóz szybko jadący, a w nim strojną kobietę. Andrzej rzucił okiem i obrócił się w przeciwną stronę, mówiąc:

— Możebyśmy wrócili pod Pomarańczarnię?

— Nie, już niepodobna—protestowała pani Wadowska—trzeba koniecznie wracać do domu.

— W takim razie muszę pożegnać panie.

Marynia spojrzała niespokojnie na Andrzeja i na oddalający się powóz.

— Czy to pana znajoma?

— Nie poznałem zdaleka, ale może być. Lepiej na wielkich drogach nie pokazywać się razem. Pani Wadowska zapewne jest tego zdania?

— Tak, tak, do widzenia księciu.

Zbarazki pożegnał się ze szczerem westchnieniem i poszedł najkrótszą drogą ku Belwederowi, podczas gdy panie dążyły ku mostowi Sobieskiego. Wydłużał krok i zmykał bocznymi uliczkami, jak leśny kłusownik, gdy dostrzeże gajowego, poznał bowiem w przejeżdżającym powozie panią Hohensteg.

— Albo to mój pech,—myślał—albo, co gorsza, jej węch... Byłem dopadł do mojej dorożki pod Belwederem, pojedę przez Bagatelę i dalej naokoło...

Tymczasem jednak wspominał Marynię, jej śliczne oczy, jej obiecujące usta, a nawet uczuwał w sobie zupełnie nowe porywy do walki o tę kobietę, do bronienia jej, do złamania przesądów swojej sfery.

— Śliczne i dobre dziecko... a jakie wytworne, jakie słodkie i wdzięczne! Wszystko z niej zrobić można, nawet wielką panią... Żeby nie ten ojciec tylko... Wolał-bym doprawdy, żeby jej matka miała tę córkę z kim innym... Ale to tylko wyobraźnia—przecie stary Helle jest niepospolitym człowiekiem. Br!.. ojciec!.. A gdyby poczekać, aż Marynia wyjdzie za mąż, za jakiego przyzwoitego niedołęgę?.. Nie—świństwo.

Potem myślał, że zabrnął daleko i pytał się sumienia, czy się nie zobowiązał. Sumienie odpowiedziało potwierdzająco. Nareszcie począł sam sobie przyglądać się:

— Gdyby mnie tak kto podsłuchał i podpatrzył na tej sielance? ktoś ze Sportu? A jednak nie udawałem, nie kłamałem... Dziwna dziewczyna... Coby to jednak było, gdybym oznajmił rodzicom, że się żenię z panną Helle? Bo co do samej zasady szanowania swej krwi, cóż to za zasada? Zbarazcy urodzeni z Hellówniej mogą być bardzo piękni, ogromnie bogaci, a w kursie społecznym pozostaną tem samym, czem są. Nie jest to żadna moralna hańba, nawet nie fizyologiczna—ta panna jest nadzwyczaj rasowa. Więc to tylko hańba konwencyonalna. Ale to właśnie! Znosić ciągle wyrzuty wszystkich swoich i czuć, że są niesłuszne—i milczeć. Na to trzeba mieć dużo siły...

Dochodził do Belwederu i siadał już do swej dorożki, gdy powóz pani Hohensteg zatrzymał się tuż obok.

— O tej zapomniałem!—pomyślał Andrzej z rozpaczą, i zbliżył się, uśmiechnięty do stopnia powozu pani Izy.

— Brawo, mój chłopcze!—rzekła pani Iza po francusku—urządziłeś sobie wiosenne uczucie, idyllę, mieszczański poemacik. O! masz jeszcze kwiatek w butonierce, skromny polny kwiatek—daj mi go.

— Służę ci—odpowiedział Andrzej, oddając bez wahania kaczyniec Maryni—widzisz, jakich ja dla ciebie zdolny jestem poświęceń.

— Fel jakiś lepki chwast! nie chcę go. Czy to kwiat z dziewiczego wianka panny Helle?

— Nie—z łąki. Szkoda, że nie wysiadłaś tam na dole. Pyszne powietrze.

— Jakto? miałam wsiąść i przerwać wasze rozczulenia?

— Naturalnie! Rozczulał-bym się znowu z tobą, pożegnawszy pannę Helle. Gdy się spotyka znajomą w ogrodzie, zwykle się do niej choć kilka słów przemawia. Chyba żebyś nie chciała ze mną gadać?

— Przecież mówię z tobą.

— To mnie właśnie pocieszają; inaczej myślał-bym, że się na mnie gniewasz, co by mnie serdecznie bolało.

Pani Hohensteg spojrziała z niedowierzaniem na uśmiechniętą zupełnie spokojną twarz Zbarazkiego.

— Mój drogi! nie oszukujmy się wzajemnie.

— Czy mnie oszukujesz?—zawołał Andrzej patetycznie.

— Porzuć tę retorykę!—rzekła niecierpliwie pani Iza—Mówmy prosto. Romansujesz z tą małą?



— Właśnie dzisiaj zacząłem.

— Albo od paru miesięcy; przecie wszyscy wiedzą, że siedzisz ciągle u tych Hellów.

— Skoro się podjąłem poselstwa do Hellego w pewnej sprawie i mam z nim interesy, trudno, żebym u niego nie bywał. Wolał-bym wolać go do siebie, ale by nie przyszedł.

— Masz tobie! teraz on prowadzi interesy! To właśnie podobne do ciebie.

— Ha, skoro nie podobne, to musi być inaczej, na rozkazy pani hrabiny.

— Andrzejul nie drwij ze mnie!

— Kochana Izo! pierwszy raz spostrzegam, że chesz być nudna. Ale ci się to nie udaje. Jesteś zawsze najpiękniejszą i najmiłą z kobiet. Dokąd teraz jedziesz?

— Do siebie. Przyjdź do mnie na herbatę.

— Z największą przyjemnością.

— Więc za pół godziny?

— Za pół godziny. Do widzenia, Izo.

Gdy już powóz oddalił się ku miastu, Andrzej rzekł przez zęby:

— Żeby cię wszyscy dyabli!

## XVII.

Wesołe bóstwa przyrody mają swą porę taneczną na wiosnę. Oto właśnie na mokrej łące, gdzie rzeczka płynie przez lilie wodne i tataraki, pod bukietami kapiącej rosą olszyny, zawiodły Mgiełki o świcie swój korowód powolny, ślaniający się nisko nad łąką. Gdy potrąci tancerka o wychylony z wody łeb Wodnika, słychać mruczenie rozkoszne pośród rzeczki; wypluśnie czasem który, otworzy objęcia mszyste jak konary, zaśmieje się szerokim, żabim pyskiem i złowić usiłuje Powiewną. Ale Mgiełka ślizga mu się w objęciu i podąża, płynna, za tańczącymi siostrami.

Idzie taniec mglisty aż do wyższego lasu, jednak nie wchodzi do wnętrza, zawraca, bo tam inna dziedzina: tam hukają leśne bóstwa, udając pytania kukułki, śmiechy synogarlic i poświsty drozdów. Kozieł sarni, idący ostrożnie przez las do rzeczki, przeląkł się gwarów,

rzucił się w bok i stanął na pagórku wśród świeżej, majowej pszenicy. Podniósł głowę na wschód, a w łzawem oku odbił mu się pierwszy różowy promień.

Idzie już, idzie!—poszły silniejsze wołania po lesie, a powiewne szaty Mgiełek zakrzętały się szybciej po łące, aby zarządzić na spotkaniu Różanopalcej swe chóry żab pod kierunkiem takt bijących derkaczów. Na polu maleńkie bóstwa, mieszkające w kolankach pszenicy, rozbudziły skowronki.

I weszła wiecznie młoda Jutrzenka, witana przez wszystkie bóstwa wesołe, uśmiechnięta do świata, niepomna twardego panowania nowobogów.

A jednak przez ten kraj szeroki i rozweselony porankiem ciągnął się prosty, żółty nasyp, po którym ziejący żarem Wulkan II zwykł prowadzić swe grzmiące wozy. Właśnie z ogniska Jutrzenki wykwitł ciemny, buchający obłok i splamił brudnym fioletem różaną szatę bogini. Zbliżała się lokomotywa, potwornie dysząc i prując niemiłosiernie żelazną piersią korowód Mgiełek. Łoskot rwanych naprzód łańcuchów, głuchy stuk drewnianych wagonów, jęk szyn, napełniły powietrze groźną atmosferą rozpedzonego pociągu.

Przeleciał. Dwie pierzchające boginki miały czas zajrzeć do okna wagonu i uśmiechnąć się do dwóch patrzących przez to okno młodych twarzy.

W pociągu tym znajdowała się cała rodzina Zbarazkich. Wracali wszyscy na wieś, razem z panną Temirą Ostykówną, która miała zwyczaj przepędzać lato w Warze. Z powodu ilości państwa i służby najęto wagon salonowy i rozlokowano się w nim na noc wygodnie.

Skoro świt, Halszka zerwała się ze swej kanapy. Ujrawszy śliczny świat przez uchyloną franke, wyniosła się cicho z głównego przedziału i poszła obudzić Andrzeja, który spał osobno. Wkrótce siedzieli oboje przy oknie z zapuchniętymi jeszcze od snu oczyma, ale radośnie, majowo usposobieni.

— Patrz, patrz, Jędreku, jak tu ładnie!—zawołała Halszka, pokazując rzeczkę wśród olszyny; zaczęła hustać się na kanapie i aż pokrzykiwać z radości.

Nie wiedziała, że właśnie wtedy zajrzały do okna uciekające dwie boginki źródeł.

— Jaka ja głodna!.

— Wiesz co, że ja także—odpowiedział Andrzej.

— Przyniosę kosz z prowiantami... Tylko właśnie wpakowali go w siatkę nad łóżkiem mamy. Zaczekaj—przyniosę.



Wkradła się cicho do salonu, gdzie w półcieniu spoczywało parę niepozornych postaci, wdrapała się zręcznie i z wielkim wysiłkiem wyważyła kosz z siatki. Potem poszła do Andrzeja ze swą zdobyczą.

— Jaka bestya ciężka!—buch!

Przewróciwszy cały wewnętrzny układ kosza, wynaleźli kurę pieczoną i poczęli ją rozdzierać palcami i zębami. Halszka przerwała jedzenie i, oglądając lśniące od tłuszczu swe łapki, rzekła:

— Podróżujemy jak młode małżeństwo. Czy tak się zachowuje młode małżeństwo w wagonie? No—i ty tego nie możesz wiedzieć.

— Aha, prawda!—rzekł Andrzej, nie odpowiadając na pytanie—mam do ciebie interes. Kokietujesz Reckheima, a potem jesteś dla niego niegrzeczna.

— A daj mi z nim pokój.

— Poczekaj—mówię, że mam interes, o którym—bym nawet zapomniał. Był u mnie przedwczoraj Reckheim, i skarżył się na ciebie.

— Jak on śmie?!

— Halutka! cicho siedzieć!—Źle mówię, że się skarżył; owszem prosił o wytłumaczenie. Najprzód miał długą przemowę o twoich wielkich zaletach, przy której ja siedziałem, jak głupi. .

— Dlaczego? mogłeś mnie także chwalić.

— No dobrze... ale potem zaczął mi opowiadać o jakiejś scenie na przyjęciu u Kostków, na tem ostatniem. Cóżes ty mu tam powiedziała?

— Nic mu nadzwyczajnego nie powiedziałam.

— On mówi, że nie zrozumiał, boś się zwróciła do Zosi Kostkowej po polsku.

Halszka parsknęła nagle śmiechem:

— Aha, już wiem!

— Więc ponieważ nie rozumiał—ciągnął Andrzej—zapytuje, jak to ma wziąć, boś mu się wydała gniewną potem.

— A to paradnel—zawołała Halszka, zanosząc się od śmiechu, który już się udzielał Andrzejowi.

— Cóż mu więc powiedziałaś?

— Bo widzisz... zaczął mi gadać, że on już naprawdę kocha Polskę, ale tylko... dlatego, że ja w niej jestem. Więc odwróciłam się do Zosi i powiedziałam prędko: „świnia Niemiec“.

— Tak powiedziałaś? ha, ha, ha... ale dlaczego?

— Tak sobie... a potem bałam się, że usłyszał i rozumiał, więc zrobiłam minę poważną i nie chciałam już z nim gadać.

— Nie zrozumiał widocznie—mówił Andrzej—bo prosił mnie, abym cię przebłagał.

— Przebaczam mu.

— Ale widzisz, moja mała...

— Już raz ci mówiłam, żebyś mnie tak nie nazywał.

— Moja Halutko, nie można tak się zachowywać, kiedy się jest dorosłą panną. Mogła-byś być powodem jakiego zajścia..

— Zajścia?.. No dobrze.—A ty, moralisto, jak się zachowujesz z tą panną Helle?

— Jakto: jak się zachowuję? Znam ją, bywam czasem u jej rodziców.

— Kiedy ona się w tobie kocha.

— Skąd-że ta wiadomość?

— Wszyscy mówią. Nawet Iza powiedziała mi, że to niedobra dziewczyna. Ja tam nie bardzo wierzę Izie, ale przecież ty się z panną Helle nie ożenisz?

— A dlaczego nie?

— Bo to jakaś Niemka i mieszcanka.

— Nie masz o tem wszystkim pojęcia, moja Halszko. Powtarzasz po tej... ekscentrycznej Izie, albo nawet po mamie, która ma dawne idee.

— Ja mam te same. Nie możesz się z nią żenić. Zresztą—wiesz co?.. zróbmy taki układ: ja nie wyjdę za Reckheima, a ty...

— Ładna zamiana! O swego Reckheima dbasz ogromnie—dałaś tego dowody. Ja co innego ci zaproponuję.

— No co? co? mów prędko, co takiego?

Andrzej przeniknął siostrę wzrokiem, pod którym ta się zarumieniła.

— Ja wyrzeknę się panny Helle, a ty kogo innego... nie Reckheima.. Ty także dobra sobie jesteś: zawracasz wszystkim głowy, a bratu nie pozwalasz.

Halszka uśmiechnęła się mniej wesoło:

— Nie, wszystkim nie zawróciłam w głowie.

Zaczęła patrzeć przez okno, zerkając z ukosa na brata, którego już gniew wszelki opuścił, a bawił go śliczny profil siostry i główka, wychylona tęsknie ku migającym przy pociągu drzewom. Po kilku spojrzaniach i pół-uśmiechach Halszka doszła do wniosku, że nie potrzebne dalsze porozumienie i zapytała gorąco, ciszej, z niepokojem w oczach:

— A czy on przyjedzie?

— Mówił, że przyjedzie. Musi przecie skończyć roboty w łąkach.



— Teraz ci mówił?

— Nie zupełnie teraz—ale można-by do niego napisać.

— Mój Jędrku, mój jedyny, napisz!

I rzuciła mu się na szyję tak gwałtownie, że Andrzej spoważniał, zauważywszy w tym uścisku coś więcej niż dziecianną prośbę.

## XVIII.

W sypialniach dorastających panien jest coś tkliwego, coś zapowiadającego już zmysłowość i wyzwolenie z lekkiej niewoli, którą jest zawsze wiek dziecięcy, zwłaszcza kobiet. Atmosferę dzieciennego pokoju, zapach perkalu i prostego mydła przenika nieśmiała woń irysu, a nawet miesza się czasem do niej silniejsze pachnidło, zawarte w małej buteleczce, schowanej za lustrem, na gotowalni. Święty obrazek nad wązkiem łóżkiem nie sam już panuje na ścianach; naprzeciwko widać parę krajobrazów, zwykle malowanych akwarelą, najczęściej z Wenecyi; okok sprzętów użytkowych mnożą się fatalaszki zbytkowe i świeckie: saskie figurki, książka w żółtej okładce.

Pokój Maryni miał te cechy niezbędne, ale był trochę ładniejszy i bogatszy od innych. Angielski muślin w wielkie, stylizowane kwiaty dobrze się kojarzył z lakierowanym, blade-zielonym drzewem mebli; okno półotwarte na mały ogródek podwórzowy dawało przystęp świeżości poranka, a całe wnętrze pachniało pięknym, majowym kwiatem — samą Marynią.

Marynia była trochę leniwa, nie opieszała wcale albo ciężka, ale rozkosznie leniwa w ruchach, w giętkości szyi, w tęsknym uśmiechu oczu; lubiła też marzyć, a zwłaszcza gdy usiadła rano, w szlafrocuku, przed zwierciadłem.

Marzy i dzisiaj; oczy, szkliste jeszcze rosą od przebudzenia, zwraca to na lustro, to na gałęzie ogródka, na których świegocą wróble w migotliwych, zielonych cieniach. Ciepła, rumiana jej twarz śmieje się do poranka.

Zwróciła głowę ku drzwiom, bo zaszeleścił tam krok pokojówki Andzi i ukazał się biały czepek i biały fartuszek. Jedno spojrzenie między dwiema młodemi kobietami wywołało odrazu elektryczność i prędką rozmowę:

— Czy jest co, Andziu?

— Jest, proszę panienki.

I pokojówka, wyjąwszy z pod fartuszką list, podała go Maryni, sama zaś wyszła.

Marynia rzuciła okiem na krótki adres, poznała go i, zanim rozdarła kopertę, przycisnęła rękę do piersi, tłumiąc bicie serca; pozostała tak przez chwilę, patrząc radośnie, namiętnie na wróble poza oknem. Otworzyła list, ale ujrzawszy dziwne pismo, naśladowujące drukowane litery, pobladła. Sprawdziła jeszcze raz adres na kopercie: wydał jej się tym samym, co zwykle. Zaczęła jednak drżeć od przeczcucia jakiegoś nieszczęścia i wahała się, czy rozpocząć czytanie.

Przeczytała nareszcie,

„Moja mieszczańeczko! Nie sięgaj po mitrę, której nie dostaniesz. Pilnuj się lepiej, aby nie powiedziano więcej o twych obyczajach, o których już dużo mówią. Panna dobrze wychowana nie urządza schadzek, choćby pozornie niewinnych, i nie odbiera listów od mężczyzn.

Życzliwy“.

Zanim jeszcze skończyła czytać te brudne i okrutne słowa, łzy jej popłynęły; nie krzyknęła, tylko, zakrywszy twarz rękoma, długo i cicho szlochała. Następnie, odkrywając biedną twarz, jeszcze raz przez łzy spojrzała na list, wstała i schowała go w szafie, pod bielizną. Usiadła znowu i zaczęła myśleć, oparłszy oba łokcie na kolanach, popłakując jeszcze. Oczy, zwrócone w kąt pokoju, rozświetlały się coraz szerzej: wchodziła w nie zaduma nowa, dojrzałość, ośnienie bolesnej prawdy.

Zdawała sobie sprawę już dawniej, że parę spotkań z Andrzejem, kilka zamienionych listów, uczciwych, ale gorących,—są drogą ślizką; ale wiedziała o tem niebezpieczeństwie niby przez sen, opanowana przez świeże, silne uczucie; kochała nawet tę tajemniczość, to pół-porozumienie, bo dodawało poezyi i dramatyczności pospolitej historii starania się młodzieńca o rękę panny. Ale nigdy zimno nie zastanowiła się nad pytaniem: co to wszystko znaczy? Dlaczego tajemnica? Ten szkaradny list otworzył jej oczy — i dlatego patrzyły dziś, takie wielkie i biedne, w brudną rzeczywistość życia.

— Jestem dość piękna, dość bogata,—myślała,—a jednak starać się o mnie jawnie jest dla Zbarazkiego jakimś występkiem... może wstydem? Jakto? Czy i on tak myśli?!. Widocznie, skoro się kryje i mówi o walce z przesądami, o porzuceniu nawet swojej sfery...

Przypomniała sobie jedno jego zdanie:

— „Porzucimy nasze światki i pójdziemy razem w świat“...

Ale zaraz ufność w szlachetne zamiary ukochanego nasunęła jej inne tłumaczenie:

— On tak myśleć nie może, tylko przygotowuje swoją rodzinę, dumną i nie idącą z wiekiem; przygotowuje skrycie swe jawne



oświadczyni, dla pewności. On przecie nie lekkoduch, nie bałamut... i, skoro nazywa się Zbarazki, musi być rycerzem...

Znowu przypuszczenie, że on także, w głębi serca, czuje wstręt do jej mieszczańskiego pochodzenia, a pociąg tylko do jej piękności, zaparło dziewczynie oddech w piersi. Nie płakała już, zerwała się z krzesła i przeszła parę razy przez pokój, potrząsając głową:

— Nie, to być nie może, ja w niego wierzę.

Błąkały jej się potem po głowie uwagi społeczne niejasne, ale tem dziwniejsze, że pierwszy raz przychodziły jej na myśl. Słyszała przecie, że pochodzenie od rycerzy, czy kupców — nie jest miarą ludzi; że istniały niegdyś takie przesady, ale nie istnieją już dzisiaj; że ludzie wywyższa za naszych czasów rozum, nauka, zasługi dla społeczeństwa... Mocno była przekonana, że ojciec jej posiada wszystkie te zalety; wiedziała także o pochodzeniu swem przez matkę od Jana Dekierta, historycznej postaci... Mimo to czuła instynktowo, że ma wroga nie w jednej jakiejś osobie, ale w całej koalicji osób, w całej koteryi, że wróg to nie osobisty, lecz zasadniczy. Nagle poczuła niby ukłócie w piersi.

— Kto napisał ten list? Pewno kobieta.

Prędko doszła do wniosku, że tylko kobieta mogła śledzić jej stosunki z Andrzejem, bo mężczyzna nie miał-by w tem tak namiętnego celu; tylko kobieta mogła podpatrzeć adres, używany przez Andrzeja, i tak podstępnie zadać raz tak bolesny. Ta kobieta pewno go kocha, a może Andrzej...?!

Przestała płakać, przemyśla nawet oczy wodą i pierwszy zły płomyk zaświecił w jej łagodnem zwykle spojrzeniu. Poczula w sobie gorączkową energię i stanowczy zamiar: pokazać matce list bezimienny, a co za tem idzie — przyznać się do uprzedniej swej korespondencji ze Zbarazkim. Zadzwoiła na pokojówkę, ubrała się i poszła szukać matki po dużem mieszkaniu, wiedząc, że ją zastanie przy rozmieszczaniu kwiatów, lub przy rachunkach gospodarskich.

Stosunek córki do matki był najlepszy, pełen słodczy i wzajemnego zaufania. To też Marynia, idąc teraz do matki z tak poważnem wyznaniem, nie czuła strachu, tylko wyrzut sumienia, że długo trzymała tę najlepszą przyjaciółkę w niewiedomości o swoich knowaniach. Przystąpiła więc do niej odrazu ze szczerą skruchą. Serdecznie całując ją po rękach i po twarzy, uczyniła najprzód generalną spowiedź.

— Mamo moja! Najdrczsza mamol Ukrywam coś przed mamą od paru tygodni i tak mi z tem źle, że muszę powiedzieć...

I opowiedziała, że otrzymała pięć listów od Andrzeja, przyniosła te listy i położyła na kolanach matki.

Pani Hellowa patrzyła na córkę z bolesną słodyczą i, gładząc ją po włosach, rzekła:

— To źle, moje dziecko; to najprzód bardzo niebezpiecznie, a przytem... gdybyś mi powiedziała pierwej, wytłómaczyła-bym dlaczego takich rzeczy robić nie należy. Choć wiem, że w listach tych niema nic nieuczciwego, ani w twoich odpowiedziach... Czy odpowiadałaś mu?

— Trzy razy, mamó droga.

— To jeszcze gorzej. Trzeba znać świat, dziecko moje. Te dokumenta najszlachetniejszych uczuć ludzie mogą pochwyć, sponiewierać i ciebie obmówić.

— Ach, mamó, już się to stało!

I Marynia wybuchła głośnym płaczem, a pani Hellowa przysunęła do niej swe krótkowidzące, zaniepokojone oczy:

— Co ty mówisz, Maryniu? Zmiłuj się...

Dziewczyna, zanosząc się od płaczu, wydobyla z kieszeni otrzymany rano list i podała go matce.

— To dziś... dziś... przeczytaj!

Hellowa chwyciła śpiesznie lornetkę i, zbliżywszy się do okna, przeczytała nikczemne pismo. Pobladła, wyprostowała się z pewną dumą i, spoglądając z góry na córkę, zaczęła mówić:

— Widzisz, to są skutki...

Ale zaraz uprzytomniła sobie, że tej biedaczce zgnębionej, lkażącej na kanapie z zakrytą twarzą—czynić wyrzuty jest co najmniej niewczesne—i widziała już tylko nieszczęście, spadające na jej najukochańszą istotę, wspólne nieszczęście. Siadła więc obok córki i przygarnęła ją do siebie:

— Uspokój się, dziecko... uspokójmy się obie... zaraz o tem pomówimy... No, nie płacz, Marynko!

Ale sama płakała i pozostały tak dość długo, tuląc się do siebie i zamieniając urywane wyrazy.

Nareszcie Hellowa odezwała się stanowczo:

— Trzeba to pokazać ojcu.

— Mamó, co to będzie? — zawołała Marynia, cofając się z widocznym dreszczem.



— Ja to zrobię sama, bez ciebie, — odrzekła matka, — nie mów nawet zupełnie o tem ojcu... a on ci zapewne także nie wspomni.

Zapadła w głęboką, niespokojną zadumę.

## XIX.

Arnold Helle bywał niebezpieczny w wybuchach gwałtownego humoru, ale te zdarzały mu się głównie wtedy, gdy nie widział innego sposobu wyjścia z zawikłania. W przeciwnym razie przyjmował zło wiadomości zimno i w pięć minut miał już gotowy plan obrony przeciw losowi. Czasem plan ten zmieniał po namyśle, choć pierwsze rzuty były zwykle najtrafniejsze. Miał też pewne względy dla żony, którą dawniej bardzo kochał zmyslowo, a obecnie szanował, jako zaufaną i rozumną sojuszniczkę.

Skoro dowiedział się od żony o całej prawdzie, zmarszczył się i parę razy przeszedł wzdłuż pokoju. Rzekł nareszcie, wcale niespodziewanie, z błyskiem uśmiechu w oczach:

— Ha! Krew burzliwa... moja córka...

Potem zażądał wszystkich listów Zbarazkiego, przeliczył je i schował do pugilaresu; osobno umieścił w kieszeni list bezimienny. Przyrzekł następnie, że z Marynią nic do czasu mówić nie będzie ani o tych listach, ani o Zbarazkim. O uczuciu zaś córki był już dawno i dobrze powiadomiony. Pocałował żonę w czoło i rzekł:

— Postaramy się to urządzić. Jaka szelma pisała ten ostatni list, to rzecz ciekawa, ale drugorzędna. Ważniejsze są listy Zbarazkiego. Mam nadzieję, że to porządny człowiek.

Rozstając się z żoną, wiedział już, co uczyni.

Rozmówić się osobiście ze Zbarazkim, pokazać mu jego listy i zapytać, co mają oznaczać—był to sposób zbyt prosty i niezgrabny. Wiedział zresztą, że Andrzej, parę dni temu, wyjechał z rodziną do Waru. Trzeba było znaleźć do porozumienia się ze Zbarazkim uczciwego pośrednika; przyszedł mu na myśl Jan Dołęga. Helle wiedział o przyjacielskich stosunkach tych dwóch kolegów; wiedział, że Dołęga jest autorem projektu sieci dróg bitych; że pojedzie zapewne temi dniami do Waru. Wiedział i pamiętał wszystko, co mogło-by mu się kiedyś przydać, a samego Dołęgę znał nieźle, bo go spotykał na posiedzeniach i w towarzystwach kolejowych.

Napisał wnet do dyrektora biur kolejowych, w których pracował Dołęga, prosząc, aby mu przysłał, jeżeli może, pana Jana z pewnemi aktami i objaśnieniami do nich; a że z dyrektorem był w zażyłych stosunkach, uprzedził go, że nietylko prosi o te akta, ale i o tego posła, bo ma do niego inny interes, związany ze sprawą dróg bitych.

Skoro więc zjawił się Dołęga, niby urzędownie, z powierzonymi mu ważnemi dokumentami, które tę misję usprawiedliwiały, Helle przyjął go z dobroduszną uprzejmością. Po odłożeniu papierów na bok, rzekł:

— Przyznam się, że pragnąłem z panem pomówić jeszcze o czemś innem, i dlatego prosiłem waszego dyrektora, aby panu, a nie komu innemu, powierzył te akta. Chodzi mianowicie o szosy, któremi pan się zajmujesz. Jest to sprawa istotnie ważna. Znam też pański memoriał i projekt: oba są znakomicie ułożone.

— Jednak pan prezes nie dowierzał tej sprawie wówczas, gdy rozmawiał o niej z Andrzejem Zbarazkim, — rzekł Dołęga, — więc sądziłem...

— Widzisz pan... wtedy nie mogliśmy się porozumieć: wpadliśmy w dyskusję zasadniczą. Wogóle wyznać panu muszę, że... nie zupełnie wierzę w robotę tych panów. Szkoda, że pan sam nie udałeś się wtedy do mnie. My, technicy, inaczej-byśmy to między sobą rozwinęli.

Helle powtarzał często: „my, technicy“; był to jedyny tytuł którego lubił używać.

— Nie wiem, — ciągnął dalej, — co ci panowie z Petersburga przywiozają... gdyby jednak otrzymali koncesyę, służyć moim udziałem pieniężnym.

— Spodziewałem się tego i wówczas, — rzekł Dołęga uradowany, — znając pańską ofiarność i obywatelskie uczucia; dlatego sam namówiłem Andrzeja Zbarazkiego, aby się do pana udał.

— A czemuż pan sam nie przyszedłeś, panie Janie? Widzisz pan: dzisiaj w dwóch słowach dochodzimy do zgody. Wprawdzie przeczytałem pana operaty, których przed rozmową ze Zbarazkiem jeszcze nie znałem.

— Pochlebia mi to i bardzo mnie cieszy. — rzekł Dołęga. — Mając zapewnione pańskie poparcie, jesteśmy już dużo silniejsi. A jest to sprawa. .

— Do sprawy już mnie pan piśmiennie przekonałeś, — przerwał Helle, — ale jeżeli-byś pan chciał technicznie rozmówić się o tem, będą miał w przyszłym tygodniu u siebie dwóch inżynierów z Peters-



burga, z których jeden mógł-by nawet wiele nam pomódz. Może pan pozwolisz do nas na obiad, a wtedy pogadamy fachowo.

— Niezmiernie żałuję, panie prezesie; zobowiązałem się pojutrze jechać do Waru, na roboty, które tam rozpocząłem.

— Do Waru? do Zbarazkich?... Może i Zbarazcy już wyjechali?

— Tak jest.

Ruchliwe muskuły twarzy Hellego ułożyły się w maskę zasepio-ną, czub nasunął się na czoło. Milczał przez chwilę, potem rzekł wolno, cicho, jakby do siebie.

— To szkoda. Mam do nich ważny interes.

Dołęga, wybornie usposobiony poprzedzającą rozmową, ofiarował natychmiast swoje usługi. Wtedy Helle wlepił w niego swe żółte oczy, dobrodusznie i smutnie migocące pośród żółciowych pęcherzy.

— Ha, panie Janie, skoro się tak składają okoliczności, to i ja mogę mieć do pana prośbę. Ot, jak się to w życiu zdarza: dziś ty mnie, jutro ja ciebie potrzebuję... Miałem pana zawsze za wyjątkowo zacnego i poważnego człowieka, a jeżeli nie mam prawa do pana przyjaźni, to proszę w każdym razie liczyć na moją.

Przechylił się nerwowo na fotelu i wyciągnął kościstą rękę do Jana, który nścisnął ją z sympatyą, choć przeczuwał, że się posuwa do delikatnych i kłopotliwych wynurzeń.

— Skoro Andrzej Zbarazki jest pana przyjacielem... wszak tak?

Dołęga potwierdził.

— Skoro więc jesteście w przyjaźni, musiał on tam zwierzać się panu z uczuć i zamiarów.

— Panie prezesie, nikt mnie nie upoważnił...

— Nie, nie, panie Janie, nie żądam wcale zdrady zaufania owszem, proszę o dyskrecyę. Domyślasz się pan, że chodzi tu o moją, córkę. Otóż — uprzejmości i zabiegi księcia Zbarazkiego każą mi przypuszczać, że jest moją córką zajęty. Ponieważ jednak książe Zbarazki dotychczas nie mówił nic w tym sensie ani ze mną, ani z moją żoną, — trzeba tę rzecz wyjaśnić — i tutaj liczę na pana.

— Podejmę się chętnie pańskich zleceń, — odrzekł Jan, kręcąc się trochę na krześle, — ale proszę o zlecenia zupełnie określone.

— Najzupełniej określone. Znadto mnie pan znasz, aby sądzić, że pragnę tego związku dla jakiegoś zaszczytu. Nie w takich już czasach żyjemy. Gdybym chciał, tobym córkę, która po mnie dziedziczy cały majątek, wydał za jeszcze większego księcia, bo każda wielkość jest względna. Ale, z drugiej strony, nie mam przeciw Zbarazkie-

mu, skoro jest porządnym człowiekiem i podoba się moim kobietom. Tylko o moją córkę starać się trzeba jawnie, albo wcale się o nią nie starać.

Dobroduszość ustąpiła zupełnie z oczu i z postawy Hellego.

— Oględne jakieś zaloty, znikanie, ukazywanie się znowu — to sposoby dobre dla bab-kokietek, ale nie dla mężczyzny. Daje to powód do głupich komentarzy i do intryg.

— Cóż się takiego stało? — spytał zdziwiony Dołęga.

— Oto co się stało, rzekł Helle, dobywając bezimienny list z kieszeni i rzucając go gwałtownie na stół, — moja żona znalazła dzisiaj ten gałgan, zaadresowany do mojej córki. Na szczęście nie doszło to do rąk Maryni. Przeczytaj pan.

Dołęga przeczytał i rzekł:

— Jakiś nیکczemnik...

— To wiem, że nیکczemnik i to mnie nie dziwi. W mojej pozycji ma się wielu nieprzyjaciół i nieraz odbieram anonimy. Rzucam je do pieca. Ale ten dowodzi czego innego. Dowodzi, że już imię mojej córki dostało się na psie języki z powodu niewyraźnego zachowania się księcia Zbarazkiego... czy nie mam racji?

— Ma pan słuszność, — odpowiedział Dołęga po pewnem wahaniu.

— Chodzi więc o to, aby list ten pokazać Zbarazkiemu i zapytać, co o nim sądzi. Czy pan to zrobisz?

Dołęga spuścił oczy, załamał nerwowo ręce i milczał przez chwilę. Rzekł nareszcie:

— Panie prezesie! Usługa, o którą mnie pan prosi, jest pozornie mała i przynosi mi zaszczyt ze względu na zaufanie, jakie pan we mnie pokłada. Ale materya tak jest drażliwa, że może narazić na szwank moje stosunki ze Zbarazkimi, o które dbam nie tylko dla osobistych widoków.

— Dbasz pan o nich ze względu na swoje ogólniejsze zamiary? Wybornie. Z tych samych względów dbać pan mógł-bys i o mnie. A więc: donnant-donnant — masz pan mój współdział w sprawie szos, a mnie pan daj swoją pomoc tutaj. Zgoda?

— Ano, — rzekł Jan, — jedna i druga sprawa dobra... więc przyjmuję zamianę.

— Oto właśnie, — zaśmiał się głośno Helle, wyciągając rękę do Jana, — to jest realna podstawa! To po kupiecku, no i po przyjacielsku. A skorośmy już w porozumieniu... co pan sądzisz o młodym Zbarazkim? Czy to człowiek seryo?

— Człowiek bardzo zdolny.

— Nie to, ale czy liczyć na niego można?



— Ja mu ufam, — odpowiedział Dołęga głosem nie dosyć stanowczym.

— Więc pan myślisz, że i w danym wypadku postąpi, jak przystoi...

— Mam nadzieję...

Helle spojrzał na Dołęgę tak przenikliwie, że Jan poczuł niby fizyczne dotknięcie tego spojrzenia.

— Starzy Zbarazcy będą przeciwni?

— Za tych mniej jeszcze mogę odpowiadać, niż za Andrzeja.

— A więc przekonamy się, kto to taki pan Andrzej Zbarazki, — rzekł Helle prawie groźnie.

Rozmowa falowała tak między spokojem a burzą, ale Dołęga miał tę przewagę, że był tylko ubocznie interesowany. Rozstali się w dobrej komitywie. Przy pożegnaniu Helle odzyskał swą dobroduszość i mówił da Jana:

— Ja-bym tam nie dbał o to, ale moje kobiety, amory, księstwo... Rozumiesz pan?

## XX.

Zezylia, słowiańska Venus, tęskna, przeciągała wieczorem w początku czerwca nad okolicą Waru. Szatę miała jasną, sfałdowaną z muślinowych chmurek, wiszących na bladym niebie o zachodzie i tylko kilka wstążek ognistych od strony słońca, które już znikło za górą zamkową. Płynęła ze spuszczoną głową, długie złote włosy ciągnąc od jasnego kraju widnokregu w przestwór ciemniejący; i oczy jej były pełne tęsknego błękitu, a nad głową coraz to gęstsze zapalały się pyły iskierki. Trącała bzy rozkwitłe całym kobiercem pod stopy kochanej bogini—i wdychała często od szczęścia wiosennego, od młodych pragnień, a kiedy westchnęła, bzy posyłały wonie i górne gałązki drzew gwarzyły:

— Zakochała-ż się nasza Pani, zakochała!..

Minęła już ogród, ciągnie nad ciemną łąką i pod ciemniejszym jeszcze borem legła do snu długą mgławicą.

Po parku warskim, spływającym ogromną kaskadą zieleni od tarasu zamkowego do rzeki, zaczęły się mnożyć cienie. Świeciły tylko

drogi wysypane piaskiem. W gąszczach rozległy się stłumione śmiechy, jakieś pościgi i ucieczki. Może fauny i dryady? może tylko służba dworska dokazuje po krzakach w tę noc do rozkoszy stworzoną?.. Ale śmiechy umilkły, bo na tarasie ukazały się dwie panie: jedna smukła, świecąca młodością, druga zgarbiona, okryta niby zakonnym habitem. Halszka sprowadzała ostrożnie ciotkę Temirę po schodach do parku „na konwersacyę“. Staruszka macała każdy schód kulą, nie przestawała jednak mówić żywo, z młodzieńczą niemal intonacją, której tylko brak zębów psuł trochę harmonię. Gderała, śmiejąc się:

— Nie wiedzieć co... wyprowadzać taką, jak ja, niedołągę po nocy do parku... trzeba mieć wróble w głowie!

— Ja ciotkę trzymam mocno—odpowiedziała Halszka—żeby się nawet kula pośliznęła, to bym utrzymała. Co tam! ja-bym ciotkę wzięła i zniosła ze schodów.

— Tylko nie próbuj, proszę cię.

Znalazły się wkrótce na równej powierzchni między tarasem a częścią parku spadającą ku rzece i poszły jedna obok drugiej, trzymając się pod rękę.

— Czy ciocia widzi to morze tam?

Z góry zamkowej widać było za rzeką rozległe łąki zalane teraz jedną lawą mgły, nad którą księżyc już się rozszrebrzył i czynił ją podobną do wielkiej, sennej wody.

— Nie widzę, moje dziecko, ale pamiętam ten widok; jest bardzo piękny.

— Jaka noc, ciociu!—rzekła Halszka, wietrząc głośno bogate zapachy parku i łąk — tak-bym chciała z kimś pochodzić po parku dzisiaj...

Panna Ostykówna nie obrazila się bynajmniej, rozumiała bowiem, że w taką noc przywołuje się „kogoś“ młodego, a jeżeli ten ktoś nie istnieje, jako osoba, to musi dziewczyna kochać się choćby w urojonym bohaterze. Aby wpaść w ton odpowiedni, Temira zaczęła wywoływać jedno ze swych romantycznych wspomnień.

— Chodziłam tak niegdyś z twoim ojcem tutaj, kiedy był jeszcze w szkołach—i tak samo mi powiedział: „czy widzisz to morze tam?..“ A kochał się podówczas w swojej kuzynce, Joannie, która już biedaczka nie żyje.

— Ciociu! i ja się kocham.

— Co ty mówisz, Halutko?

Staruszka pochyliła się żywo ku dziewczynie, ruchem ciekawym i zadowolonym, wiedząc, że należy jej się to zwierzenie, jeszcze jed-



no, może tysiączne. Panna Temira, niegdyś bardzo piękna, włożyła strój zakonny po jakichś odwiecznych zawodach sercowych, których już nikt nie pamiętał, ale zawsze uczuciowa strona życia zajmowała ją gorąco, to też знаła wszystkie historye miłości i miłostek cudzych od pół wieku, odczuwała je, była powiernicą i doradczynią paru pokoleń, zawsze powabną jakimś cichym wdziękiem starości, i żywą i wesołą przyjaciółką młodych.

— Co ty mówisz. Halutko?! No, wyznaj mi wszystko. Wiesz, że ze mną mówić możesz, jak ze spowiednikiem.

— Już powiedziałam.

— Jakto? Nie powiedziałaś nawet w kim. Może i domyślam się, ale od ciebie nic jeszcze nie wiem, moje dziecko. No, mów!

— Cóż cioci powiem? zdaje mi się, że się Kocham.

— Ale w kim? w cudzoziemcu, czy w rodaku?

— W cudzoziemcu?.. El ciocia myśli pewnie o tym Reckheimie, który mi tam głowę zawracał?

— Jak ty się wyrażasz, dziecko!

— A co? czy nie dobrze?

— Nie dość... stosownie. Mniejsza z tem. Więc w rodaku. Tutaj moje domysły trochę błędzą. Wiem, że w Warszawie miałaś całą młodzież u swych nówek. Nic dziwnego. Ale słyszałam o tyłu zajętych tobą, że chyba-bym zgadywała przez kwadrans.

— Ciociu! Ten, o którym myślę, nie starał się o mnie, nie widywał mnie prawie w mieście, a i dzisiaj, choć mógł-by być w parku z nami, siedzi w swoim pokoju.

— Jest tutaj? To już nie wiem zupełnie, kto taki...

— Przyjechał właśnie przed godziną i zamiast się pokazać, siedzi tam — o! w tych dwóch oknach, co się świecą na piętrze, przy rogu baszty.

— Kto taki?

— Pan Dołęga.

Panna Ostykówna nie spodziewała się tego nazwiska, ale, będąc przebiegłą, jak wszystkie osoby bardzo delikatne, nie dała poznać po sobie, że ją ten wybór zadziwia. Podniosła zamglone oczy na okna, wskazane przez Halszkę i z sennym uśmiechem rzekła:

— Przyjechał? Nie wiedziałam. Bardzo miły młodzieniec — przedstawiono mi go w Warszawie.

— Ale jaki dzikus, ciociu! Co-by mu szkodziło przebrać się i zejść do salonów?

— Moje dziecko, to świadczy o jego takcie i dobrem wychowaniu. Przyjechał tutaj na roboty, nie chce się narzucać.

— Ciociu? czy to dobre nazwisko: Dołęga?

— Bardzo dobre. Było ich dwa domy za moich młodych czasów. Nawet jedna Dołężanka jest waszą krewną, bo...

— Ale ten ma pańską minę? prawda?

— O ile moje biedne oczy mogły to osądzić—ładny chłopiec.

— I dobrze się ubiera—prawda ciociu?

— Tego już ja, moje dziecko...

— Bo co też to za pomysł—przerwała znowu niecierpliwie Halszka—żeby być inżynierem i babrać się w tych łąkach? O, czy tak lepiej nie wyglądają, zalane wilgocią? Albo pracować przy kanalizacji Warszawy, jak mi sam mówił... Mógł-by przecie żyć, jak inni, a zajmować się tylko takimi... dużymi rzeczami.

— Moja Halutko, on zapewne musi pracować na życie...

Dziewczyna przystanąła i utopiła czarne spojrzenie w ciemnym gąszczu parku. Ale podniosła znowu oczy na okna pokoju Dołęgi, w których dostrzedz było można cień, przechodzący przez spuszczone zasłony. Wskazując na te okna, rzekła:

— A ja tam już byłam dzisiaj.

— Gdzie, moje dziecko?

— W pokoju pana Dołęgi.

— Co ty bredzisz?

— Tylko przed jego przyjazdem. Zobaczyłam, czy wszystko w porządku, i żeby mu było wesoło, położyłam parę kwiatów na poduszce... Czy on się domyśli, kto położył?

— Kochające serce przeczuje taki zamiar.

— Ale on mnie wcale nie kocha, ciociu! Nic mi nawet podobnego nie powiedział.

— O czym-że zwykle rozmawiacie?

— Tak mało mówiliśmy z sobą—i nawet nie zabawnie. Tylko, kiedy z nim mówię, wydaję się sama sobie lepszą.

— Tak, moje dziecko. Musi to być człowiek szlachetny i rozumny; musi wiedzieć, czego chce, i dlatego wzbudza w tobie zaufanie.

— A także—ciągnęła dalej Halszka—kiedy mówi o czymś, czego bardzo pragnie, to mu trzeba koniecznie patrzeć w oczy, tak spoglądają jasno jakoś i głęboko. Andrzej też jest zdania, że to jeden z najdzielniejszych ludzi, jakich zna między nami. Andrzej



go ma zupełnie za równego z nami. Prawda ciociu, że on jest nam równy?

— Moja Halutko, ludzie są równi wobec Boga, ale wobec świata jest tyle różnic, że chyba dwóch równych rodzin, ani nawet dwóch osób nie znaleźlibyśmy.

— Ale on jest przecie z naszej sfery?

— Zapewne.

— Mama jednak go tak przyjmuje, jak kogoś niższego... a on więcej wart od wszystkich razem.

— Widzisz, moje dziecko, mama jest osobą bardzo wyłączną i lubi tylko dawnych znajomych.

— Tak się to mówi; mama umie dobrze przyjmować i nowych... Ale żeby naprzykład pan Dołęga oświadczył się o mnie...

— Oj, oj, Halutko!—przerwała Temira—mówisz sama, że ci jeszcze nic takiego nie powiedział, co-by znamionowało uczucie, a myślisz już o odpowiedzi manły. Wolno, spokojnie, moje dziecko; nasza rola jest zawsze bierna; musimy czekać na pierwsze kroki mężczyzn.

— Ach, to takie nudne, ciociu!

Chodząc po równej przestrzeni parku przed zamkiem, tam i napowrót, minęły już kilka razy dwa oświetlone okna pokoju Dołęgi. Nagle Halszka wyrwała rękę z pod ramienia Temiry.

— Ja w to okno czemś cisnę... może dorzucę.

I wzięła już garść piasku, ale ją ciotka żywo zatrzymała.

— Jeżeli mnie choć trochę lubisz, nie rób tego, Halszko! Nie można zapominać o swojej godności kobiecej, ani o tem, że jesteś księżniczką Zbarazką.

Halszka upuściła piasek, strzepnęła ręce, ale zerknęła jeszcze ku oknom i nie wiedzieć, co ją bardziej nęciło, czy chęć zawołania Dołęgi, czy ten figiel chłopca-urwisa. Wychowana w towarzystwie starszego brata i dwóch stryjecznych, rówieśników swoich, którzy byli teraz po uniwersytetach, nabrała tego zamięłowania do tężyzny i tych męskich pozorów, kojarzących się jednak wdzięcznie z jej dziewczęcą pięknnością.

Długo jeszcze staruszka z dziewczyną chodziły po parku, przy księżycu, ciągnąc rozmowę o Janie—i coraz bardziej buchało serce Halszki jasnym płomieniem, coraz bardziej rozgrzewało się przy tem ognisku wrażliwe serce Temiry.

Uroczystość nocy zaległa nad Warem, szmer wolnych kroków po piasku był najtęższym tonem dalekiej ledwie dosłyszalnej orkie-

stry, granej jednak przez tysiące lutni na wierzchołkach drzew, i gdzieś na łące, i gdzieś od lasu. Wtedy Zezylia, przebrawszy się w błękitną szatę księżycową, wstała z pod boru, a ujrawszy dwie nowe poddane w swem sennem królestwie, zbudziła powiew i kazała bżom parkowym i młodym liściom i macierzankom łącznym owiewać te dwie kobiety aż do upojenia.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

(C. d. n.)



---

# Arnold Böcklin.

---

Do nas należą najgłębsze myśli, najczystsze uczucia, najbłękitniejsze niebo i najpiękniejsze kobiety.

Nietzsche: „Zaratustra“.

Dwa miesiące temu zmarł wielki malarz, wielki poeta, głęboki filozof, Szwajcar—Arnold Böcklin. Doczekał późnego zachodu życia, doczekał wielkiego uznania ojczyzny i rozgłosu świata, gdyż ofiarował ludzkości to, czem tylko wielcy twórcy darzyć mogą — szczerą złotą poezję piękną, wytopioną z własnej bogatej duszy poety.

„Kto poetę chce zrozumieć, musi poznać jego ojczyznę“, bowiem twórcza moc poety wiele bierze z ziemi, na której wyrosła.

Dwie ojczyzny miał Böcklin, a każda jak gdyby przeznaczona na to, by rodzić artystów. To też tworzył na cześć obydwóch, z miłością zmysłową zmysłowe poematy, w których osiadały dusze tych krain, z jego własną duszą zespolone w jedność.

Szwajcaryca była mu matką, karmiącą niemowlęce zmysły czarem swej piękności dzikiej i olbrzymiej. A Italia przygarnęła go w dniach młodości „górną i chmurną“, jak kochanka przygarnia

mężczyznę do piersi gorących, oddając mu się cała w swej bezwstydnej nagiej piękności.

Ciemne i głębokie przepaści, strachem i wilgocią ziejące, i szczyty niebotyczne, ukwiecone śniegiem, gorejącym o zmierzchu, i gęste lasy, zadumane w swej ciszy, i szemrzące w nich pod kępami stubarwnych kwiatów, srebrzyste strumienie i świetlane brzozowe gaje, święte po dawnemu, choć wieki wytraciły z nich rody druidów, i wielkie jeziora, błękitne jak niebo wrześnieowe, rzucone człowiekowi pod stopy, wszystko to w najczystszej odbiciu weszło przez zdziwione oczy dziecka i osiadło na zawsze we wrażliwej jego duszy. I zapłodniły ją te dziwy, jak pyłki na wiosnę, że poczęła i stała się pełną mocy twórczej.

A gdy zrozumiał Böcklin, że jest twórcą, zrozumiał także, że drugą ma jeszcze ojczyznę za Alpami, i poszedł tam między pogańskie bogi i ruiny upajać się pogańskim duchem piękna, który jest równie nieśmiertelny i panuje światu na ruinach, równie wielkich i równie świętych, jak Biblia.

A dusze twórców mają dziwną moc czarodziejską, która sprawia, iż danem im jest zamieniać się w co tylko zechcą. I Böcklin miał tę moc, więc wstępowały w niego dusze dawnych ludów tej ziemi w ruinach zawarte, aby czuł tak, jak oni. I oto geniusz Etrusków, Greków i Latynów wszczepił się w ten pień teutoński, mocny jak dąb, aby rozrosnąć się w szerokie konary.

Na tle bezbarwnej masy dzisiejszych umysłów, maszynowo na jednej urobionych sztancy, duchowa postać Böcklina odcina się swą muskularną sylwetą tak potężnie, jak mytyczna postać Thora, który ma w ramieniu moc tysiąca mężów, a w zmysłach żądze tysiąca. Co najwięcej uderza w Böcklinie, to właśnie ta potężna, indywidualna odrębność w stosunku do pojęć epoki, ten bezwzględny rozbrat z konwencyjonalnem kłamstwem, z wszelką doktryną, z eklektyzmem maluczkich dusz i maluczkich a żarłocznych pragnień. Cała jego twórczość, to jeden bunt przeciw zacieśnieniu się granic natury ludzkiej w imię wygody i spokojnego trawienia, bunt treści rasy przeciw skorupie zwyrodnienia, która ją uciska. On, syn kupca, dla którego *debit* i *credit* stanowi oś świata, ze wstrętem prawdziwego syna ziemi drży pragnieniem życia istot niezależnych, zdrowych i szczęśliwych, i żądze ducha swego unosi w głąb dziewiczej przyrody, którą zaludnia żywymi kształtami własnych pragnień.



Pamiętam wrażenie, które odniosłem przy pierwszym widzianym obrazie Böcklina. Gdy dziesięć lat temu wyjeżdżałem do Monachium, wstąpiłem na wyjezdne do pracowni Witkiewicza. Zaczęliśmy rozmowę o Monachium i sztuce; on, stojąc przy obrazie, który malował, ja chodząc wokoło ścian, na których porozwieszane były szkice i studia.

— Właściwie, po co pan jedzie do Monachium, — rzekł, cofając się o kilka kroków dla ocenienia dokonanej pracy. — Nie warto! Pierwszy lepszy żebrak na ulicy, pierwsza lepsza szkapka chłopska, lub kawał mazowieckiego krajobrazu, nauczyć może więcej malarstwa, niż całe lata pobytu w akademii. Tworzenia nauczyć nie można, można za to łatwo obalamucić młody talent i zmanierować.

I malując dalej, rozwijał w dalszym ciągu z właściwą sobie wymową i zapałem własne pojęcia i zapatrywania na sztukę, ogólnie znane następnie z jego książki.

— Ale dla czego warto jechać do Monachium, — rzekł po pewnej chwili, — to dla tego, by zobaczyć Böcklina. Czy widział pan którykolwiek z jego obrazów?

Oczywiście, nie widziałem, a nawet przyznam się, nie znałem tego nazwiska. Witkiewicz chwalił ogromnie jego obrazy.

— Jest to jeden z najwybitniejszych artystów w dzisiejszej sztuce. Jego indywidualność w kompozycji i bogactwo kolorystyczne nie da się porównać z żadną inną, — rzekł, kończąc o Böcklinie.

Przyrzekłem też sobie niezwłocznie pójść do Galeryi Schacka, nie wiedząc nawet wtedy jeszcze, że właściciel pozwala obcym zwiedzać ją tylko w lecie.

Jadąc do Monachium, po drodze zatrzymałem się w Berlinie, by zajrzeć do tamtejszego Muzeum sztuki. Wobec mnóstwa obrazów, zapomniałem na razie o Böcklinie, zresztą nie spodziewałem się tam obrazów jego znaleźć. Setki malowideł gorszych i lepszych, znanych mi z reprodukcji, lub nieznanych wcale, zajmowały moją uwagę. Tu olbrzymich rozmiarów „Katarzyna Cornaro“ Makarta, w ciemno-asfaltowym trzymanym tonie, to znów „Jarmark“ Brandta i rococowe „Polowanie“ Maksa Gierymskiego, skończone niesłychanie subtelnie, dalej nudny obraz: „Męczeństwo w górach Recyi“, który mi się wydawał tak interesującym z reprodukcji, a zupełnie zawiódł woryginalie, znalazłem jeszcze kilka dobrych krajobrazów Achenbacha; aż nagle, w rogu przy oknie spostrzegłem obraz, który był czemś zupełnie innym, niż roz-

wieszono obok, który wydał mi się na razie czemś dzikiem, nowem i w malarstwie niespodziewanem.

Niebieska, strasznie atramentowo niebieska u brzegu ramy woda, zajmująca wielką przestrzeń w głąb, jak gdyby jezioro, dalej skaliste brzegi, kępami drzew usiane, a w wodzie tuż przed widzem stary, łysawy centaur, o suchej, pomarszczonej i plamiastej skórze na plecach. Stoi po kolana w tej wodzie i mokrym ogonem wokół przyska. Na jego grzbiecie siedzi naga kobieta, przejrzystą tkaniną amarantową na udach przesłonią. Druga, też naga, o długich, jasno szafranowych włosach stoi obok, powyżej kolan zanurzona w wodzie. Po kępach drzew przeciąga lekki wietrzyk i odchyła jasne podbicia liści.

Kto widział kiedy konie lub krowy w upalne południe letnie, jak biegną niecierpliwie do wody i zanurzywszy się do połowy, pozostają tak nieruchome, rozkoszując się ożywym jej chłodem, ten pojmie, dla czego te trzy niewiadome istoty stoją na tym obrazie w nieruchomej, niemej kontemplacji zanurzone w tej błękitnej wodzie. Ogon koński lekko muska powierzchnię i ta wokół łamie się w małe prążki, barwne odbiciem przedmiotów. W przezroczu jej prześwitują niewyraźne sylwetki jasnych nóg i giną w mocnym odbiciu błękitu nieba. To odbicie jest zupełnie prawdziwe, im bliżej oczu, tem ciemniejsza zawsze wydaje się woda. Te listki srebrem od spodu błyszczące, jak gdyby naprawdę poruszały się na wietrze. Obłoki, w jasnych kłębach osiadające daleko na horyzoncie, bajeczną mają w sobie ciszę dnia letniego; lecz co najwięcej zajmuje, co przykuwa oczy, to tych troje, ten potwór z głową starca, rzymskiego filozofa, a kadłubem końskim, i te dwie nimfy, wodnice, czy bachantki.

Czyj to obraz? Szukam podpisu; na boku małemi literkami napisane: Arnold Böcklin. Nazwisko mi znajome! Ach, prawda! To o nim mówił mi Witkiewicz. Więc to jest Böcklin!

W głębi na powierzchni wody płyną dwa białe łabędzie, wyprężwszy długie szyje prosto, jak dwa białe maszty. I one są pod urokiem tego spokoju i ciszy, tego nasycania się chłodem w dzień upalny, tego wspólnego nastroju, który ogarnia w obrazie wszystkie postaci i przedmioty i udziela się bezpośrednio widzowi. Przedziwna jest harmonia i obszar skali barw w tym obrazie. Każdy ton trzyma się całości, a sam przez się gra w oczach, jak grają rzeczywiste barwy przedmiotów w naturze. Szafranowo - złote włosy nimfy, stojącej w wodzie, skarbowane i rozpuszczone na ramiona, świecą na jasnym tle tą rzeczywistą, niepochwytną barwą włosów u kobiet rasy germańskiej, i bursztynowemi pasmami zwisają na cieple tłustem i białem, jak gdyby nie farbą, lecz kością słoniową nałożonem. Z temi taldka-



mi na skórze w przegubach ciała, z temi dołkami na twarzy i figlarnym uśmiechem dziecka, ta postać jako typ rasy jest arcydziełem. Kontrastem i drugim doskonałym typem jest druga, siedząca na grzbiecie centuara, ciemnowłosa nimfa o profilu twarzy wytwornym, jak kamea, i równie wytwornych liniach ciała, w pogodnej pograżona zadumie.

Wśród tych dwóch biegunów zmysłowego wdzięku niewieściego, niby zwiędły liść przy dwóch gronach winnych, gotowych do zerwania, stoi ów centaur stary, rozważny i chłodny.

Wszystkie te trzy postaci przenika jednolity, mocny wiew ducha natury, rozwianego w otaczającym je krajobrazie, ducha, który jest zarazem treścią ducha twórcy. Przyroda ukazuje się tu czysta, samotna, niedostępna, beznamietna, owiana urokiem tajemnicy, pełnej czaru niewypowiedzianego.

W jakim artyście można coś podobnego znaleźć w takiej skali i w takiej doskonałości?

---

W galeryi hr. Schacka, w Monachium, pomieszczonej w jego własnym pałacu, który ma wygląd starego zameczyska, w kilku niewielkich i niezbyt jasnych salach, znajduje się kilka pierwszorzędnych dzieł Böcklina. Bogaty hrabia-dziwak miał artystyczne upodobania i to upodobania bardzo wyraźne i krańcowo zindywidualizowane. Nie znajdzie tam ani śladu tego, coby trąciło eklektyzmem, biegiem za modą, „snobem“. Hrabia lubował się w utworach fantastycznych, w romantyzmie, że tak powiem, i dzieła, które mu się zdały mieć w sobie ten charakter, gromadził. Jeden tylko Lenbach jest tu wyjątkiem, zresztą same nimfy, gnomy, satyry, smoki, czarodziejskie lasy i różne dziwy wyzierają z płócien różnych autorów, które właściciel zebrał razem, mniej widocznie dbając o odpowiednią i jednolitą ich wartość artystyczną.

Darować mu można takiego Führicha, Schnora etc. etc., a nawet Feuerbacha i Schwinda, bo nas w tej chwili obchodzi Böcklin. Nie wiem, czy Böcklin oglądał obrazy Schwinda i czy pozostawał pod jego wpływem—gdyby nawet tak było, różnica, jaka jest między obrazami dwóch autorów, różnica nie tyle w tematach, ile w samej ich istocie, pojęciu, w samym wyrażeniu przedmiotu, jest tak wielką, że

niemożna nijakiej łączności między nimi dwoma odszukać. Schwind, to poczciwa babunia, opowiadająca baśnie o krasnoludku i uśpionej królownie, o grzybie-olbrzymie, pod którym paluszki-karzelki mieszkały, o rozmaitych cud-kwiatach, cud-ptakach. A Böcklin to gromowa pieśń wieszczą, to opowieść apokaliptyczna, to objawienie takiego świata, który gdzieś, kiedyś musiał istnieć.

Tam, w kącie, jak gdyby ukryty w cieniu olbrzymi wąż szmaragdowo, turkusowo, fosforycznie zielony przytula się do dzikiej, muskularnej, jak gdyby jędrnością słonej wody nasiąkłej, Nereidy, wśród skał, na brzegu szumiącego oceanu sterczących. Takie-to rzeczywiście i zwykle w tem otoczeniu skał i oceanu, że aż się dziwnem wydaje, iż pierwiej na myśl nie przyszło. I d y l l a! Idylla morska, czyż może być inna? Czyż może ocean wydać z siebie inne twory, jak taką Nereidę, silną, dziką i namiętną; gdzie swe żądze ma zwrócić ta samica, jakiemu czarowi uledez i co innego pieścić, jak to wielkie, niezdarne cielsko, tak cudownie, bajecznie zielone, iż oczy widza doznają z widoku samej barwy, zmysłowej, prawie dotykanej rozkoszy. Można być zupełnie tępym na sztukę i patrzeć na obrazy oczyma wołu, ale kto choć trochę posiada wrażliwości, tego obraz ten wstrząśnie i obudzi się w nim nieokreślone może, lecz silne, uczucie, które porwie; uczucie, które będzie jak gdyby obudzeniem, powrotem do istoty bytu, jak gdyby hymnem wielkim, wygranym na strunach jego nerwów na cześć wielkiej macierzy — natury. Nieśmiertelna żądza, nieśmiertelny odwieczny dreszcz miłości, instykt odwieczny wszelakich istot pod słońcem, i wszystkich zwierząt, i wszystkich roślin, i wszystkich planet krążących w bezmiarach kosmicznych, i wszystkich atomów powiązanych w kształty, wylaniający się wpośród przepaści wodnych w postaciach tej Nereidy i węża.

Na teraz dość o tym obrazie. Patrzmy dalej. To Hades. Szare skaliste ściany niebotyczne, sparłszy się ku sobie, utworzyły ciasny korytarz. gdzie dołem pieni się potok. Bokami wązka ścieżka, ryta na gzymsach skalnych biegnie nad przepaścią i skręca po mostku, z dwóch kłód przerzuconych na przeciwległe zręby. Jak gdyby skamieniałe wnętrzości olbrzyma, zieją te zwoje skalne ciemnością i wilgocią, i lękiem przejmują tę gromadkę ludzi, maleńkich i słabych istotek, bez szmeru przesuających się wśród labiryntu skał. Cisza. W tem nagle z ciemnej luki jakieś szare, ohydne, długie cielsko płaza z jaszczurczą zwinnością wysuwa się i rośnie, złowrogo kierując się ku uciekającej gromadce przerażonych śmiertelnie ludzi. Straszny wąż i straszna bestya; i skóra cierpnie na widok tych oszalałych z przerażenia wędrowców.



Wielu jest malarzy, którzy umieją zrobić ludzako kamienną skalę i dobrze biegnących ludzi, i nawet wykoncypować poprawnego anatomicznie potwora. Bozdolność odtwarzania dana jest wielu ludziom, i nie-trudno jest wystudyować krajobraz, modela, anatomię porównawczą. Ale Böcklin ponadto daje wawóz, który jest straszny, i ludzi, którzy biegną przerażeni, i potwora, który ścina krew w żyłach. Tu już nie wystarczą studia. Tu trzeba czuć, trzeba nerwami pojąć strach i grozę. I to właśnie stanowi o potężde twórczej.

Spojrzymy na jeden jeszcze obraz. Jakiś widok podmiejski, jakaś łąka, jakiś strumień, jakiś parkan. Niebo chmurne i cały nastrój tak smutny, jak gdyby olów osiadał na sercu. Tu na tej łączce dzieje się zbrodnia: jeden zabił drugiego i wnet odejdzie. Ale nie sam. Straszne jędze czyhają nań za parkanem. Pójdą za nim jako trzy świadki zbrodni, by nękać jego duszę, straszne, brzydkie, bezlitosne i cierpliwe.

Widz znowu wzdrygnąć się musi, tak silnie mówi ta scena. Bo to jest właśnie wspólną cechą wszystkich obrazów Böcklina, że każdy z nich wzrusza. Jeden mniej, drugi więcej, tamten jasno, przyjemnie, wesoło, ten znów smutnie lub strasznie. Ta siła i bezpośredniość wrażenia jego obrazów podobna jest zmysłowemu wrażeniu, które wywiera muzyka, tylko, że muzyka budzi wrażenia nieuchwytnie, nastrój, w którym giną w uogólnieniu wrażenia pośrednie, gdy u Böcklina nastrój jest tłem, na które on rzuca i wypowiada wszystko, co chce.

Naprzekład, chce wyrazić śmierć; nie konanie, rozpaczną walkę życia z zagładą, lecz przejście w stan niebytu, unicestwienie. Nie ogarnia go śmiertelny lęk niewolnika, lecz zstępuje nań przecucie spokoju rzeczy wielkiej i tajemniczej. Poecie obcą jest farsa życia z tragikomedją strachu przy opadaniu zasłony.

On sam jest poematem, którego epilog musi być równie piękny i poetycki, jak życie. I oto dzieje się misteryum śmierci. Po fali płynie czarna łódź, w niej leży martwe ciało, a dusza, jak kolumna grecka, biała i smukła stanęła na dziobie, wpatrzona w ciemne gardło wyspy, którego mroki pochłaniają na wieki. Sypie się piasek w klepsydrze, chwila za chwilą zbliżają nawę do brzegu. Ostatnie, najuroczystsze nadchodzą, i cisza staje się taka, że słyhać natury hymn, wielki hymn natury na cześć wszechżywiącej śmierci. Zasłuchała się fala pod łodzią, zasłuchały czarne cyprysy, na niebo spłynęły pogodne rumieńce i w cichej odbiły się fali. Niema cierpienia, niema bojaźni, tylko jest jeden, wielki, pogodny spokój—śmierć.

A życie jego gra poezją zmysłów, w której najgłośniej dźwięczy pieśń miłości.

Przyroda Böcklina pogardza człowiekiem, wyrodnym, marnotrawnym synem. Skazoną jest jego natura, więc karmi się z koryta wieprzów, aż do czasu swojego nawrócenia. W prostocie królewskiej żyją jej ulubione dzieci: nimfy, ondyny, pany, centaury, na ustach mają pieśń radości, a w żyłach żądzę kochania, bo w niem spoczywa dla nich źródło nieśmiertelności.

Patrzmy, jak walczą centaury. Nie o złoto idzie ta walka, o odwieczne idzie ich prawa, więc walczą na śmierć i życie z wściekłością, która wre w nich, jak burza. Zwycięstwo lub śmierć, bo matka przyroda nie znosi inwalidów i kalek.

Więc wzdymają się żyłaste bicepsy, charczą piersi, krwią nabiegają oczy. Jeden z nich porwał oburącz kamień młyński i z zamachem godzi nim w skłębioną masę ciał. Pod kopytami jęczy ziemia i drży zamarły z przerażenia bór.

---

Jaki jest stosunek obrazów Böcklina do widza? Czy może są one jako opowiadania plastyczne, jako ilustracya faktu lub uscenizowana anegdota?

Nie. Tu obraz chwyta duszę widza i przepuszcza ją przez duszę autora, jak źródło wody przepuszczone bywa przez pokład mineralny, unosząc wszystkie jego składowe cząsteczki. Jest to, jakgdyby zaczerpnięcie nieznannej siły, którą się zabiera z sobą i unosi. Transmisya siły i transmisya uczuć. Jest to najsilniejszy wyraz sztuki, który przekracza granice zakreślone dla niej przez wymagania dzisiejsze. Sztuka, która z zabawki staje się nurtem żywym, bijącym w zatęchłe bagienko duchowego życia.

Czem była sztuka w dawnych czasach, w Assyryi, Egipcie, Grecyi, Rzymie? Była kultem.

Nie znano wówczas estetyki, ani kolekcjonerstwa, narody tworzyły sobie sztukę, tak, jak tworzyły religię, prawo, obyczaje.



Dziś krzyczy tłum: — My chcemy rzeczy pięknych, albowiem mamy gust dziedziczny wszystkich epok, mamy kulturę piękna i potrzebę sztuki. Niech nam artyści tworzą sztuki piękne! — Tak woła tłum dzisiejszy, który wmawia w siebie odziedziczone po zagasłych ludach potrzeby estetyczne, chcąc pokryć tem ubóstwo płytkiej duszy. I oto w kuchni artystycznej gotują im w ogromnej kadzi bigos z okrawków renesansu i sztuki greckiej, rzymskiej, assyryjskiej, bizantyjskiej, japońskiej i wszystkich innych bez liku.

Opamiętaj się, tłumie pseudo-ateński, albowiem uboższy jesteś i nędzniejszy niż parya.

Gdzie jest twoja w l a s n a wiara, i twoja kultura, i twój ideał piękna?

Gdzie jest świątynia dla twojej duszy? Z jakiegoś ją materyału uczynił, jakim porządkiem stawiał, w jakie ozdoby przyodziął?

Patrz! twoja biedna zszargana dusza, zaprzędana za miskę soczewicy wygodom ciała, sadłu i lenistwu. Maszynie zaprzedałeś duszę, uczyniłeś ją niewolnicą niewolnicy, a ona na woli tylko tworzyć umie. Haszyszem jest twoja sztuka, którym narkotyzować się chcesz do zapamiętania, ale nie zdrojem żywym, który daje siłę.

A Böcklin, jeden z niewielu zjawia się jako nowy mocny pęd z udeptanych w błoto ziaren i wypuszcza świeże zielone pąki. Dlatego też nie rozumiano go przez czas długi zupełnie, „cieszył się“ obojętnością tłumów, tworzył w samotni i ciszy. A i podczas jego tryumfu, szowinizm głównie pociągał do stóp jego, u innych owczy pęd. Mało z tych, którzy go wieńczyli, rozumiało jego duszę, a gdyby zrozumieli go całkiem, cofnęli-by się w popłochu. Böcklin był poganinem, tak, jak poganami byli Fidyasz, Michał Anioł, Rubens, Byron, Shelley, i wielu, wielu innych. Protestem jest Böcklin nietylko formy życia, ale i jego treści. Jego Bóg:

... Nie jest on tylko robaków  
 Bogiem i tego stworzenia co pelza,  
 On lubi wielki lot ogromnych ptaków,  
 A rozhukanych koni On nie kielza.  
 On piórem z ognia jest dumnych szyszaków;  
 Wielki czyn prędzęj go ubłaga, nie iza,  
 Wylana próżno przed kościoła progiem...

Przyroda, którą Böcklin sobie stworzył, pogardza ludźmi. Tylko mężczyźni, tylko samotni, tylko wzgardzeni przez tłum przyjęci są przez nią w całej swej wyniosłej godności i chwale. Z Olimpu ród swój wywodzą potomki Prometeuszów, bohaterowie i poeci. A reszta to lękliwy tłum niewolników, ustadniony w wielką gromadę w obawie swej niezaradności, upijający się przy drzwiach taberny starożytności, gapiący się na widok groźnego centaury, zjawiającego się we wsi, zawsze chciwy, żarłoczny i rozpustny.

Przyroda w obrazach Böcklina mówi: nie wstydź się swojej zmysłowości, albowiem ona jest piękną, nie wstydź się ciała swego, albowiem pięknym jest także, nie wstydź się bujności i siły twojej myśli, albowiem boską jest myśl, w którąkolwiek poszybuje stronę.

Dusza tej przyrody pełna jest tęsknoty w przeczuciu istoty doskonalszej, podobnie jak pełna jej była dusza Greka, szukająca formy plastycznej przeczuciu ideału.

Böcklin pojął i odgadł ten wyraz duszy przyrody, ukryty, jak treść hieratycznych, sfinksowych napisów, a widoczny dla niego na każdym miejscu i o każdej porze. Pojął i odgadł, albowiem klucz tej tajemniczej mowy posiadał we własnej duszy. Znużona kulturą wschodnią, a raczej chaosem, jaki się z zaszczepienia jej na obcym zgoła pniu wytworzył, tęskni do helleńskiej, sięga do nawiązania zerwanych ścięgni i arteryi, do odrodzenia się z przygasłych popiołów, jak Feniks. A tęskniąc i pożądam, tworzy z wiarą w świętość czynu swego i w prawowitość jego i płodność. Nie błąka się, nie potyka i nie nawraca do punktów, z której wyszła, jak ten, który drogi dla siebie szuka, lecz posuwa się w kierunku niewzruszenia stałym, jak planeta pod parciem siły odśrodkowej.

Przez Böcklina na nowo objawia się tryumfujący, zwycięski duch rasy aryjskiej, geniusz, który przez długie wieki błyszczał w Helladzie i stamtąd promieniował we wszystkie punkta ziemi, duch, który do dziś nie wygasł, lecz tylko przytłumiony tli się pod zwęglonym stosem, a epoka jego, pomimo odległości wieków, zdaje się dniem wczorajszym, tak jest świeżym, i tak blizkim dzisiejszej duszy.

Potężna indywidualność Böcklina ma w sobie dość odwagi, aby się tego nie zaprzec, ma dość mocy, aby w sobie to wyczuć, i dość talentu, by to w całej pełni wyrazić.

Nieświadoma konsekwencya łączy jednym pokrewnym łańcuchem wszystkie Böcklina utwory. Mają one wspólną treść, niezależ-



ną od treści przedmiotu, przy wyszukanej różnaitości motywów, wypowiedzianych w bogactwie form nieporównanem.

Postaci jego, nie będąc nim samym, w swych kształtach tak silnie indywidualnych, odrębnych, doskonałych, zdają się mieć jednakże pod muskulami serca tętniące jego krwią i dusze pełne uczuć w nim poczętych.

Przypatrzmy się postaciom takim, jak „Tragedya“, „Wolność“, „Poezya i Malarstwo“, albo też takim, jak „Prometeusz“, „Odysseusz i Polifem“, „Awanturnik“, albo też takim, które mieszczą się na przeciwnym biegunie kręgu jego twórczości, jak na przykład centaury, tryton, Pan leśny, syrena, nimfa, nereida: przez wszystkie przechodzi jak gdyby jeden prąd tajemniczy, różny w objawach, w napięciu siły i w skutkach, mieniający się tysiącem stopni, błysków i wyrazów, lecz zawsze jednolity i stały. Twórcze to zjawisko dostrzedz się daje tak samo w postaciach Michała Anioła i Matejki, i u Szekspira i u Wagnera; a gdy wczytamy się w Homera, odnajdziemy je bądź w Iliadzie, bądź w Odyssei, bądź też w Hymnach jego, odczujemy, taki sam „ton“, „jednodźwięczny i wspólny wszystkim postaciom, i wszystkim scenom, bez względu na ich różnaitość, i zrozumiemy dla czego Michał - Anioł wykrzyknął: — kiedy czytam Homera, patrzę, czym nie urósł na dwadzieścia stóp.

Jednolity „oddźwięk“ wszystkich kreacyi Böcklina, jak gdyby różnych posągów z metalów jednego stopu, odlanych jest wyrazem doskonałości procesu twórczego, w którym sam akt wykonania, zamiast idei na kształty i barwy poprzedzona jest długim przygotowaniem wewnętrznym, robotą duszy, bez której niema prawdziwej twórczości, bo jak mówi Heine:

Das Schaffen selbst ist eitel Bewegung,  
 Das stümpert sich leicht in kurzer Frist,  
 Jedoch der Plan, die Ueberlegung,  
 Das zeigt erst wer ein Künstler ist.

Lecz idea, dopóki nie wyrazi się w formie konkretnej, nie istnieje dla innych. Doskonałość jej i potęgę tylko przez doskonałość formy można wypowiedzieć, ku czemu dopomaga sama organizacja umysłu twórczego, który dąży do uzmysłowienia idei i uczuć, z pomocą wyobraźni. Wyobraźnia jest to szczególna zdolność, wytwarzająca z abstracji rzeczy i faktu tak żywo, iż zdają się one być rzeczywistością. Jest ona jak gdyby zmysłem duszy i niema chyba wśród ludzi dusz tak płaskich i ubogich, któreby tego zmysłu choć w małym stopniu nie posiadały. Zato u niektórych jest ona tak potężną, iż zamienia się w żądzę twórczą, rozrywającą pęta bierności, któremi płacze człowieka rzeczywistość w pogoni za niedoścignioną pełnią życia, w pragnieniu doskonałości.

Malarska, plastyczna wyobraźnia Böcklina nie ma sobie równej w dzisiejszej sztuce. Każdą rzecz, którą wprowadził do sztuki, wyraził tak, jak gdyby przed tem na nią patrzył. Abstrakcje jego, jak „wolność“, „poezja“, „starość“, „tajemnica“ itp., stają się żyjącymi postaciami, w których niema żdźbła rozumowanego symbolu, ani konwencji; jest natomiast wyraz, „nastrój“, który każe nie tylko uwierzyć w nie, ale i pojąć treść ich istnienia. Böcklin stwarza całą faunę, której nie zna żadna zoologia, lecz znów tak pełną życia i logiki biologicznej, że widz spogląda na nią, jak na istoty najnaturalniejsze pod słońcem. I nie poprzestając na tem, indywidualizuje każdą swoją postać, wkładając w nią wyraz, usposobienie i chwilowy nastrój, tak, iż postać na obrazie zdaje żyć zupełnem życiem. Kiedy wyobraża stworzenie Adama, daje mu sztywną, niezdatną postać istoty ulepionej z gliny, kładąc na twarzy wyraz gapiowatego osłupienia, rysującego się w ustach i oczach rozwartych na całe dziwowisko ziemskie i na dwie również dziwne dla niego istoty: małpę i pawia, asystujących narodzinom pierwszego człowieka.

Centaurów jego można-by nazywać po imieniu, bo różnią się między sobą, jak ludzie. Ten stary, o wyschłych mięśniach, z grzbietem, pokrytym żółciowemi centkami, pod skórą wyschłą i zmarszczoną, na twarzy ma wyraz znużenia i spokoju. Tamten znów silny, o krępych zadzie perszerona i lśniącej srokatej skórze, ma ciężkie, pewne chody i srogi wyraz w oczach, pod gęstą kędzierzawą czupryną. Poznasz, który jest gniewny, który wesoly, to znów przerażony, lub tęskniący.



Jego nimfy, rusalki, nereidy, wabią oczy zmysłowością swych wdzięków, jego rogate fauny lubieżne są, pożądlive i sentymentalne, a wszystko wyrażone jest formą—rysunkiem, zadziwiającym prostotą i mistrzostwem charakterystyki. Lecz bardziej jeszcze niż rysunek zachwyca w obrazach Böcklina kolor. Całe bogactwo zjawisk barwnych umiał on wydobyć z farb i wyposażyć niemi swoje obrazy. Świetność i harmonia kolorów, cała zmysłowa poezja światła, którą Böcklin umiał osiągnąć, nie ma sobie równej w całym malarstwie. W obrazach jego, tak jak w przyrodzie, światło odrzucone jest oku tylko w barwach; każdy przedmiot, każda jego cząstka, i w cieniu, i w świetle, i półcieniu, i w odbiciach ma pełną, zdecydowaną barwę, skombinowaną z wielorakich czynników promieniowania światła.

W przyrodzie każda lokalna barwa mieni się pod wpływem refleksów, pochylenia, oddalenia, pod wpływem otoczenia barw innych, wreszcie przez różnice natężenia źródeł światła; na obrazie Böcklina to samo wrażenie przez nałożenie odpowiednich barw utrzymane jest z mistrzowską, matematyczną ścisłością, a co bardziej jeszcze podnosi estetyczne wrażenie stąd płynące, to niezwykle gust w zestawianiu plam barwnych, wzajemnie na siebie oddziaływających. W naturze, oczywiście, prawo wytwarzania się barw jest niezmiennie, natomiast kombinacja szeregowania się barw jest sprawą przypadku, który często wytwarza kombinację monotonną, dla oczu nużącą. Malarz w granicach praw fizycznych może układać je, jak muzyk tony, może tworzyć nieprzebraną ilość kombinacji, nęcących i porywających zmysł wzroku. Böcklin pod tym względem wykazał bajeczne poczucie; jego obrazy zdają się być mozaikami, układanymi ze złota, pereł, turkusów, rubinów, kości słoniowej, i wszystkich najbarwniejszych przedmiotów, jakie świat posiada. Błyszczące, miedziane zbroje hoplitów, obramowane płaszczami z purpury, na tle perłowo-sinej barwy starego marmuru; slizka, błyszcząca skóra węża, przeświecająca z pod szaro rdzawych płatów ilu morskiego złoto-turkusową luską; jasne, jak gdyby z kości słoniowej wyrzeźbione, ciało nimfy, otulone szmaragdową tuniką, i tak dalej, coraz inne i coraz nowe pomysły barwne są muzyką oczu przedziwnej harmonii, aż w końcu zdumiewa ta nieprzebrana fantazja, takie bogactwo, taka świeżość.

Böcklin, jak każda wielka indywidualność, nie od pierwszego spojrzenia wydaje się takim, jakim jest w istocie. W obrazy jego trzeba się wpatrzeć, wczuć, trzeba przesiąknąć niemi, aby odnaleźć całe bogactwo, które się tam mieści.

Nie każdego stać ani na tyle wrażliwości, ani zamiłowania, by całkowicie urok i potęgę jego sztuki pojął; potrzeba na to kultury ducha i wrodzonych pożądań estetycznych. Lecz ci, którym to jest dane, nie zmarnują czasu, obcując z Böcklinem; będzie on dla nich źródłem wielkiej i bezinteresownej rozkoszy estetycznej, którą tylko sztuka dać może.

STEFAN POPOWSKI.



---

# Kronika Paryska.

---

W roku 1801 Francya sięgała od Oceanu do Adygi i od Pirenejów do Renu. Obejmowała Francya ówczesna sto osiem departamentów, których miastami głównemi były, między innemi, Bruksella, Turyn, Genewa, Moguncya, Akwizgran. Liczyła Francya 35 milionów ludności, podczas gdy Rosya miała 36, Austrya 22, Anglia 12 a Prusy 8 milionów.

Granice Francyi stanowiły z jednej strony Hiszpania, która z wrogiej stała się sprzymierzoną; dalej republiki Batawska, Helwecka, Liguryjska, Cisalpińska—wszystko kreacye Francyi i zarazem forzpoczty jej wobec Monarchicznej Europy; Niemcy leżały na Wschodzie, rozbite na dwadzieścia przeszło księstw, hrabstw, elektoratów.

Zwycięstwa pod Marengo i Hohenlinden wytrąciły oręż z rąk Austryi i znużyły w końcu wrogą Europę. Szereg traktatów z r. 1801 z Austryą, Neapolem, Rosyą zapewnia Francyi posiadanie tak chlub-

bnie nabytych terytoryów. Nawet dumna Anglia, która niedawno jeszcze odrzucała ze wzgardą propozycyę pokoju — sama o pokój prosi.

Nazewnątrz kraju — błogi pokój, wewnątrz — praca nad jego osiągnięciem. „Stanowimy nową epokę — wyrzekł pierwszy konsul — powinniśmy zatrzymać z przeszłości co dobre, zapomnieć o złem“.

Ostatni Wandejczycy składają broń. Bannici z czasów Fructidora uzyskują prawo powrotu. Prawa, które usuwały dotychczas szlachtę od urzędowania, zostają zniesione, lista zaś wygnańców zredukowaną ze 145,000 nazwisk do—tysiąca; księża, relegowani uprzednio, mogą wrócić do swych obowiązków.

Roboty publiczne, zarzucone na przestrzeni całej Francyi od lat dziesięciu, postępują dalej.

Rozpoczyna się budowanie starych i nowych tunelów, kanałów, pałaców, mostów, muzeów.

Wzrasta zaufanie i ład w kraju, moneta powraca do obiegu, rozwijają się handel i przemysł. Cyfra przywozu z 325 milionów podnosi się do 417, wywozu z 271 do 305. W Lugdunie pracuje już nie dwa, lecz siedem tysięcy warsztatów.

Brogniart, Delessert, Jackart, reorganizują produkcyę przedziałniczą i tkacką, fabrykacyę porcelany; 18 sierpnia 1801 roku otwartą zostaje w Luwrze pierwsza wystawa przemysłu narodowego.

Konstytucyca rządząca krajem zyskuje najwyższą w dziejach Francyi republikańskiej cyfrę głosów—3 miliony. Zarówno zaś stutysięczne tłumy z przedmieścia św. Antoniego, jak przedstawiciele podwójnej arystokracji: ducha i urodzenia, jak naprzykład Chateaubriand, łączą się w jednym uczuciu wielkiem dla człowieka, który taką ojczyznę przekazał nowemu wiekowi.

W roku 1801 zgodę, potęgę i chwałę posiada Francya.

Tak pisze z okazji nowego stulecia Henryk Houssaye, melancholijny historyograf epoki Napolena. Potem zaś dodaje: „w r. 1901 Francya... Nie, prawdziwie, nie mam odwagi ciągnąć dalej.“

Być może, iż jest to tylko zręczny manewr dyalektyka, być może, iż historykowi-napoleoniście potrafił-by dać odprawę nie na jednym punkcie jakiś współczesny buchalter przysięgły trzeciej republiki, w rodzaju natchnionego woportunizmnie Pawła Leroy Beaulieu.

Być bardzo może—pozostanie jednak w tej urwanej paraleli dwóch lat aż nadto prawdy i goryczy dla czyniących rachunek wieku Francuzów.

Jak okiem zajrzeć, nigdzie szczególniejszy blask chwały nie bije na horyzoncie Francyi współczesnej. Ani jedna ze spraw wiszą-



cych w ostatniem ćwierćwieczu wewnątrz czy na zewnątrz kraju nie załatwiona pomyślnie. Na zewnątrz—te same problemy kolonialne, ten sam upór odwetu, odbierający spokój trawienia burżuazji i pewność siebie kolejno zmieniającym się ministeryom; ta sama zazdrośna a bojaźliwa postawa wobec rywali, bezkarnie wypierających po świetle francuski handel, francuskie wpływy. Ktoś niedawno pisał tu, że w koncercie europejskim Francya od dłuższego czasu przypomina parweniusza, o tyle tolerowanego w „towarzystwie“, o ile płaci długi swoich „przyjaciół“. Świadomość takiego stanu rzeczy w roku 1901 prawdziwie urągać musi wspomnieniu r. 1801.

Bez pretensyi zresztą do kreślenia bilansu stulecia, pozostając jeno w dobie dzisiejszej, ten sam niewesoły rachunek możemy nakreślić dla wewnętrznych stosunków republiki. Prawdziwie nikogo nie pokusi zapewne próba paraleli między Loubetem a Napoleonem, między 18 Brumaire'a a awanturą Boulangera,—banawet między emigracją schyłku w XVIII, przecież nie z samego czoła narodu składającą się, a dzisiejszą „emigracją“ Reinachów, Esterhazych itp., wynoszących się z Francyi po angielsku i do Angli od lat kilkunastu. Trudno jednak nie zadziwić się nad wewnętrznem ukształtowaniem sił społecznych w narodzie, który wiek temu potrafił w lat kilkanaście załatwić się z największą rewolucją w dziejach, a który teraz przechorowuje ohydnie i bez ratunku sprawę panamską, sprawę Dreyfusa. Bo przecież tu nikt się nie łudzi, że już rozwiązano tę drugą, lub, że zorganizowany szantaż urzędowy pierwszej nie hańbi sumienia narodowego. Jątrzą się dalej stosunki pomiędzy Francją katolicką a wolno-mularską, pomiędzy nacjonalistami a oportunistami, a bynajmniej nie jawne polemiki i przeciwieństwa tu grają główną rolę, lecz właśnie te głuche, skryte, nieuświadomione nawet należycie antagonizmy i niechęci, które nurtują i paczą u podstaw coraz fałszywszą zgodę społeczną Francyi całej.

Tak utyskują przy nowym wieku bynajmniej nie sami melancholicy historii w rodzaju Henryka Houssaye'a. Ta data lub inna, wzięta za punkt porównania, sympatyje do przeszłości, wiara lub niewiara w przyszłość, nie grają tu decydującej roli w ocenie teraźniejszości. Teraźniejszość owa dziwnie nędzną postać przybiera przed oczyma zbyt wielu myślących Francuzów i temu tylko pragnę dać wyraz, przytaczając urywek z Haussaye'a i kilka ech francuskiej samokrytyki.

Mógł-bym mnożyć te przykłady, czerpiąc z najróżnorodniejszych dziedzin, zdaje się jednak, że to zbyt liczne wobec systematów dość powszechnego dziś rozbudzenia podejrzliwości względem Francji współczesnej. Twierdził-bym nawet, że o ile podejrzliwość ta dochodzi aż do łatwych teorii o upadku „rasy łacińskiej“, lub pastwi się nad rzekomem „przerafinowaniem francuskiej cywilizacji“, wysuwając na zaszczytne miejsce „rasę“ lub „cywilizację“ germańską, to uważał-bym raczej za właściwe oddziaływać przeciwko takim poglądom.

Co do „rasy“ i „cywilizacji“, jako takich, pomijawszy już nieustaloną treść obydwu pojęć doktrynerskich raczej niż naukowych — mamy tu właśnie do zanotowania dwa bardzo ciekawe fakty. Oto, po pierwsze, nigdy w układzie sił politycznych i kulturalnych Francji nie notowano obfitszego napływu pierwiastków obcoplemiennych, jak obecnie i, powtóre, nigdy bardziej barbarzyńska, mniej właśnie ucywilizowana warstwa nie rządziła Francją, jak dzisiaj.

Co do pierwszego, to statystyki wraz ze słabnącym przyrostem naturalnym, zwłaszcza zaś po roku 1871, stwierdzają ogromny napływ Niemców, Żydów, Włochów, Belgijczyków i tym podobnych do Francji.

A nawet, podobnie, jak prawo przeciwko wyludnieniu, tak z drugiej strony prawo ograniczające tę infiltrację obcokrajowców, stają dziś na porządku dziennym w izbie i senacie. „Francya dla Francuzów“ rozbrzmiewa coraz częściej. Nie jest to tylko szowinizm — dość okiem rzucić na mnożące się w Paryżu firmy obcokrajowe, pseudo-Alzateczyków. Zaś na małych uliczkach: Cité i L'île St. Louis, da się dziś słyszeć w sklepikach i przy straganach znajomy szwargot z Nalewek.

Dreyfusów, Hertzów, Reinachów, Esterhazych liczy Francya współczesna niemało; nie tylko w procesach, lecz również w literaturze, w sztuce, w życiu publicznem nie jest to ściśle pierwiastek „rasy łacińskiej“.

Co zaś do „przerafinowanej cywilizacji“ obecnie tu panującego wszechpotężnie stanu — mieszczaństwa, — to prawdziwie trzeba-by publiczności z „departamentu niższej Sekwany“ Bartelsa, żeby tam mogła zaimponować. Nieprzeliczone hordy szynkarzy, rzeźników, detali-



stów i engrosistów wszelkiego kalibru pod wodzą młodej swej progenitury—profesji liberalnych—od tak niedawna opanowały ów „piéróg społeczny“, że zaledwie tu mowa o zaspokojeniu głodu, nie o przerafinowaniu być może. Wersal obyczajów francuskich bezpowrotnie zgasł około roku 1830, wtargnęły zaś na to miejsce—apetyty.

Jak zaś marnie stoi na ogół smak ogółu—miara wyrafinowania powszechnego, łatwo się przekonać, oglądając w Paryżu ohydne „brasserye“, brzydko naśladowane z Niemiec i powtarzane w tysiącnych odbiciach w całej Francji. Toż jest wyraz „przerafinowania kultury?“

Na to, ażeby olbrzymią demokrację kilkudziesięcio - milionową już nie „przerafinować“, lecz wprowadzić dopiero w kulturę—za mało tych paru pokoleń—nawet we Francji.

I otóż ta wielomilionowa rzesza mieszczańska, już nie przez przedstawicieli i nie w upojeniu zwycięstwa, nie pomieszana z ludem i idealistami, lecz sama tylko, a całem swem, że tak powiem, ciężko trawiącym cielskiem, zaciążyła w dobie trzeciej republiki na życiu Francji. Pod jej-to presją ostatecznie dokonywają się tranzakcyje najmateryalniejsze, najbrutalniejszego oportunistu, jaki kiedykolwiek istniał w polityce.

Ona-to na swoją miarę kształtuje dziś pojęcie honoru narodowego, ona w ogromnej masie spożywa produkcye ryczałtowe sztuki i literatury, jak je dziś zdolna rozumieć.

Ponieważ zaś nic już nie ma do zyskania, dużo zaś do stracenia wobec zastępów jeszcze głębszej i dłużej wydziedziczonej demokracji, więc tymczasem dzierży chciwie, używa żarłocznie, trawi obficie—i to jest wyraz jej obecnego stadium cywilizacyjnego. Rzekomie „przerafinowanie cywilizacji“ francuskiej, tak samo jak dekadencya „rasy łacińskiej“, są po prostu śmiesznym, pretensjonalnym frazesem, wobec życia, brutalnego, pierwotnego, żywiołowego dziś, jak przed stu laty. Oczywiście jeśli mowa naprawdę o Francji, naprawdę o rasie całej, a nie o okazach wyrodnijących bądź to w cieplarniach, bądź nad rynsztokami Paryża.

Mieszczaństwo francuskie, ogromnie rozrosłe w liczbę i znaczenie, olbrzymio zasobne, mocno ograniczone, nie z natury zresztą, gdyż tu nie brak sprytu, lecz z zaciętego dziś konserwatyzmu, czyli, prościej mówiąc, instynktu szczęśliwego posiadania, jedną specjalną cechą rozwinęło w swej egzystencji na podziw. Cechą tą jest zmysł do urządzenia swych interesów materyalnych, swego trybu życia. Nie jest to przedsiębiorczość daleko sięgająca Anglików—nie, to jest organiczna praktyczność w urządzaniu wszystkiego dokoła siebie na swoją korzyść.

Jest to istotnie cecha pewnej kultury, wyrobionej w jednym specjalnym kierunku, rutynicznej, lecz ogromnie silnie zakorzenionej w społeczeństwie. Oszczędność, rentowanie dochodów itp. czynności są po prostu nałogiem mieszczaństwa francuskiego. Czasami jakiś olbrzymi krach w rodzaju Panamy odsłania nam przerażającą wprost krystalizację oszczędności w tem społeczeństwie. Czasami, jak w epoce kontrybucyi pruskiej, oszczędność ta staje się prawie tryumfem narodowym.

Czasami wreszcie, jak obecnie z powodu zamknięcia rachunków wystawy, tę umiejętność nałogową urządzania się warto zbliżka obejrzeć, jako pouczającą lekcję poglądową o rzeczach.

Nie wiem, jak wypadnie oficjalny raport wystawy—pracuje nad nim obecnie cały szereg fachowców: Larroumet nad sztuką, Karol Gide nad ekonomią, Piccard nad nauką na wystawie itp. Książka przyniesie niewątpliwie dużo ciekawych danych. Nie mamy również jeszcze bilansów wystawy. Ogółem koszt urządzenia wynosi około 120 milionów—około 40 milionów deficytu wykazuje podobno bilans—deficytu, po części spowodowanego bankructwami kilku firm na wystawie.

Rachunek zaś osób, które zwiedzały wystawę podaje około 48 milionów wejść, gdy w roku 1889 liczono tylko 25 milionów! Ale nie to nas tu zajmuje: cyfry te mogą zadziwiać, nawet wzruszać, lecz nie dają żadnej nauki.

Nauka zaś płynie z faktów, których nikt może nie zestawi w przyszłym bilansie.

Chodzi mi o to, co, dzięki owemu geniuszowi praktycznemu swego mieszczaństwa, zyskał Paryż, zyskała Francya na wystawie i co świat cały winien w podobnych okolicznościach naśladować.



Oto mianowicie, zarówno rząd, jak municypalność Paryża, jak wreszcie liczne towarzystwa i instytucje skorzystały z wystawy, ażeby kosztem gości zaprowadzić u siebie cały szereg udogodnień i reform, które służyć będą krajowi co najmniej — do przyszłej wystawy.

Nie wszyscy np. wiedzą, że Paryż jest jednym z największych portów. Otóż Sekwana i liczne jej dopływy i kanały łączą Paryż z wnętrzem kraju i z morzem. Port paryski rozwija linię wybrzeża 25 kilometrów długości, ze specjalną częścią, przeznaczoną dla statków morskich, przychodzących wprost z Anglii, z tysiącami magazynów, transmisyi itd., itd. Obrót roczny portu Paryskiego daje 7 milionów tonn, co jest cyfrą wyższą, niż analogiczna np. cyfra Hawru. Wobec tego kwestyą ogromnej doniosłości było uregulowanie wybrzeża Sekwany w samym Paryżu. Jakoż, korzystając z dochodu i ruchu wystawowego, przystąpiono do obmurowania prostopadłego wybrzeży na przestrzeni jak największej.

Obecnie zostaje zaledwie 2,000 metrów do przebudowania! Nie mówiąc już o tysiącnych zyskach transportowych, ten interes, przy pomocy gości załatwiony, daje miastu wygodne przystanie dla dwudziestu pięciu milionów pasażerów rocznie — tyle bowiem przewożą owe wytworne bateau - mouche, żeglujące po Sekwanie w obrębie Paryża.

Kiedy zaś mowa o kosztach wystawy, nie zapomnijmy, że wliczono do nich  $\frac{1}{3}$  kosztu monumentalnego mostu Aleksandra III, oraz koszt pałacu sztuk pięknych, który odtąd służyć będzie setkom wystaw, konkursów, uroczystości itp.

Dzięki wystawie wreszcie i również w znacznej mierze na koszt nadwyżki dochodów spodziewanej w roku wystawowym pozyskał Paryż następujące udogodnienia.

- 1) Linię główną kolei miejskiej elektrycznej, przerzynającej Paryż od lasku Vinceńskiego aż do Neuilly.
- 2) Linię kolei od fortyfikacyi, prowadzącą aż na Plac Inwalidów.
- 3) Tramwaje elektryczne i parowe, stopniowo wprowadzane na wszystkich liniach miejskich.

Koszty tych wszystkich urządzeń, które Paryżowi oszczędzają dziś tysiące godzin czasu dziennie, spadły na Państwo, miasto — i na zwiedzających wystawę.

I jeszcze jeden przykład. Kolej Orleańska miała lichej i daleki od miasta dworzec, i utrudniało to ruch po tej linii, a co za tem idzie, zmniejszało wartość terenów przy niej położonych.

Otóż z okazji wystawy, licząc na wzmożenie się o 30% — 40% obrotu rocznego, kolej orleańska posunęła się o cztery kilometry wgląd' miasta. Dziś dworzec jej jest naprzeciwko Louvre'u. Koszt tych czterech kilometrów wynosi 40 milionów franków, lecz wydatki wstępne pokryli goście wystawowi, na przyszłość zaś podwoi się ruch letników itp., dawniej nie znany przy tej kolei. Tereny dziś już poszły znacznie w górę.

W ten-to sposób ulokowała Francya lwią część tego miliarda, który, jak oblicza Piccard, wystawa musi dać w zysku krajowi i miastu. Nie podniesiono dywidendy na ten jeden rok, lecz mądry zmysł organizacyjny ulokował zysk w samych-że przedsiębiorstwach i instytucjach, co podnosi ich wydajność na całe dziesiątki lat w przyszłości.

Nie mogę tego nazwać „przerafinowaniem“ cywilizacyi, lecz sądzę, że jest to właśnie nader charakterystyczna i wprost powszechnie zastosowana we Francyi operacya oszczędnościowo - organizacyjna z powodu wystawy.

---

Są kraje, w których lud „dotąd się jeszcze nie nazwał narodem“, jak mówi poeta. Do tych Francya nie należy już co najmniej od lat stu—od daty, gdy wyrazy „La nation“ i „patriotes“ otrzymały swój podwójny krwawy chrzest—chrzest wielkiej rewolucyi i wielkiej armii. Co innego jest jednak świadomość swej jedności politycznej, co innego zaś realne a całkowite urzeczywistnienie lepszych tradycyi narodowych—w jego olbrzymich zastępach.

Te tradycye przyjąć i rozwinąć dalej to nie tak łatwo, jak przejąć lub nawet zdobyć przywileje. Więc, gdy mieszczaństwo francuskie w swoim czasie zdobyło Bastylię i rozbiło kasty, lupem jego stały się rzeczywiście przywileje, nie zaś lepsze tradycye tego, co stanowiło ongi naród francuski. Naród ten to była potęga, na którą składały się naraz: królewskość od czasów Ludwików, szlachta od wojen krzyżowych, duchowieństwo od zaprowadzenia chrześcijaństwa, Paryż od czasu, gdy się stał stolicą Europy, mieszczaństwo wreszcie od czasu, gdy zrozumiało swe znaczenie. Potem kolejno runęły lub znikczemiały te różnolite potęgi pod naciskiem ostatniej—mieszczaństwa. Z niemi wyschły po części i źródła lepszych tradycyi, sła-



wiących ongi po Europie imię narodu. Po części, gdyż po części ocalały w żywiołach opozycyi przeciw-mieszkańskiej, po części zdołało je przejąć mieszczaństwo samo, po części wreszcie Paryż, którego godłem jest „*fluctuat nec mergitur*“, ocalił wiele ze swego majestatu dziejowego.

Nie znam głębszego historyografa i psychologa tej nowej mieszczańskiej Francyi od Balzaca. To są wprost najściślejsze wzory mechanizmu jej duszy — w Rastignac'ach, Grandet'ach, Nucingen'ach, Vautrin'ach geniusz ten wykreślił jakby zasadnicze typy tej nowej Francyi. Od tego czasu, tj. od roku 1830, gdy się one naraz skryształizowały w życiu społeczeństw i umyśle twórcy—znamy już tylko ich odmiany. Rougony i Mackarty, Coupeau i Saccard'y, Klandyusze i Pascale Zoli—to potomstwo tamtych: Ale ten sam to typ jeszcze głodnej, jeszcze żądnej użycia w najmateryalniejszej formie progenitury wydziedziczonych. Czyż nie jest rzeczą potężnie uderzającą ta jedność obserwacyi szeregu najświetniejszych obserwatorów życia francuskiego—Balzaca, Flaubert'a, Goncourt'a, Zoli, Manpassant'a, Becque'a? To więcej niż szkoła, więcej niż „naturalizm“—to właśnie i świadome, i bezwiedne stwierdzenie faktu, że wciąż jeszcze jedna rasa ludzi o olbrzymim zmysłowym apetycie—przez wiek cały stanowi rdzeń tego, co dziś nazywamy Francją.

Gdy więc padło hasło Thiersa „*Enrichissez vous!*“—nie dziwnego, że stało się ono wyrazem najgłębszej tendencyi społeczeństwa. Ten mały człowiek o wielkiej roli był poprostu historycznym wcieleniem samej siły żywiołowej, którą od Balzaca do dni naszych w typach i odmianach przedstawiają obserwatorowie narodu. Gdy zaś po Thiersie historycznym i imiennym zapanowała nad Francją bezmienna większość i wypłynął wraz z nią oportunistyczny, antyklerykalny, pozytywny i ministeryalny pan Homais—stała się Francya dzisiejsza od brzegu do brzegu.

- Et comment ça va?
- Ça va tout doucement.
- Et vous?
- Et moi aussi—merci.
- A un de ces jours!

Jest to formuła równie charakterystyczna dla tonu życia tutejszego, jak utyskiwania na „kiepskie czasy“ dla nieróbstwa i niedołęstwa szlachty polskiej.

„Ça va tout doucement, ça boulotte“.

Powolutku, bez rozmachu, rutynicznie do wielkich ongi ognisk przystawia zabiegliwa „Maryanna“ pieczenie nieprzeliczonej progenitury mieszczańskiej.

— Enrichissez vous! — woła do niej brzuchaty cień na krótkich nóżkach.

— Ça va, ça va tout doucement — odpowiada Maryanna. Czasami mącą tę harmonię swary kuchenne o lepszy kąsek, czasem brzmi nupcyalna przygrywka, gdy Maryannę odwiedza strażak. No i tak płyną latka — czyni się historya ostatnich lat wieku XIX-go we Francyi.

Zresztą, jasna jest rzecz, że mi nie o historyę chodzi w urywkach fejletonu, lecz poprostu o dominujące nad innymi wrażenia. Otóż nad wrażeniami, nad eckami Francyi Wersalskiej, Francyi rewolucyjnej, Francyi romantycznej, zwłaszcza zaś Francyi „przerafinowanej,” dominują dziś, jak dla mnie, te wrażenia Francyi à la Mr Homais. (Nawiasem, jeśli ktoś z czytelników nie zna jeszcze tej inkarnacyi „ministeryjalnej większości” Francyi współczesnej, niech corychlej przeczyta „Madame Bovary” — inaczej martwą dlań będzie tajna treść historyi lat ostatnich).

Wycieczkę tę zresztą w sferę spostrzeżeń psychologicznych i notatek literackich niech tłumaczy chęć głębszego wyjaśnienia przyuczyny godnych podziwu zarządzeń, o których wspomniałem w urywku poprzednim. Pragnąłem również zwrócić bacniejszą uwagę tych wszystkich, którzy utyskują na rzekome przesubtelnienie cywilizacyi francuskiej, — na niespożyte zasoby apetytów naiwnej jeszcze brutalności, które to cechy, właściwe jak najszerszym masom mieszczaństwa, pozwalają wróżyć mu jeszcze długie a liczne stadya rozwoju na drodze ucłowieczniania się.

---

Powróćmy jeszcze na chwilę do paraleli lat 1801 — 1901, skreślonej przez Henryka Houssaye'a. „W roku 1801 — czytamy tam — pięćset ryczałtowych egzekucyi, dokonanych w ciągu kilku miesięcy, uwolniło prowincję od band zbójceckich t. zw. „ogrzewaczy” (des Chauffeurs) i zapewniły bezpieczeństwo na wielkich gościńcach, po których niepodobna było przedtem podróżować, czy to do Nantes, czy do Pontoise, bez narażenia się na rabunek”.

Nasamprzód kilka słów wyjaśnienia o owych „chauffeurach”. Nazywano tak w wieku XVIII bandy złoczyńców, którzy zazwyczaj



przypalali ofiarom swym stopy, dla wydobycia zeznań o ukrytych pieniędzach. Maruderzy, zbiegowie z galer i t. p. tworzyli wówczas prawdziwe związki, i z tej-to epoki pochodzi znaczna część melodramatów o słynnych zbójach. „Pięćset egzekucyi ryczałtowych“, jak zapewnia historyk; wystarczyło sto lat temu dla otamowania zbójectwa. Co prawda, był to środek heroiczny, na który dziś nie tak łatwo zdobyło-by się społeczeństwo cywilizowane.

Jeżeli jednak nie stać go na środek, to stać, mimo cywilizacyi, na bandy złoczyńców nierównie liczniejsze, nierównie złośliwsze, niż nawet owi „ogrzewacze“.

Nie będę tu powtarzał żadnej z codziennych kronik kryminalnych Paryża z końca wieku XIX. Szanując nerwy czytelników, poprzestaną na napomknieniach i statystyce — niech jedno ilustruje drugie.

Otóż wszyscy przypominają sobie morderstwo, spełnione w Paryżu przed kilku tygodniami. Przez dwa tygodnie rubryka „L'homme coupé en morceau“, albo „Cadavre dépêcé“, albo „Crime de Menilmontant“ nie schodziła z łamów pism francuskich, jak przed kilku laty pełno było w pismach o „Kubie - rozprówacz“u. Sprawcy tej zbrodni, jak wiadomo, dotąd nie wykryto. Nie wszyscy jednak wiedzą, że zbrodnie, dokonywane w analogicznych warunkach, są popełniane tu co rok, że dziś znaczną już liczbę takich potwornych a niezwykłych dysekcji liczy statystyka.

I oto odsłania się tu rzecz bez porównania okropniejsza, niż szczegóły kronik, rzecz, stwierdzona przez statystykę, że mianowicie jeden Kuba-rozprówacz nie istniał nigdy, jak nie istnieje jeden dla wielu naraz zbrodni anatom - morderca. To nie zwyrodniałe a wyjątkowe osobniki — to całe metody, całe kierunki zbrodnicstwa i zwyrodnienia w społeczeństwie. Niekiedy abstrakcyja bywa przeraźliwszą nawet od mytu, silącego się na okrucieństwo.

Z ciemnych ongi, a dziś przetrzebionych borów, ze słynnego „Forêt de Senart“ wyparowała cywilizacyja przy pomocy owych „ryczałtowych egzekucyi“ złoczyńców. Ale znaleźli oni bezpieczniejsze schronienie i rozwinęli swą działalność na ogromną skalę gdzieindziej: to w tej olbrzymiej puszczy ludzkiej — w stolicach.

Paryż, z najbliższymi okolicami, daje dziennie kilkadziesiąt wypadków rabunku, połączonego z nastawianiem, mniej lub więcej skutecznem, na życie.

Nie koniec na tem.

Statystyka stwierdza, że wiek rabusiów najczęściej waha się tu między 18 — 30 rokiem. Reporter paryski machinalnie notuje: „un jeune vaurien...” i t. d. Nie są to również zbrodniarze profesjonalni, to raczej rodzaj rzemiosła dodatkowego, które przy innych, słabo opłacających się, jest niejako pobocznem źródłem zarobkowania. Ale i tu nie koniec ohydy. Stwierdzano, i to w czasach ostatnich coraz częściej, że poza zwykłymi motywami zbrodni, jak rabunek, lub zboczenia i powikłania erotyczne, ważną rolę odgrywają pobudki, tak zwane, zbrodni dla zbrodni. Wykryto w Paryżu rozgałęzione związki (jak na przykład „związek Apaszów”), których właściwym celem było dopuszczanie się okrucieństw nad ofiarami. Po prostu więc pojawiają się w mieście stada szakali, których zabawą jest obkradanie uszu, strzelanie do cyklistów, wreszcie kaleczenie bez innych celów przechodniów. W ten sposób, wśród kilkunastomilionowej ludności Paryża i okolic dzieje się rocznie kilka tysięcy krwawych zbrodni, bądź dla rabunku, bądź wprost z rozbestwienia pewnej kategorii ludności.

W grudniu, prefekt policji, p. Lepine, musiał w tej sprawie zabierać głos wobec rady municypalnej Paryża, gdyż sterroryzowani mieszkańcy poczęli głośno mówić o linczowaniu włóczęgów i o utworzeniu milicji obywatelskiej. Sprawa poćwiartowanych zwłok, oraz przerwanie komunikacji tramwajowej z jedną z okolic podmiejskich z powodu systematycznych napaści — przepełniły miarę cierpliwości. Wkrótce zresztą potem bandy włóczęgów poczęły napadać na posterunki policyjne w samym Paryżu.

P. Lepine wskazał na najoczywistszą przyczynę zwiększania się liczby i zuchwalstwa napałów. Oto z powodu wystawy napłynęły do Paryża zastępy włóczęgów z całej Francji. Podczas wystawy „pracowało” to wszystko bądź przy robotach, bądź koło... gości. Z chwilą zaś zamknięcia, na bruku paryskim znalazło się naraz o kilkanaście tysięcy złoczyńców bez zajęcia więcej, niż zwykle. Stąd wiadome skutki.

Tak rzecz wyjaśniał p. Lepine, obiecując przytem jak najusilniej, że policja dołoży wszelkich starań, ażeby miasto od tej plagi uwolnić.

Czy prefekt policji dotrzyma obietnicy? Niewątpliwie nie, i Paryż, niezbyt ufając swemu bezpieczeństwu, zbroi się obecnie w rewolwery, o czem świadczy ożywiony handel w sklepach broni.



Policya zresztą pracuje bez przerwy. Oto w ostatnim miesiącu wieku XIX aresztowano przy pomocy obław nocnych przeszło 12,000 włóczęgów w Paryżu samym!

„W ciągu trzech pierwszych miesięcy roku (1900) — mówił p. Lepine na posiedzeniu rady — policja paryska dokonała 10,000 aresztów. W chwili obecnej (w połowie grudnia) łatwo przewidzieć ogólną sumę tegoroczną. Obławy nocne dają obecnie przeciętnie 420 aresztów w ciągu nocy; w roku 1900 aresztujemy ogółem 130,000 osób, w tej liczbie sporo recydywistów“.

Tak mówił p. Lepine, kompetentny bardzo w tej gałęzi statystyki miejskiej.

Nie mam pod ręką odpowiednich danych, dotyczących Londynu, lub innych stolic europejskich. Zresztą, na wiarę gotów jestem przyjąć, że te proporcje charakteryzują powszechniej początek wieku XX-go.

Są jednak pewne okoliczności, że tak powiem, towarzyszące statystyce, które tu na zjawisko to rzucają specjalne światło. Żądza użycia, lub rozbewstwienie, nie zaś zwyrodnienie, wyraźnie psychopatyczne i nędza beznadziejna, zdają się charakteryzować zbrodnicstwo Paryżan. Wygląda ono właśnie tak samo dziś, w okresie burżuazyj tryumfującej, jak lat temu sto, w epoce burżuazyj walczącej. To znaczy, że pewne, liczne dość żywioły w społeczeństwie lekceważą pracę i dają po prostu wyraz swym apetytom, lub nienawiści do szczęśliwych posiadaczy, w formie najbardziej dzikiej, najbardziej jaskrawej wojny wszystkich przeciwko wszystkim. I jest to może rys, znajomy nam i z samego przebiegu wielkiej rewolucji. Ileż tam lało się krwi z dzikiego rozżarcia, ze zbydłconego popędu do morderstwa!

Francuzi prawdziwie mają największą wśród Europejczyków łatwość gardłowego załatwiania konfliktów. I koniec końcem, ta armia 130-tysięczna włóczęgów zrozumiała tylko nieco zbyt jaskiniowo hasło, zaostrażające apetyt milionów:

— Enrichissez vous!

Ongi drapieżny geniusz wodza rzucał takie armie na podbój Italii, mówiąc do żołnierzy słowami bez ogródki: „Jesteście bośi i obdarci, u stóp waszych leży kraj bogaty, zdobądźcie go!“. I armie zdobywały kraj za krajem.

W kilkadziesiąt lat potem Galliffet, jeśli się nie mylę, okrył się nieśmiertelną hańbą, wyrzekłszy słynne: „Mitraillez la canaille“.

Zmieniła się epoka, nie stało planów i geniuszu na zabory, więc zamiast zdobywcy wystąpił kat.

I znów się odwróciła karta. Na mównicę stanął p. Lepine, niewątpliwie blizki krewny p. Homais, który nie znosi widoku krwi już pod żadną postacią. Więc p. Lepine zarządza homeryczne oblawy, dające 12-tysięczny połów.

Jak mało w gruncie rzeczy zmian, i jak ponad tem wszystkim zawsze, wiecznie, widać odsłonięne wilecze zęby i słychać najpopularniejsze hasło wieku:

— Enrichissez vous!

---

Byłem przed kilku miesiącami na posiedzeniu, czy na zgromadzeniu „Armii zbawienia“. Przypadkiem, bez zamiaru „studyów“, udałem się na ulicę Aubert, gdzie się mieści główny lokal „Armii“.

Nad wieczorem, wśród nieprzebranych tłumów bulwarowych, uderzyły mię pewnego razu dwa cienie kobiece, pomykające trwożnie pod murami. Kapelusze dziwnego kształtu z ponsową kokardą osłaniały im twarze. I kształt kapelusza, i szybki ruch tych kobiet przypominał coś z lotu nietoperzy. Dwa cienie sunęły szybko, rozdając lekko jakies dwubarwne świstki, których nikt brać nie chciał. Po kolei, z pod skrzydeł nietoperzych wybiegły jakby zdławione słowa jednej z tych kobiet:

— Ce soir... rue Aubert... Armée de salut...

Zupełnie tak samo, tylko z większą fantazją, wołają hommes - reclame z Folies - Bergère, z Cassino de Paris...

Dwa cienie sunęły szybko, odprowadzane drwiącemi wykrzyknikami bulwaru. Poszedłem za niemi, może dlatego, że nie miałem w kieszeni na bilet do teatru. Na placu Opery cienie obejrzały się za siebie po raz pierwszy — kilka osób podążało za niemi. Na ulicy Aubert obejrzały się po raz drugi, szedłem ja i dwie jakies panie. Panie jednak zawahały się przy wejściu na długie i ciemne podwórze. Do sali weszły tylko dwa cienie i ja — w charakterze publiczności.

Ta krótka wędrówka z bulwaru Włoskiego na ulicę Aubert wysmagała jednak najboleśniejszą chłostą i owe dwie kobiety, i mnie.



Co chwila ktoś z bulwaru rzucił im w twarz jakiś ohydny dwuznacznik. Kilku panów otoczyło je na rogu *Chaussée d'Antin*, i w mgnieniu oka wylało się na dwie kobiety tyle brudu, ile go wylać może kloaka, zwana kawalerskim dowcipem.

Na sali, pustej zresztą i ciemnej, jedna z tych pań, zapewne nowicyuszka, rozplakała się. Po chwili rozjaśniono światło i wszedł na estradę „kapitan“, za nim usiadło kilka siostr w nietoperzych kapeluszach. Z prawdziwym zdumieniem usłyszałem w tejże chwili ich śpiew chóralny, śpiew prawie tryumfujący, radosny, silny i prosty. Oczekiwałem lamentacyi i czegoś w nastroju biczowników, tymczasem oni zaintonowali coś, co przypominało raczej nasze kołędy wiejskie, naiwne, świeże, szczęśliwe. Potem „kapitan“ opowiadał nie bez emfazy o zadaniu „Armii“, potem jedna z siostr nieco zautomatyzowanym głosem oświadczyła, że była wielką grzesznicą, ale się nawróciła, i dziś czuje dużo spokoju. Potem znowu śpiewano kilka takich radosnych hymnów jeden po drugim. Tych śpiewów słuchał-bym rad jak najdłużej. I pewno one zwabiły do sali kilka niewyraźnych postaci w stylu statystyki p. *Lepine'a* i jakieś rozbawione towarzystwo z bulwarów.

Zgromadzenie zakończyło się wśród wesołej prawie rozmowy kapitana i śpiewów chóralnych.

Wszystko to działo się tego wieczoru jak zwykle, jak od czasu założenia instytucyi w Paryżu, i jak dziać się zapewne będzie jeszcze dość długo. Najpobieżniejszy rzut oka po sali stwierdzał, że tu nikt nie przyszedł na seryo. Indywidua, używające wczasu na bezpłatnych krzesłach, towarzystwo, rozbawione sobą, melancholijny obserwator z musu, czy przypadku — oto i wszystko.

Oddział zaś „Armii“, który z nami tak pięknie wojował śpiewem, w połowie napewno składał się z Anglików.

I nieraz potem widywałem te nietoperze kapelusze, parę razy wstępowałem na ulicę *Aubert* — wrażenia mało się różniły. Było to mniej nudne, niż rozmaite posiedzenia towarzystw i kongresów dobroczynnych, nie brało jednak „prawdziwych“ Paryżan, jak i te ostatnie.

Tę samą obserwacyę czegoś, jakby obcego, oficjalnego, stwierdzał, nie pamiętam kto, niedawno, z powodu tutejszych przytułków i żup *rumfordzkich*. Urządzono jedno i drugie, znalazły się na to jakieś fundusze, zainteresowania to wszakże wśród ogółu nie budzi, inicjatywa szerzy się leniwie.

Czy cyfry dobroczynności francuskiej niższe są od odpowiednich cyfr w Anglii, czy w Niemczech — prawdziwie nie wiem. To pewna

jednak, że instytucje w rodzaju Tonbee-hall, kolonii studenckich w White-Chapel, Armii zbawienia i t. p., rozwiną się tu dopiero po długim i usilnym szczepieniu. Może się nawet wcale nie rozwiną, taka bowiem dziwna oschłość cechuje ogół francuski, tak małą popularnością cieszą się tu wszelkie duszne hasła, o czym dobrze się przeświadczyły wszelkie stowarzyszenia neo - idealistyczne, neo - katolickie, neo - chrześcijańskie i t. p. Stoi temu na przeszkodzie, jak sądzę, właśnie ów neofityzm panującej dziś sfery mieszczańskiej w sprawach kultury uczucia i instynktu człowieczego. Boć przecie we Francyi, wziętej jako pojęcie historyczne, nie brakło porywów najsłodszych, najszlachetniejszych.

Na razie jednak, w tej-to dobie trzeciej republiki, mr Homais obstaje raczej przy dwóch rzeczach: przy franku, którym spłaca dług ludzkości, i przy opiece pana Lepine'a.

— Et ça va tout doucement.

I jedną tylko troskę ma Francya mieszczańska: Maryanna staje się bezpłodną!

Na pierwszy rzut oka troska ta wydaje się czemś paradoksalnem. Jakto? Ta sama burżuazya, która w imię nierozdrabniania fortun i w imię zaokrąglania posagów, wyrzekła się jak najświadomiej „błogosławieństwa Bożego“, ta sama burżuazya, która z kobiety w życiu wielkowiejskiem uczyniła lalkę, niezdolną do macierzyństwa — teraz sama się uskarża na swą bezdzietność? Zakrawa to na najgrubszą hipokryzję, na arcydzieło Tartuffa w życiu społecznem, i jest niem w istocie. Dość uważniej przyjrzeć się faktom.

Dwa szeregi faktów, dwa szeregi zjawisk, nieubłaganie z sobą związanych, wyraziły się w ostatniej epoce tryumfów trzeciej republiki,

Oto z jednej strony burżuazya, nadając ton życiu społecznemu, stworzyła pewien typ rodziny, będący w ścisłym związku z najbardziej zasadniczymi podstawami jej bytu ekonomicznego. Podstawą tego bytu jest kapitalizowanie dochodów, ideałem jego — renta. W interesie rodziny leży, ażeby kapitał był jak największy, rodzina zaś, korzystająca z renty, jak najmniej liczna. To prosty rachunek. Mąż



jest przedsiębiorcą, żona kasyerką w interesie; dla dzieci jest w nim miejsce o tyle, o ile serca przedsiębiorcy i kasyerki uczuwają potrzebę wzruszeń tkliwych. Otóż tryb życia i ideały burżuazji nie szczególnie sprzyjają rozwojowi tkliwości. Jedno dziecko jest jeszcze pożądane, jako przyszły spadkobierca domniemanej renty, drugie tolerowanem jest jako swego rodzaju „rezerwa“, ewentualny zastępca spadkobiercy. Na więcej dzieci nie pozwala już sobie żadne konsekwentne sta-  
dło francuskie.

Ten tryb rzeczy, ten system ograniczenia się w dietności na miarę ideałów bytu materialnego, znajduje tysiączne pomoce w życiu wielkomiejskiem. Nie będziemy tu się nad nimi zastanawiali. Dość, że specjalna medycyna, specjalna organizacya tanich przyjemności, specjalna moralność męża i żony, ułatwiają milionom przeprowadzanie tego systemu.

W klasach „wysokiej burżuazji“ względem ekonomicznym towarzyszą jeszcze względy specjalnej... estetyki. Jest to estetyka kobiety, dbałej o wdzięki swe i „swobodę ruchów“, bodaj kosztem wynaturzeń, histeryi. I znowu cały aparat udogodnień i urządzeń, narkotyków i fałszerstw życiowych towarzyszy tej „estetyce“.

I to jest jeden szereg faktów, których powszechność rozciąga się dziś zresztą aż do warstw rolniczych, do sfery, nie powiem wieśniaków, bo tu ich coraz mniej, lecz producentów zboża.

Nieodwołalnym wynikiem tego szeregu faktów jest ów drugi, od niego pochodzący: nieustanne zmniejszanie się liczby urodzeń we Francji współczesnej. Im szerzej i głębiej w społeczeństwo przenika mieszczański tryb życia, im bardziej zaludnia się miasto, im wyłącznie życie staje się interesem, który w pewnej fazie powinien pięknie rentować, tem, równocześnie, mniejszą liczbą spadkobierców zadawalniają się kolejne pokolenia trzeciej republiki.

I oto powstaje groźna kwestya „wyludnienia Francji“, nad którą debatują parlamenty i kongresy.

Przedziwna ironia zjawisk! Oto ta sama „średnia“ i „wysoka“ burżuazya, która praktykę ograniczenia swej dietności wynalazła, rozwinęła i podniosła do godności systematn, teraz, przez usta swej prasy i swego parlamentu, ciska na nią gromy oburzenia — dlaczego?

Oto po prostu dla tego, że prócz „średniej“ i „wyższej“ burżuazji, system ten adoptowała i burżuazya „mała“, i producenci zboża, i — o zgrozo! — nawet zaczynają się w tym kierunku trenować — robotnicy!

„C'est le comble“ — jak powiadają Francuzi. Któż będzie zatem podatki płacił, skąd się będą rekrutowali w przyszłości obrońcy trze-

ciej republiki zarówno do armii, jak w brygadach p. Lepine'a. Wreszcie odbić się to musi kiedyś nawet na ilości konsumentów i „ca n'ira plus du tout“!

Prawdziwie, kto będzie znaszał przegniłe obuwie i zleżale sukna, w które tylu a tylu dostawców zaopatruje armię dzisiejszą? Kto będzie w czasie głosowania powszechnego spijał miliony litrów alkoholu, którym patronowie republiki, szynkarze, wypełniają w tej epoce brzuch Francji głosującej, jako istny termometr temperatur politycznych? Kto po całodzienniej pracy przyjdzie przed cynowy szynkwas ogłupiać się do reszty, sącząc truciznę absyntów? Jakżeby wówczas spadł w cenie absynt, „absynt, nad wszystkie wyższy alkohole“...

I w ten-to sposób kwestya wyludnienia staje się kolejno ważną, groźną, nagłą, wreszcie - modną. Dziś w pismach nie milkną debaty nad nią, a senator Piot złożył już projekt prawa, mającego zło zażegnać.

Czyż trzeba doławać, że projekt ten senator Piot oparł na podstawie fiskalnej? Poprostu pomysły prawodawca pragnie obłożyć podatkiem, nowym podatkiem, ludność, która żyje w stanie bezżennym, lub też rodziny bezdzietne!..

Taki projekt prawa, bezdusznie godzący w najtajniejsze sprawy osobiste, brutalny i ograniczony, jak pojęcia stójkowego o władzy, płonny wreszcie, jak majaczenie biurokraty, śniącego o reformach na swem „rond de cuire“, ofiarował senator Piot na wiązanie trzeciej republice.

---

Jakże można, pisząc z Paryża, nie mówić o literaturze, o najnowszych jej kierunkach, o „dernier cri“ snobizmu artystycznego, o ostatnich manifestach kawiarnianej arystokracji ducha i t. d.

Ostatecznie można.

Niekiedy ton, w którym się prowadzi rozmowę, z góry wyklucza możliwość poruszania pewnych tematów. I tak na przykład, zajmąwszy tu z góry poniekąd punkt widzenia, że tak powiem, burżuazyżerczy, nie chcę po prostu mówić o literaturze.

O niej, a zwłaszcza gdy mowa o francuskiej, za dużo się zawsze ma do powiedzenia, niezależnie od fazy, którą przeżywa.



Bo w jednej tylko literaturze, czy, obszerniej biorąc, sztuce, krążą zawsze żywe, choćby najbardziej wychudzone, wszystkie tradycje narodu. Dla tego-to, gdy po prostu nie przystoi mówić o samej tylko literaturze burżuazyj, bo to-by był *crimen lesae majestatis*, a gdy na szerszą gawędę już czasu brak, odkładam rzecz do najbliższej przyszłości.

ANTONI POTOCKI.

---

# Prawo i hipoteza w badaniu przyrody.

---

Przez obszary nauki powiał prąd, jakby demokratyczny. Widzimy to nie tylko w usiłowaniach rozprzestrzeniania wiedzy, w fundowaniu uniwersytetów ludowych, które w nazwie swej sprzęgają pojęcia niedawno wręcz sprzeczne, ale także w skromniejszym pojmowaniu zadań i celów nauki.

Ogół wiedzy przyrodniczej zwykle się oddawna dzielić na dwie odrębne kategorie, z których jedna obejmować miała nauki, poszukujące przyczyny zjawisk, nauki badawcze, dążące do wyjaśnienia przyrody, gdy drugą stanowiła historia naturalna, jako nauka opisowa, podająca jedynie opis przyrody, tworców jej szczegółowych; były to więc jakby nauki wyższe i niższe, naczelne i podrzędne. Przeciw rozróżnieniu takiemu protestowała już dawniej historia naturalna, wykazując, że nie pragnie bynajmniej ograniczać się samym tylko opisem i klasyfikacją, ale dąży również do wykrycia praw ogólnych, do wyjaśnienia zjawisk, do wytworzenia teorii rozwoju istot. Zanim



jednak roszczenia te uznanie powszechne zdobyć zdążyły, zrównanie nauk następuje raczej w kierunku wręcz przeciwnym, nauki bowiem „wyższe“ same ustępują ze swego stanowiska, zrzekają się poszukiwania przyczyn i wyjaśniania przyrody; przyznają, że pragną zdobyć tylko opis jej zjawisk, same uznają się „naukami opisowemi“ jedynie.

Rezygnację taką ujawniła przedewszystkiem mechanika. Zbudowana mocno już przez wielkich matematyków XVIII wieku, ulegała jednak nieraz przeobrażeniom formalnym, zmierzającym do wygładzenia gruntu, na jakim się wspiera, do uproszczenia wiązań, do usunięcia założeń dowolnych i hypotetycznych, a w dążeniu tem określił Kirchhoff mechanikę, jako naukę, która ma na celu dokładny i najprostszy opis ruchów, w naturze zachodzących. Tak proste określenie nauki, wywodami matematycznymi wskroś przejętej, wydało się zrazu osobliwem, wywołało zdumienie i protesty, zwolna jednak oswojono się z takim rozumieniem rzeczy i objęto niem cały obszar fizyki, która tedy przedstawia się nam, jako opis przyrody, podobnie, jak i ogół wiedzy przyrodniczej.

Nowy ten pogląd na zadanie fizyki, gdy go bez uprzedzeń rozważamy, rażącym nie wydaje się bynajmniej i pogodzić się z nim można. W istocie bowiem fizyk i naturalista zarówno stoją zewnątrz przyrody. obaj są jej widzami i obserwatorami, poznają to tylko, co im sama wyjawi i odsłoni, odkrycia swe porządkują, klasyfikują i w zasady ogólne ujmują. Wyrażając prawa natury, że kąt odbicia promieni światła jest równy kątowi ich padania, albo że drogi, przebieżone przez ciała swobodnie spadające, są proporcjonalne do kwadratów z czasu spadku, dajemy tylko sprawozdanie, referat swych dostrzeżeń, tak samo, jak i w tym razie, gdy opowiadamy, że serce ssących i ptaków obejmuje cztery jamy, albo że kwiat roślin krzyżowych zawiera cztery pręciki dłuższe, a dwa krótsze. W jednym i drugim razie są to pojęcia, z faktów wysnute, a doniosłość ich skrępowana jest granicami, w których się dostrzeżenia nasze obracają. Gdy twierdzimy, że objętość gazu pozostaje w stosunku odwrotnym do ucisku, jakiemu jest poddany, winniśmy mieć na uwadze, że z pełną ścisłością prawo to utrzymuje się tylko w pewnym obszarze ciśnień, którego granice dla każdego gazu wyznaczyć należy. Na tle więc prawa ogólnego rozbierać musi fizyk zachowanie się ciał oddzielnych, jak naturalista w opisach swoich schodzi od skupień rozleglejszych do gatunków osobnych.

Pomimo analogii, tak daleko sięgającej, między prawem fizycznym a opisem naturalisty tkwią sprzeczności, uderzające nawet, ale różnice te są porządku ilościowego raczej, niżeli jakościowego, zawisłe od odrębności materiału, jakim nauki oddzielne rozporządzają.

Fizyka względem innych nauk w korzystniejszych znajduje się warunkach. Gdy zoolog, wynajdując zgodne i wyróżniające cechy zwierząt, osiąga klasyfikację coraz dokładniejszą i coraz bardziej drobiazgową; to wszakże ostatecznie ogniwa układu tak są jeszcze między sobą odmienne, że każde oddzielne wymaga opisu. Widzimy to, zstępując od ogólnych cech zwierząt różnych typów do gromad, rzędów, rodzin, rodzajów, gatunków i odmian; przez wszystkie te stopnie ciągnie się różnorodność, zawsze pozostają szczegóły odosobnione, w ograniczonej tylko mierze podobieństwo między sobą zachowujące. W fizyce, natomiast, napotykamy całe obszary faktów dokładnie jednorodnych, ilościowo jedynie między sobą odstępujących; tak zachowanie się wszystkich wogóle ciał względem przebiegającego przez nie światła ująć się daje w treściwe orzeczenie o stosunku wstaw kątów padania i załamania; gdy badamy przewodnictwo ciał względem ciepła, lub elektryczności, napotykamy jedynie stopniowanie, dające się wyrazić liczebnie. Klasyfikacja jest tu zadaniem tak prostem, że zgolała nam się nie uświadamia, a fakty rozpatrywane są tak podobne i spokrewnione między sobą, że opisy oddzielne stają się zbędne, a do zaznaczania różnic wystarczają liczby. Stąd też wspólność, tkwiąca w całym szeregu objawów jednorodnych, łatwo wydobyć się daje i ująć w opis ogólny, czyli regułę, według której otrzymywać można opis każdego przypadku oddzielnego, a regułę taką właśnie prawem nazywamy. Skoro wiemy, w jaki sposób szybkość kołysania się wahadła od jego długości zależy, opis ten daje nam bezpośrednio znajomość ruchów każdego wahadła osobna. Jeżeli więc fizyka metodami swemi osiąga rezultat na pozór o wiele wyższy, aniżeli nauki inne, biologiczne zwłaszcza, to pamiętać należy, że ma ona poniekąd zadania znacznie prostsze.

Rozumiejąc wszakże, że dążnością nauki ma być jedynie osiągnięcie opisu, usuwamy z niej tem samym pojęcie przyczynowości, przy opisie bowiem nie pytamy o przyczyny, nie szukamy powodów, ale rugowanie takie, sprzeczne z poglądami dawniejszemi na istotę nauki, staje się zrozumiałem i usprawiedliwionem, gdy z zadań jej i celów jaśniej zdajemy sobie sprawę. Zapatrywania nasze uległy w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci znacznemu przeobrażeniu, coraz większa dojrzałość nauki sprowadziła rezygnację. W roku 1847, we wstępie do pamiętnej swej rozprawy o zachowaniu siły, pisał Helmholtz: „Dział teoretyczny fizyki dąży do wynajdywania nieznaney przyczyny objawów z ich działań fizycznych; stara się je pojąć według prawa przyczynowości. Do sprawy tej zagnała nas i usprawiedliwia ją zasada, że każda zmiana w przyrodzie mieć musi przyczynę wystarczającą“. W następnem wszakże wydaniu, we trzydzieści cztery lata później, po-



gląd ten swój odwołał krótkim dopiskiem: „Wywody filozoficzne wstępu silniej uległy wpływowi poglądów Kanta, dotyczących się teorii poznania, aniżeli-bym mógł to teraz za rzecz słuszną uważać. Później dopiero stało się dla mnie jasnym, że zasada przyczynowości jest rzeczywiście jedynie założeniem prawidłowości wszystkich zjawisk przyrody“.

Co nazywamy przyczyną i skutkiem, są to tylko wybitne szczegóły doświadczenia, które się w pamięci naszej utrwalają; gdy podajemy przyczynę, wyrażamy jedynie łączność objawów, związek faktów, znanem nam prawem ujętych. Objętość gazu jest tak samo następstwem jego prężności i temperatury, jak prężność wynika z objętości i temperatury, a temperatura z objętości i prężności wypływa. Wiemy tu tylko, że różne te czynniki są wzajem od siebie zależne, węzłem konieczności związane. Dla czego ciało uderzające wprawia w ruch ciało uderzone, tego w istocie rzeczy nie wiemy; skoro wszakże mamy kierunek, prędkość i masę ciała uderzającego i uderzonego, mamy dane dostateczne, by z nich łatwem i ścisłem rozumowaniem przebieg objawów dalszych wyprowadzić, a takie właśnie zależności wzajemne faktów największą dla nas wartość posiadają. Zamiast wskazywać przyczyny, postępujemy słuszniej, jeżeli różne szczegóły, składające się na fakt dany, uważamy jako okoliczności wzajem od siebie zawisłe, podobnie, jak działa matematyk z ilościami, które do zadania swego wprowadza.

Takiem wszakże prostem wykrywaniem praw natury, takim opisem bezpośrednim jej objawów nie wyczerpuje się jeszcze zadanie fizyki. Znamy przecież wielkie jej teorie, obejmujące rozległy obszar zjawisk, nawykliśmy do jej hipotez głębokich i zdumiewających, które z prostych założeń ogólnych wysnuwają i przed oczy stawiają każdy szczegół dostrzeżony, przewidują zjawiska nieznanne, niewidziane nigdy, zadawalniają dążność naszą do rozumienia, tłumaczenia przyrody. W hipotezie falowań eteru znajdują wyjaśnienie wszystkie objawy światła, hipotezą drgań cząsteczek ujmujemy wszelkie zmiany, przez ciepło w ciałach powodowane, różnorodność ich stanu skupienia. Czyż i teorie takie, które się nam przedstawiają jako rusztowanie, jako wiązanie całego gmachu fizyki dzisiejszej, również opisami tylko nazwiemy i do tak prostej kategorii umysłowych czynności naszych zaliczymy. Zapewne, jeżeli zechcemy, można i te wyżyny nauki do opisów zrównać, z tem tylko zastrzeżeniem, że nie będą to już opisy proste, ale, jak je Mach nazywa, opisy pośrednie, na podstawie porównania, analogii, zrodzone.

Metoda porównawcza posiada doniosłe w rozwoju nauki znaczenie, toruje badaczowi kierunek jego dochodzeń, odsłania mu widoki

nowe i uderzające, zamiast zbiorowiska szczegółów luźnych, daje mu obraz uporządkowany pierwiastków jednorodnych, zbliża rzeczy odległe i w myśli jego zestawia, z zawiłej różnorodności cechy wspólne dobywa. Jak wielki poeta olśniewa nas porównaniem niespodzianem i niezwykle, tak też i genialność badacza wybija się w zdolności chwytania podobieństw, w dostrzeganiu analogii utajonych. W obiegu księżycy dokoła ziemi poznaje Newton ruch, odpowiadający spadkowi brył ciężkich na jej powierzchni, a rozpościerając zakres tej analogii, obejmuje wspólną teorią wszystkie ruchy planetarne. Uchwyceniem analogii między budową czaszki i kręgow, podobnie jak między liściem a okólkami kwiatów, zajął Goethe wybitne stanowisko wśród przyrodników.

Wszelka łączność zjawisk, jednoczenie się ich w pojęciu naszym przez porównanie tylko dostaje się do nauki. Opis faktu pojedynczego nasuwa się łatwo, zadanie wszakże staje się trudnem, gdy mamy objąć pewien ich obszar; szczegół nowoodkryty usiłujemy wtedy powiązać z faktami, lepiej nam znanymi, oprzeć go na podstawie, poprzednio już zbudowanej. Magnes zachowuje się jak bryła, dwoma płynami obciążona; promień światła—jak ruch falowy, po powierzchni wody przebiegający. Jest to więc „opis pośredni“, a co teorią, hipotezą nazywamy, do zakresu takich opisów pośrednich zaliczyć możemy.

Pożytek wprowadzenia podobnej teorii nie ogranicza się w ogólności samem tylko ułatwieniem opisu, udostępnieniem pojmowania rzeczy; korzyści jej wzmagają się zwłaszcza, gdy zgodność między danym a zastępującym go faktem sięga dalej, aniżeli to sami twórcy dostrzegają. Huygens, opierając undulacyjną swą teorię światła na analogii do objawów głosu, pragnął w niej tylko zawrzeć znane wówczas objawy odbicia, oraz pojedynczego i podwójnego załamania promieni; następnie jednak okazała się przydatną też do objęcia w dalszym czasie dopiero poznanej interferencji i polaryzacji, zdołała nawet wywnioskować i przewidzieć z góry zjawiska tak zawiłe, że doświadczenie bezpośrednie nie zdołało-by nigdy ich wykryć.

W tem samem wszakże źródle, z którego płodność hipotezy płynie, tkwi także i zaród niebezpieczeństwa; trofeami jej bowiem zachwyceni, oswajamy się z nią łatwo i przywiązujemy do niej silniej, aniżeli trwałość budowlu pozwala. Zapominamy wtedy, że hipoteza nie jest odzwierciedleniem rzetelnem faktów, ale przenosią tylko, a gmach, w umyśle naszym dla pomieszczenia rzeczywistości wzniesiony, wy-daje się nam rzeczywistością samą. Teoria najplodniejsza może się stać wtedy zawadą do badań dalszych. Świadczą o tem różne karty dziejów nauki. Dawna teoria ciepła opierała się na dostrzeżeniu, że



gdy ciało zimne ogrzewa się kosztem cieplejszego, ogólna ilość ciepła pozostaje niezmienną, jak nie zmienia się ilość płynu, gdy z naczynia pełnego do pustego przepływa; według tej analogii przyjęto ciepło za pewien rodzaj materji, chociaż nieważkiej, a na podstawie takiej hipotezy wykrył Black możność ilościowej oceny ciepła, zasadę ciepła utajonego i ciepła właściwego. Powodzenie to wszakże tak silnie przywiązało fizyków do teoryi materialnej ciepła, i tak baczność ich skrępowało, że odwróciło uwagę ich od faktów, z hipotezą tą niezgodnych, a w szczególności od ciepła, rozwijającego się przy tarcju, chociaż objaw ten znany był już dawno; pod wpływem więc teoryi, która pierwotnie tak pożyteczną była, łączność ciepła z pracą przez pół wieku przeszła pozostawała utajoną. Hipoteza płynu nieważkiego ustąpić wreszcie musiała, ale to, co w niej istotnem było, zachowało swą wartość, i niezależnie od niej utrwaliło się w nauce; jest to mianowicie zasada, że przy wszelkich przeobrażeniach ciał, ze zmianą ich temperatury i stanu skupienia związanych, zachowuje się niezmienną ilość ciepła, wyrażająca się iloczynem masy ciała, jego ciepła właściwego i temperatury, co najtreściwiej wyrazić możemy wzorem matematycznym formy ogólnej:  $m c t = m' c' t'$ , a to daje nam już bezpośredni i treściwy opis faktów.

Taką znajomość rzeczy uważa Mach za kres ostateczny i cel najwyższy naszych dochodzeń naukowych. Opisy pośrednie są tylko środkiem, ułatwiającym, a nawet umozębniającym badanie. Gdy nastęrcza się nam fakt nowy, opisać go wprost nie zawsze potrafimy. Gdyby cały zasób faktów, które stopniowo poznajemy, naraz nam się odsłonił, nie zdołali-byśmy go objąć. Na szczęście wszakże wpadają nam w oczy objawy oddzielne, niezwykle, które zestawiamy z objawami znanymi, powszedniemi, a dalej dopiero nasuwają się porównania liczniejsze, obszar faktów, obejmowanych myślą naszą, rozrasta się, pojęcia stają się ogólniejsze i bardziej oderwane, prowadząc wreszcie do opisów bezpośrednich, a najbardziej imponujące twierdzenia fizyki, gdy je na elementy rozłożymy, nie różnią się zgoła od opisów historyi naturalnej.

Zwrot taki w pojmowaniu zadania nauki, w jej rozwijaniu i kształtowaniu, nazwano fenomenologią, fizyką fenomenologiczną, ideałem jej bowiem jest dokładny, treściwy, przejrzysty inwentarz objawów, faktów danej kategorii, z którego były-by usunięte pierwiastki obce i zbyteczne, przez spekulację wprowadzone. Przykład takiego rozumienia, takiego przedstawienia rzeczy, dają nam równania mechaniki, obejmujące cały ogół objawów dynamicznych. W opisie umiejętnym i treściwym, w symbolicznem zwłaszcza wyrażeniu matematycznym, mieści się cały obszar faktów, zjawisk, który jednym

rzutem oka objąć możemy łatwo, zyskując tem oszczędność pracy, pa-  
mięci, wysłownienia. Fizyka, w określeniu Macha, jest to doświadcze-  
nie, uporządkowane ekonomicznie; na porządku zaś takim głównie  
nam zależy, metylko bowiem ułatwia przegląd tego, co już posiada-  
my, ale nadto, jak w każdym dobrem gospodarstwie, ukazuje braki,  
których zapełnienie jest pożądane. W rozważaniach naszych opiera-  
my się na pewnych przypuszczeniach, mniej lub więcej uzasadnio-  
nych, na pewnych spostrzeżeniach oczywistych. lub na doświadcze-  
niach prostych, i z założeń takich wysnuwamy związki matematyczne,  
równania, których rzetelność i dokładność potwierdza się zgodnością  
z faktami znanymi; piękny przykład takich badań dają nam wzory  
elektro-dynamiczne Ampère'a. Wzory tylko takie są nam potrzebne,  
a skoro je już posiadamy, jest rzeczą zbyteczną troszczyć się o ich  
źródło; są w każdej chwili na usługi nasze gotowe, a gdy o dowód ich  
słuszności pytamy, daje go nam przecież zgodność z rzeczywistością.  
Wielkie zagadki istoty rzeczy, które dręczyły umysł tylu badaczy,  
które tyle mozolów kosztowały i tyle pomysłów genialnych wywołały,  
odpadają dla fenomenologii; elektryczność, jest to tylko summa wszyst-  
kich doświadczeń, które w dziedzinie tej już przeprowadzono i które  
w przyszłości jeszcze dokonane być mogą. Dziś stara się nauka ogół  
zjawisk sprowadzić do atomów i ich ruchów, ale gdy tym atomom  
i cząsteczkom, które sama jako środek pomocniczy dla swych badań  
stworzyła, realność istotną przyznaje, wytwarza tylko, według Ma-  
cha, „mitologię mechaniczną“, zamiast mitologii narodów dawnych,  
zapełniającej przyrodę bóstwami, i mitologii metafizycznej filozofów.  
Gdy matematyk bada własności linii krzywej, rozkłada ją najpierw  
na drobne elementy prostolinijne; wie jednak, że jest to tylko środek  
pomocniczy, który mu dozwala ująć częściami, czego od razu w cało-  
ści uchwycić nie zdoła, a skoro całkowania swe przeprowadzi i postać  
krzywej określi, odrzuca drobne elementy i już o nich nie pamięta.  
Tak też i atom jest tylko środkiem do przedstawienia zjawisk, jak  
elementy matematyczne; o ile jednak nauka materiałem swym lepiej  
owłada i pełny prąd zjawisk ujmuje, grę tych cząsteczek porzucić  
winna.

Tak jednak na zagładę skazany, drobny atom zbyt mocno tkwi  
w nauce dzisiejszej, by się łatwo wyrokowi temu poddał. W wyobraź-  
ni filozofa greckiego niegdyś zrodzony, niepostrzeżenie prawie prze-  
niknął do nauki nowoczesnej i stopniowo stanowisko swoje coraz le-  
piej gruntował. Cząsteczkowa, ziarnista budowa materji podatną się  
okazała do rozważań naukowych; rachunek mógł się dobrze czepiać  
atomów i stąd wysnuwać wnioski, całość obejmujące. Dla astronoma,  
sledzącego i obliczającego bieg ciał niebieskich, planety i gwiazdy



punktami są tylko, ciężeniem powszechnem związanemi. Wyobrażenia te dały się łatwo przenieść na budowę wewnętrzną ciał; spoglądano na nie, jak na układy złożone z cząstek, z punktów materialnych, utrzymujących się w łączności działaniem sił międzycząstkowych, przyciągających i odpychających. Gdy siły te okazały się nie dosyć jasne, gdy sprowadzały zawilość i utrudnienie, zdołano je usunąć i zastąpiono je ruchami cząstek najdrobniejszych. Zdobyto metody dochodzenia szybkości tych ruchów, wielkości tych cząstek i ich odległości wzajemnych; własności gazów dały się prosto z ruchów cząsteczkowych wyprowadzić, na tychże zasadach rozwija się i bardziej zawiła teoria cieczy. Ogół zjawisk starano się do ruchów cząsteczkowych sprowadzić; dla wielu fizyków, w Anglii zwłaszcza, proces fizyczny wtedy dopiero jest zrozumiałym, gdy daje się modelem mechanicznym odtworzyć. Co poglądem na świat mechanicznym, albo mechanistycznym raczej nazywamy, jest w istocie rzeczy poglądem atomistycznym.

Potrzebniejszym jeszcze, aniżeli dla fizyki, okazał się atom dla chemii. Skoro poznano, że każde działanie, każdy skład i rozkład chemiczny dokonywa się jedynie między oznaczonemi, statecznemi ciężarami ciał, które w nim udział biorą, hipoteza atomistyczna złożyła sprawę z tego faktu podstawowego, dała wyjaśnienie dla umysłu zadawalnijące, wprowadziła porządek i drogę poszukiwaniom utorawała. Inaczej przecież, bez udziału atomów, posiadających ciężar oznaczony i niezmienny, dotąd rozumieć nie możemy takiego łączenia się atomów według stosunków, zawsze jednakich i niezmiennych. Wraz z doskonaleniem się chemii, rozwijała się i rozrastała atomistyka chemiczna, tworząc z nią jakby jedność nierozdzielalną. Nie pozostał też chemik na obliczaniu ilości atomów, związek dany tworzących, ale rozpatruje nadto ich układ, różnorodność ich uporządkowania w cząsteczce, by w taki sposób wytłómaczyć różnice ciał równoskładnych, czyli izomerycznych, posiadających jednaki skład ilościowy, a pomimo to odrębne zgola własności; cały przecież ogrom związków organicznych z niewielu tylko jednakich złożony jest pierwiastków. Gdy do celu tego nie starczyły łańcuchy szeregowe z atomów rozkładanych na płaszczyźnie, zaczęto się odwoływać do kombinacji stereochemicznych, do rozmieszczania ogniw w przestrzeni, zawiłe zaś te układy nie tylko dają wystarczające wyjaśnienia różnych przypadków izomeryi, ale ukazują też zależności, zachodzące między uporządkowaniem atomów w cząsteczce, a własnościami materii, a nadto prowadzą do nowych metod sztucznego wytwarzania produktów, o których niedawno jeszcze sądzono, że jedynie pod wpływem procesów życiowych rodzić się mogą, tajemnicę zaś ich powstawania przyro-

da na zawsze dla siebie zachowała. Atomizm przejmuje naukę dzisiejszą; wszystkie jej teorie, gdy się im przyjrzymy, zbiegają się w hipotezie atomistycznej, a kto pragnie hipotezę z nauki usunąć, winien ostatecznie atom pokonać.

Opór przeciwko hipotezie nie dzisiejszą dopiero jest sprawą, a losy jej w różnych okresach dziejów nauki chwiejne były. Już w starożytności matematyczna fizyka Archimedesesa jest jakby protestem przeciw wybujałej w jałowych hipotezach fizyce Arystotelesa, a gdy z odrodzeniem nauki w czasach nowożytnych Galileusz kładzie trwale podstawy mechaniki, znajduje współcześnie wielbicieli z dowolnych zupełnie hipotez utkana filozofia natury Descartes'a. Przeciw kartezyanizmowi temu wypowiada Newton dumne swe „*hypotheses non fingo*” — hipotez nie tworzę, a słowa te uczniowie i następcy jego przyjęli za hasło nauki dalszej, powtarzając tryumfalnie, że wygnane są już na zawsze wszelkie hipotezy z nauki, która do najskrytszych tajemnic przyrody przeniknąć pragnie jedynie przez stosowanie matematyki do starannie prowadzonych doświadczeń. Zapominano tylko, że i Newton sam dla wyjaśnienia zjawisk optycznych odwoływać się musiał koniecznie do pomysłów hypotetycznych, a przez optykę właśnie odrodziło się znowu zaufanie do hipotezy, gdy nowa teoria undulacyjna światła olśniewającym blaskiem dział ten fizyki rozjaśniła. Wobec jej potęgi, dokładności, z jaką wysnuwała z siebie zjawiska znane i wiodła do odkryć nowych, wydało się, że posiadamy już rzeczywiście odsłoniiony obraz tajemnej istoty rzeczy. Jeżeli zaś hipoteza dzisiejsza nie jest jeszcze kresem ostatecznym dochodzeń, to powodzenie jej usprawiedliwia przynajmniej nadzieję, że nauka, wznosząc hipotezy coraz potężniejsze i coraz dokładniejsze, przystępuje coraz bliżej do prawdy, chociażby ostatecznie nigdy do niej dotrzeć zupełnie nie miała, jak asymptota do hyperboli.

Powodzeniu temu hipotezy silniej jeszcze sprzyjał dalszy rozwój fizyki, kierunek jej cynetyczny, który źródło wszystkich objawów sprowadzał do ruchów wewnętrznych materji. Na podstawie teoryi mechanicznej ciepła ugruntowany atomizm nowoczesny, jak zaznaczyliśmy już wyżej, osiągnął rezultaty zdumiewające, porwał umysły, ożywił nadzieje i podsycił pogląd, że doskonalące się wciąż hipotezy są to szczeble do zdobycia prawdy utajonej. A wśród tego blasku żywego, na drodze tego pochodu tryumfalnego naraz odzywają się głosy, które sprowadzają hipotezę z wybitnego jej stanowiska i roszczenia jej hamują. Brzmi w tych głosach jakby dawne ostrzeżenie Newtona, i teraz też samą, co niegdyś, wywołane przyczyną, nadmiernem przecenianiem hipotezy i zbyt niemi w niej zaufaniem.



Przeciwnikom atomizmu wydało się, że wielu fizyków hipotezom swoim rzetelność istotną przyznaje i ponad fakty same je wynosi, zraziły ich szkopyły pewne, na których utknęły trudne te badania, drażnili ich autorowie niepowołani, zalewający piśmiennictwo naukowe potokiem pomysłów błahych i jałowych, tuszący w dobrem o sobie rozumieniu, że posiadli klucz do najskrytszych tajników przyrody.

Jeżeli jednak hipoteza nie może być uważana za ideał nauki, jest też wątpliwem, czy stanie się nim ta nowa fenomenologia, czy umysł ludzki okaże się zdolnym do tak daleko sięgającej rezygnacji, by zadowolnić się realnym tylko inwentarzem wiedzy zdobytej, czy nawet jest możliwem w ogólności takie jej ukształtowanie. „Zapewne — mówi profesor Boltzmann, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli fizyki matematycznej — cel każdej nauki, a tem samem fizyki, był-by najdokładniej osiągnięty, gdybyśmy posiadli wzory, za pomocą których zjawiska oczekiwane dały-by się z góry obliczyć z pewnością i ścisłością zupełną; to wszakże jest dążeniem również niedościgłym, jak znajomość stanu początkowego wszystkich atomów i prawa, według którego wzajem na siebie działają. Jeżeli fenomenologia mniema, że zdoła przedstawić przyrodę, nie wybiegając zgoła poza doświadczenie, uważam to za złudzenie. Żadne równanie nie przedstawia dokładnie jakiegokolwiek bądź zjawiska, każde je idealizuje, wydobywa okoliczności wspólne, a odwraca uwagę od różnic, wykracza przeto poza doświadczenie. Jest to rzeczą niezbędną, gdy pragniemy osiąść jakiegokolwiek wyobrażenie, które-by nam dozwoliło przebieg następny zjawisk przewidzieć; wypływa to z samego procesu myślenia, polegającego na tem, że z doświadczenia tworzymy obraz umysłowy, który już nie jest doświadczeniem, a stąd znaczną liczbę doświadczeń przedstawić może. Im śmieiej poza doświadczenie wychodzimy, tem ogólniejsze zyskać możemy poglądy, tem bardziej uderzające wykryć możemy fakty, ale też tem łatwiej błędzić możemy. Fenomenologia przeto nie powinna się chlubić, że nie przekracza doświadczenia; może tylko ostrzegać, by nie posuwano się zbyt daleko“.

Na stanowisku tak wskazanem, poglądom sprzecznym pogodzić się wypada. Hipoteza zostaje ocalona, jeżeli pamiętamy zawsze, że jest ona tylko umysłowym, pojęciowym obrazem zjawisk; obraz nie jest rzeczywistością, ma nam tylko rzeczywistość wiernie przedstawiać. Czy materya ma budowę ziarnistą, czy też rozpościera się w sposób ciągły, czy składa się z atomów, czy raczej nieprzerwanie przestrzeń zapełnia,—gdy pytanie tak sformułowane słyszymy, gotowi jesteśmy powtórzyć odpowiedź poety: „Precz z tym sfinksem, co

prawi zagadki, sam jej dyabeł rozwiązać nie umie". Pytania takiego nauka nie stawia ani nie przyjmuje, nie usiłuje go bynajmniej rozwiązywać; rozstrzygać jest tylko w stanie, czy wierniejszy, dokładniejszy obraz zjawisk daje nam hipoteza atomistyczna, czy też wyobrażenie o jej ciągłości.

Jeżeli zważymy, jak dobrze wywiązał się atomizm z zadania swego, jak wiernie odtwarza nam cały ogół zjawisk, jak drogi badań uitorował, ile usług nauce przyniósł i dotąd przynosi, pierwszeństwo dziś przy nim pozostaje. Nowa potęga, która-by go odtrącić zdołała, musiała-by najpierw przejąć jego rachunki i z niemi się załatwić, trwałym jego obliczeniom i pomysłom nadać nowe znaczenie, w duchu je swoim wyjaśnić.

S. KRAMSZYK.



---

# Stowarzyszenia rolnicze.<sup>1)</sup>

## B) Stowarzyszenia.

---

Z rozpatrzenia działalności najznamienszych Towarzystw rolniczych wynika, że właściwym ich celem jest podniesienie i postęp rolnictwa krajowego. Lecz dorobki postępu, objawiające się czy w powiększeniu plonów z pól i żywej wagi zwierząt, czy w innej postaci, niekoniecznie są równoznaczne z powiększeniem u pojedynczego rolnika czystego dochodu. Są one bezwątpienia środkiem do tego najdzielniejszym, o tyle jednak skutecznym, o ile rolnik zdoła sprawić, aby koszta produkcji wzrastały powolniej, niż plony.

Doświadczenie przekonało dowodnie, że do obniżenia kosztów produkcji dojść daleko łatwiej połączonymi siłami współzawodowców, aniżeli w rozproszeniu. Na gruncie tego doświadczenia wzięły początek Stowarzyszenia rolnicze.

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lutowy, str. 335.

Powstały one znacznie później, niż Towarzystwa, bo i potrzeba ich objawiła się później. Wywołała ją głównie chęć usilnego gospodarowania, ta zaś w czasach pańszczyźnianych chyba wyjątkowo napotkać się mogła.

Rozkwit stowarzyszeń rolniczych, zwłaszcza nabywających na wspólny rachunek materiały produkcji, szedł od chwili ich pojawienia się krokiem niezmiernie szybkim, z wyjątkowymi tylko wypadkami niepowodzeń, co dowodzi nietylko użyteczności tych stowarzyszeń, ale i tego jeszcze, że skoro zjednoczenie rolników dla wspólnego nabywania materiałów produkcji, pomimo wielkiej różnorodności otoczenia, rzadko chybia celu, musi więc leżeć ono w samej naturze zawodu rolniczego.

Wobec tak ujawnionego faktu, w liczbie Towarzystw rolniczych wiele znalazło się takich, które, chcąc zespolić się ściślej z bytem ziemiańskim i dać swoim członkom wszelkie korzyści zjednoczenia, włączyły do zakresu swoich zajęć zaspokojenie najważniejszych potrzeb rolnika, wkraczając tym sposobem w sferę zadań stowarzyszeń rolniczych. Te znów ze swej strony, dążąc również do wszechstronnego obsłużenia swoich uczestników, zastanawiają się częstokroć nad pytaniami, dotyczącymi teorii i praktyki rolniczej, i przez to spełniają funkcje Towarzystw. Pozornie więc granica pomiędzy dwoma temi rodzajami zjednoczeń zdaje się zacierać. Nie przeszkadza to jednak, że przy bliższem zastanowieniu różnice pomiędzy nimi zawsze jeszcze występują na jaw.

Zawsze jeszcze wytyczną dla Towarzystw rolniczych pozostaje umiejętność i postęp, dla stowarzyszeń: korzyść materialna, samopomoc i wzajemność. Dźwignią dla pierwszych będzie suma uświadomionych usiłowań pojedynczych członków; dla drugich: najściślejse zespolenie sił, wytwarzające osobistość zbiorową.

Zawsze jeszcze, pod względem produkcji, Towarzystwa rolnicze uganiać się będą za doskonałością, stowarzyszenia za zyskownością, i zawsze Towarzystwa będą miały ostatecznie rolnictwo i ogół rolników swego kraju, stowarzyszenia: własnych uczestników na oku.

Poznawszy w najgłówniejszych zarysach Towarzystwa, przyjrzymy się teraz działalności stowarzyszeń, cieszących się największem uznaniem i rozgłosem.



## I.

**Stowarzyszenia rolnicze w Niemczech.**

W połowie bieżącego wieku powstały w Niemczech Kasy Reiffeisenowskie dla zaopatrywania ludności w ziarno siewne, tudzież stowarzyszenia dla pomocy podupadłym rolnikom. Rozpoczął się też w owym czasie ruch, większej własności ku zjednoczeniu, objawiający się w tak licznych zawiązywaniu spółek rolniczych, że już w roku 1868 uznano za właściwe utworzyć dla nich drogę przez wydanie osobnego prawa. Przejęte pierwiastkiem samopomocy, który dał im początek, spółki niebawem po zawiązaniu zaczęły kojarzyć się w związki, wytwarzając koła coraz szersze, coraz więcej spraw i potrzeb ogarniające.

Bardzo pożądanym członków przysporzyło stowarzyszeniom rolniczym prawo z roku 1889, zaprowadzające spółki z poręką ograniczoną, mocno łagodzącą solidarną odpowiedzialność członków, której się obawiając, zamożniejsi właściciele stronili przedtem od spółek. Bardziej jeszcze przyczyniło się do rozwoju stowarzyszeń rolniczych zaprowadzenie przez rząd w roku 1895:

Kasy kredytowej dla stowarzyszeń wszelkiego rodzaju z kapitałem pięciu milionów marek. W radzie nadzorczej tej instytucji biorą poważny udział przedstawiciele związków rolniczych. Dobroczynny wpływ kasy w poparciu stowarzyszeń prześcignął wszelkie oczekiwania, objawiając się nie tylko w ożywieniu działalności zjednoczeń istniejących, lecz bardziej jeszcze w coraz silniejszym powstawaniu nowych.

Obrót kasy tej w pierwszym kwartale 1897 roku dosięgnął 374 milionów marek.

Zasadą jej jest udzielanie stowarzyszeniom rolniczym kredytu na 3% bez względu na fluktuacye rynku. Stowarzyszenia te zaciągają z kasy pożyczek około 40 milionów marek rocznie, z których w tymże roku zwracają około 70%.

Pod wpływem tylu przyjaznych okoliczności w dniu 1 lipca 1896 roku istniało już w Niemczech około 9,000 stowarzyszeń <sup>1)</sup>.

Cyfra ta powiększa się szybko z każdym rokiem, do czego w dalszym ciągu powrócimy, teraz zaś przystąpimy do szczegółowego rozpatrzenia działalności stowarzyszeń rolniczych niemieckich:

A) Przedewszystkiem zasługują na uwagę stowarzyszenia do wspólnego zakupu materiałów produkcyi (nabywce).

1) Pomiędzy stowarzyszeniami temi najpierwej dowiodły swojej użyteczności spółki do sprawdzania nawozów sztucznych, paszy i nasion, walczą bowiem skutecznie przeciwko praktykowanym w tych produktach zafalszowaniom, a nadto znacznie obniżyły ceny rzeczonych towarów, zawiązując bezpośrednio stosunek z producentami i czyniąc przez to zbytecznem kosztowne pośrednictwo. Im mniejszą jest własność rolna, tem bezbronniejszą czyni ją odosobnienie, tem więcej pożytku przynosi jej zatem spółka. Daje ona i tę korzyść jeszcze, iż, żądając od uczestników terminowego załatwiania rachunków, przyzwyczajają ich do ścisłości i odwodzi od forsowania gospodarstwa na kredyt, ponad stan i możność.

Żywotności stowarzyszeń nabywczych w Niemczech dowodzą cyfry, dotyczące Prus wschodnich.

<sup>1)</sup> W tem:

Stowarzyszeń centralnych . . . . .	37
Kas pożyczkowo - wkładowych . . . . .	6.391
Stowarzyszeń do sprowadzania produktów (nabywczych) . . . . .	769
Stowarzyszeń nabiałowych . . . . .	1,397
„ innych . . . . .	273
	Razem 8,867

Jedno stowarzyszenie przypada na 5,814 mieszkańców i 3,913 hektarów. Ogólny obrót pieniężny wszystkich stowarzyszeń rolniczych w Niemczech wynosił w roku 1895 — 235 milionów.



Stowarzyszenia rzeczono prowincyi tej sprowadziły:

W roku	Nawozów sztucznych	Paszy	Różnych towarów	Razem	Ogólny obrót
	C e n t n a r ó w				Marek
1885	67,179	21,119	784	89,162	473,052
1896	244,090	163,078	43,835	451,005	1,523,391

Odpowiednio do obrotów, wzrosły i fundusze tychże stowarzyszeń:

Rok	Zysk czysty	Fundusz zasobowy	Extra rezerwy	Udział członków	Funduszków własnych
	M a r e k .				
1885	3,902	21,250	5,000	45,447	71,697
1896	53,885	73,747	8,384	241,977	324,410

Taka żywotność i taki postęp stowarzyszeń jednej prowincyi, mającej 4.2% zaludnienia i 6.8% przestrzeni Prus, daje miarę ogólną.

2. Niektóre stowarzyszenia pośredniczą w dostawie maszyn już to na sprzedaż, już na użytkowanie. Na uwagę przytem zasługuje Związek centralny prowincyi saskiej z bogatą wystawą maszyn rolniczych. Unika on typów niepraktycznych, oraz maszyn, źle, lub nie-trwale budowanych, jakich napotyka się w Niemczech niemało.

Obroty Związku tego wynosiły:

W roku 1889	6,077 marek
" 1890	214,109 "
" 1891	481,198 "
" 1894	651,048 "
" 1896	815,154 "

Podobny skład istnieje również we Frankfurcie nad Menem. Związki maszynowe zbierają u członków zamówienia za pośrednictwem agentów i podają je dyrektorowi Centralnego Zakładu. Prowizya agenturalna idzie po części na koszt, po części na zwroty stowarzyszonym. Zakłady takie, przy których istnieją zwykle warsztaty do naprawy maszyn, urządzi się w okolicach, najusilniej gospodarowanych, i wogóle jest ich w Niemczech mniej daleko, niż spółek do sprowadzania nawozów, nasion i paszy. W nowszych wszakże czasach i ta gałąź działalności zjednoczonej ożywiać się zaczyna.

3. Jako urządzenie swoiste, na uwagę zasługuje berlińskie zjednoczenie główne do zakupu potrzebnych w gospodarstwie przedmiotów, ciekawe z tego względu, że uczestniczą w niem wyłącznie wielcy właściciele, i że załatwia dla nich polecenia na całej przestrzeni Niemiec.

4. Jak to już mówiliśmy powyżej, wielki ruch pod względem zaopatrywania rolników w materiały produkcyi wywiera potężne Towarzystwo Rolnicze Niemieckie, utrzymujące dla 13,000 członków swoich biura, pośredniczące w sprzedaży nasion, paszy i nawozów.

W roku 1898 z poręki jego nabyto:

Nawozów sztucznych	3,300,000	centn. metr.
Nasion . . . . .	50,218	" "
Paszy . . . . .	169,265	" "

Na pierwszej z tych pozycji zyski były znaczne, skoro pozwoliły przelać na dobro Towarzystwa 158,137 marek, z nasion i paszy zyski uczyniły zaledwie 7,000 marek. Sprzedawcami nawozów mineralnych są fabrykanci, mogący dawać znaczne ustępstwa. Co do nasion i paszy sprzedawcami są członkowie Towarzystwa, których obciążać znaczniejszem komisowem nie wypada. Stąd zapewne różnica.

5. W niektórych Związkach prowadzi się zakup bydła wyborowego, które rozchodzi się pomiędzy członków już to przez rozlosowanie, już to z licytacji, już wreszcie podług wskazań Zarządu. Jeżeli przytem Centralny Związek, lub rząd udziela zasiłku stowarzyszeniu, w takim razie przepisuje się rasę bydła, jaka ma być sprowadzaną, i wzbrania się krzyżowania bez planu. Zarobek, lub strata, idą na dobro, lub na ciężar, bądź to Związków, bądź czyniących zamówienia członków.

W ogólności sprowadzanie wspólne przedmiotów, w rolnictwie potrzebnych, dowiodło w Niemczech wysokiej swojej użyteczności.



B) Przechodząc do stowarzyszeń, mających na celu sprzedaż produkcji uczestników, okazuje się, że ta strona działalności jest dotychczas w Niemczech słabo rozwinięta. Usiłowania odbywają się w rozmaitych kierunkach, głównie jednak dotyczą bydła i ziemiopłodów.

1) Co do sprzedaży bydła. W miarę spadku cen zboża, hodowla wysunęła się na plan pierwszy w dochodowości gospodarstw, z drugiej zaś strony, zjednoczenie rolnicze ma bez porównania więcej możliwości zawiązywania stosunków z odległymi rynkami i poznawania ich potrzeb, niż pojedynczy uczestnicy, zwłaszcza jeżeli chodzi o wywóz za granicę. Warunkiem łatwego i korzystnego handlu, tak w tej, jak i w innych gałęziach wytwórczości, jest dorównanie towaru i taki jego zapas, aby i większym zamówieniom wydołać było można. Pod tym względem podejmują się usiłowania za pomocą stowarzyszeń hodowlanych i licencyonowania reproduktorów. Podstawy zatem dla pożytecznej działalności stowarzyszeń sprzedaży bydła istnieją, lecz dotychczas nie uwieńczyły się jeszcze powodzeniem.

Względną pomyślnością cieszy się Wschodnie Fryzyjskie Towarzystwo sprzedaży bydła. Jest ono jednak więcej handlowem, niż rolniczem. Kupuje bowiem bydło nie tylko od członków, lecz i od obcych, posiada obszerne pastwiska i udzieliło zarządowi swemu kredytu 100,000 marek na prowadzenie zakupów, zatem rolnictwo gra w niem rolę posiłkową, a handel główną.

Towarzystwa, prowadzące wspólną sprzedaż świń i cieląt, cieszą się powodzeniem.

2. Kilka towarzystw, prowadzących sprzedaż bydła na rzeź za pomocą własnych rzeźni, nie mogło się utrzymać. Przyczyną tego bywały zwykle: niekompetencya zarządzających pod względem handlowym, nadmierne żądania uczestników, brak poparcia publiczności, konkurencyja rzeźników, posuwających się do odmawiania i podmawiania najętej przez stowarzyszenie czeladzi, i wreszcie łatwość zmowy rzeźników w cechu. We Francyi z bydłem na rzeź mają powodzenie stowarzyszenia wytwórczo-spożywcze, gdyż te mają zbyt zapewniony wewnątrz samego stowarzyszenia. Stowarzyszeń o w c z a r s k i c h Niemcy nie widzą potrzeby, z powodu, że hodowcami są sami tylko wielcy właściciele.

3. Przez pewien czas pokładano w Niemczech wielkie nadzieje na dostawę zboża dla intendentury. Sprawa ta ucichła, pomimo to niewątpliwie czyni postępy.

4. Zdobyczą najnowszych czasów są stowarzyszenia elewatorowe, zapoczątkowane w Towarzystwie Gospodarczem Pomorskiem przez Grassa z Klanina. Stowarzyszenie takie buduje elewatory,

zbiera od właścicieli zboże na skład i wyczekuje z niem konjunktur, a rozporządzając znaczniejszym kapitałem, wydaje właścicielom pożyczki pod zastaw zboża, unikając przytem warrantów, aby nie dopuszczać do elewatora czynników obcych rolnictwu. Każdy uczestnik stowarzyszenia obowiązany jest w miarę udziału dostarczać elewatorowi zboża do rozporządzenia. Jakkolwiek stowarzyszenia elewatorowe istnieją zbyt krótko jeszcze, aby o nich wyrzec sąd stanowczy, dotychczas jednak z wielkiem powodzeniem wpływają one na poprawienie cen, uciekając się w tym celu do wielce oględnego i oszczędnego zaofiarowania zboża, przez co łamią ostrze spekulacji, która traci grunt pod nogami, wobec bezpośrednich stosunków pomiędzy elewatozem a piekarniami i młynami.

Uznając wysoką użyteczność takich zamierzeń, rząd wyjednał w izbach trzy miliony marek kredytu, aby za te pieniądze budować elewatory na gruntach skarbowych, stacyach kolejowych i przystaniach rzecznych, mając na widoku: 1-o aby za pomocą starannego doczyszczania i gatunkowania ziarna, polepszając kondycję towaru, zbyt mu zapewnić; 2-o aby za pomocą wypuszczania zboża z elewatorów w ilości, nieprzekraczającej potrzeb miejscowego rynku, zapobiegać nadmiernemu zaofiarowaniu zboża; 3-o aby pod zastaw zboża dostarczać kredytu producentom; 4-o aby zmniejszyć rolnikom wydatki handlowe i transportowe.

Spełnienie tego programu rząd zamierzył złożyć w ręce stowarzyszeń rolniczych, oświadczając, iż zbudowanych przez siebie elewatorów nie będzie prowadził sam, lecz wyłącznie stowarzyszeniom wydzierżawiać je będzie. Znalazłszy pod tym względem żywe współczucie w świecie rolniczym, rząd wyjednał znowu w roku 1897 dalsze 2 miliony kredytu dodatkowego na elewatory, usprawiedliwiając żądania swoje tym dobroczynnym kredytu tego skutkiem, że on zachęca właścicieli ziemskich do zawiązywania stowarzyszeń tam, gdzie pierwiej o tem nie myśleli. Aż do roku 1897 wydano z tych funduszów półtora miliona marek na pożyczki, prócz tego złożono żądań na drugie półtora miliona. Na czele sprawy elewatorowej stoi stowarzyszenie główne (Hauptgenossenschaft), odpowiedzialne przed rządem za wziętą pożyczkę. Budową i pożytkowaniem elewatora zawiaduje stowarzyszenie filialne (Untergenossenschaft), odpowiedzialne przed stowarzyszeniem głównem za kapitał i procent.

Stowarzyszenie filialne tradni się zbytem miejscowym, sprzedaż zaś tego, co pozostanie na zbyt dalszy, załatwiają stowarzyszenia główne. Elewatory budują się na 800 do 3,000 ton, jednakże w Halli elewator ma mieścić 6,000 ton. Stowarzyszenie, zawiadujące tym ostatnim, otrzymało od rządu 160,000 marek pożyczki i grunt pod budo-



wę, na fundusz zaś obrotowy ma kredyt otwarty w pruskiej centralnej kasie stowarzyszeń. Każdy uczestnik jego bierze 5 marek udziału na 10 hektarów gruntu ornego. Uczestnikami mogą być również stowarzyszenia, jeżeli wezmą co najmniej 20 udziałów. Zarząd spoczywa w ręku 3 członków, z których jeden musi być obywatelem ziemskim i pobiera pensję. Elewator wydaje pożyczki na zboże do  $\frac{2}{3}$  wartości i wykonywa zlecenia komisowe. Zauważyć należy, iż w Rosyi rząd ma zamiar poprzeć w sposób zupełnie podobny sprawę elewatorową.

C) 1. Z pomiędzy stowarzyszeń wytwórczych, pierwsze miejsce, ze względu na użyteczność, należy się stowarzyszeniom hodowlanym, zwanym zwykle *Herdbuchgenossenschaften* pomiędzy hodowcami większej własności i *Zuchtgenossenschaften* pomiędzy drobnymi rolnikami; każde z nich prowadzi jedną jakąś odmianę. Na kupno reproduktorów rząd daje zasiłki. W sprawach hodowli stowarzyszenia te mają wpływ bardzo szeroki. W roku 1891 istniały 1,863 spółki i przez rząd subwencjonowane stacje buhajów, posiadające 2,175 reproduktorów.

2. Prawdziwem powodzeniem cieszą się w Niemczech, jak wszędzie, stowarzyszenia *nabiawowe*, racya ich bytu bowiem leży w naturze głównego ich towaru, to jest masła, którego sprzedaż w większych partyach o tyle tylko liczyć może na trwałe powodzenie, o ile odbiorca ma stale zapewnioną ilość wystarczającą i jednakowy zawsze gatunek towaru. Dla braku tych warunków, stowarzyszenie włościańskie Oldenburskie, które trudniło się sprzedażą zbiorowych partyi masła, wyrabianego przez pojedynczych uczestników, po czterech latach istnienia musiało zwinąć działalność. Z tego powodu opłaca się i ogromną przyszłość rokuje produkcya spółkowa masła sposobem fabrycznym, zwłaszcza połączona z hodowlą trzody.

3. Do stowarzyszeń produkcyjnych należą również *piekarnie* i *młyny* na Szląsku i nad Renem *crochmalnie*, stowarzyszenia *okowiciane*, *cukrownie* *współdzielcze*, których w roku 1891 było 26, spółki do *fabrykacyi* i *naprawy maszyn rolniczych*, do użytkowania z maszyn i t. p. Szczególniej godne są uwagi spółki do użytkowania *pługów* i *młocarni parowych*, ułatwiające korzystanie z tych doskonałych narzędzi. Wymagają jednakże te stowarzyszenia wielkiej wytrawności spółników, aby urządzić pomiędzy sobą należycie kolej użytkowania, odpowiedzialność za uszkodzenia i rozdział kosztów.

4. Z wielką korzyścią pracują stowarzyszenia, produkujące *nasiona siewne*, gdyż i tutaj warunkiem powodzenia okazują się większe ilości zupełnie jednorodnego towaru. Tak na przykład żyto prob-

stejskie produkuje stowarzyszenie włościańskie okolicznych miejscowości. Wszyscy jego uczestnicy mają grunta podobne, używają tegoż samego nasienia, jednakowej uprawy i tych samych nawozów sztucznych. Na podobnych zasadach pracują inne stowarzyszenia nasienne, jak to widać ze sprawozdania p. Rogójskiego.

D) Wielkim rozwojem cieszą się spółki melioracyjne drenarskie i irygacyjne, otrzymujące od rządu, lub też z kas prowincjonalnych, znaczne zasiłki. Konieczność ratowania się zniewala do stowarzyszeń tego rodzaju.

E) Nader ważne znaczenie w życiu rolniczem i społecznem Niemiec mają stowarzyszenia włościańskie (Bauernvereine), będące zjawiskiem nawskroś swoistem. Zjednoczenie takie w Westfalii ma na celu połączyć w stowarzyszenie włościan, właścicieli ziemi, aby ich podźwignąć pod względem obyczajowym, umysłowym i gospodarczym, oraz związać w silny stan włościański, dążący do utrzymania się przy ziemi.

Srodkiem do tego, przez ustawę wskazanym, są: a) narady i uchwały członków, zmierzające do ochronienia własności ziemskiej od szkody i do wykorzenia złych nałogów, nadużyć i marnotrawstwa; b) popieranie oświaty i wiadomości, odpowiednich potrzebom stanu włościańskiego; c) godzenie interesów sprzecznych, załatwianie sporów i procesów na drodze polubownej, ku czemu zaprowadzono związkowe urzędy pojednawcze i sądy rozjemcze; d) zakładanie, w interesie własności ziemskiej i gospodarstwa rolnego, związków kredytowych, stowarzyszeń spożywczych, wspólne ubezpieczanie się i t. p.; e) zapobieganie obdłużeniu, rozdrabnianiu i sprzedaży posiadłości włościańskiej, staranie o sporządzenie testamentów, albo układów między żyjącymi, prowadzących do utrzymania posiadłości włościańskiej w niepodzielności, w rękę jednego ze spadkobierców, bez nadmiernego obciążania go długiem względem współsukcesorów. Członkowie stowarzyszenia muszą należeć do jednego z wyznań chrześcijańskich, przepisy jego spełniać, prowadzić życie moralne i trzeźwe. Składka wynosi 1 markę rocznie, zarząd urzęduje bezpłatnie. Działalność związków włościańskich okazała się nadzwyczajną błogą i ze wszech miar doniosłą.

Tak na przykład związek westfalski wyjednał kilka rozporządzeń rządowych, dla włościaństwa wysoce użytecznych; sprowadza dla członków swoich nawozy sztuczne i paszę, ułatwia im kredyt hypoteczny, prowadzi własną kasę wkładowo-pożyczkową, z obrotem rocznym 5 milionów marek, powściąga lichwę, pośrednicząc w zakupowaniu bydła dla członków, utrzymuje sądy rozjemcze. Działalność innych związków włościańskich zastosowaną jest ściśle do ich po-



trzeb. Posiadają jednak wszystkie jedną wspólną cechę znamioną, a tą jest piecza nad podźwignięciem stanu włościańskiego, nietylko pod względem materyalnym, ale i moralnym. Przed laty dwunastu do związków włościańskich należało 85,000 członków, teraz należy ich zapewne daleko więcej.

F) Najdawniejszymi stowarzyszeniami w Niemczech, i dla mniejszej własności najbardziej dobroczynnymi, są kasy pożyczkowo-wkładowe, oparte na zasadach Raiffeisenowskich, które od samego początku swego istnienia zajmowały się sprowadzaniem nasion, nawozów sztucznych, a nawet i bydła. Kasy Raiffeisenowskie, będąc najlepszym środkiem przeciwko lichwie, są ratunkiem dla włościanstwa, i dlatego umiejscowiły się nawet we Francyi. Wypada więc poznać się z ich zasadami.

1. Kasa pożyczkowo - wkładowa Raiffeisena, będąc stowarzyszeniem wzajemnego kredytu, opiera się na ogólnej odpowiedzialności członków, która tem się różni od solidarności, że dług nie może być poszukiwany na jednym z dłużników według wyboru wierzyciela, ale na ogóle uczestników, na każdym, odpowiednio do udziału.

2. Działalność każdej z osobna kasy rozciąga się na niewielką przestrzeń, zwykle gminę, tak, aby członkowie jej znać się mogli między sobą osobiście.

3. Co do zasad wypożyczania:

a) Pożyczki otrzymywać mogą wyłącznie tylko członkowie stowarzyszenia.

b) Najwyższą dozwoloną cyfrę pożyczki ustanawia ogólne zebranie członków.

c) Przy udzielaniu pożyczki bierze się przede wszystkim na uwagę, czy pożyczka przyniesie żądającemu odpowiedni pożytek moralny i materyalny.

d) Pożyczek udziela się tylko krótkoterminowych, ale według potrzeby i kilkoletnich, pod warunkiem wszakże spłaty ich jednorazowej każdego czasu za czterotygodniowem wypowiedzeniem.

4. Zarząd prowadzi się bezpłatnie; wszystkie urzędy w stowarzyszeniu są honorowe; pensję pobiera jedynie kasyer, który wszakże nie jest członkiem zarządu.

5. Różnicy pomiędzy procentem, pobieranym od dłużników, a wypłacanym wierzycielom kasy, nie rozdziela się pomiędzy uczestników, ale gromadzi się ją jako wspólny majątek stowarzyszenia. Buchalterya i przepisy są dla kas każdej prowincyi jednostajne.

Stowarzyszenia miejscowe tworzą związek prowincjonalny pod nazwą „Centralnej kasy krajowej“, z funduszem zakładowym przez stowarzyszenia miejscowe złożonym. Zadaniem kasy centralnej jes

rozciągnięcie kontroli nad stowarzyszeniami miejscowemi, a nadto zasilenie kas, tego potrzebujących, gotowizną, w innych kasach zbywającą.

Początkowo stany krajowe i ministeryum rolnictwa dokładały się do kosztów administracyi kas centralnych, a cesarz Wilhelm I z własnej szkatuły znakomicie zasilal fundusze rezerwowe tych kas. Obecnie punktem oparcia dla nich stała się „Kasa kredytowa dla stowarzyszeń“, założona z funduszów rządu, o której powyżej była mowa. Jak widzimy z powyższego zarysu, kasy Raiffeisenowskie opierają się na czynnikach moralnych, będących najsilniejszą dźwignią jedności społecznej. Naprzód bezinteresowna praca intelligencyi miejscowej w sprawie, jak najmocniej obchodzącej włością, zbliża pomiędzy sobą klasy ludności, tak, że się uczą nawzajem poznawać i cenić, a następnie udzielanie pomocy kredytowej wyłącznie tylko ludziom uczciwym, pracowitym i gospodarnym, powiększa szeregi ich i daje im w gruncie słuszną przewagę nad próżniakami i warcholami. Wreszcie sprowadzanie przedmiotów, najpotrzebniejszych dla umiejętnego rolnika, przy pomocy Związków Centralnych i Towarzystwa Rolniczego Niemieckiego zapewnia postęp rolniczy w klasie włościąńskiej.

G) Do największych zasług stowarzyszeń rolniczych w Niemczech policzyć należy szeroki wpływ, jaki wywierają na upowszechnienie umiejętności rolniczej, nie szczczędząc pod tym względem usiłowań. Czynią to one nietylko słowem na zebraniach, ale też za pomocą wydawnictw, nauczycieli wędrownych i stacyi doświadczalnych, które w Centralnych Związkach biorą początek. Niemaló też usługi oddają pod tym względem konkursy gospodarstw rolnych i hodowlanych. Każda z tych dróg oddziaływania, mając doniosłość ogromną, doskonale została wyzyskaną i zasługiwała-by na osobne studyum. Na wszystkie strony podejmuje się starania i prace, tak, iż rzec można, że w towarzystwa, stowarzyszenia i związki wcieliła się cała żywotność rolnictwa w Niemczech. Siła ich tem jest większa, że nie działają one w odosobnieniu, gdyż organizacya ich zbliża się coraz więcej do wielkiej jedności.

Mianowicie połączyły się one:

1. W „ogólny związek niemieckich stowarzyszeń rolniczych“, z siedziskiem zarządu w Offenbachu nad Menem. Należy do niego (1900 r.) 6,629 stowarzyszeń.

2. W generalny związek stowarzyszeń rolniczych w Neuwed, to którego należy 3,217 stowarzyszeń, przeważnie kas Raiffeisenowskich.

3. W pięć pomniejszych związków,



Rząd, uznając wysoką ich użyteczność, liczy się z nimi bardzo poważnie, działa z nimi ręką w rękę i dopomaga im całym swoim wpływem. W samych Prusach udzielił im zasiłków bezzwrotnych 408,450 marek. Do tego dochodzi jeszcze pomoc z innych źródeł. Tak na przykład kasa prowincjonalna Prus Wschodnich udzieliła w roku 1897 pożyczek:

Stowarzyszeniom drenarskim . . .	1,347,700	marek
Osuszającym i nawodniającym . . .	62,800	"
Regulującym brzegi rzek . . . . .	547,500	"
Melioracyjnym . . . . .	18,000	"
Nabiałowym . . . . .	135,000	"
Różnym stowarzyszeniom specjalnym, w tej liczbie spirytusowym . . . . .	505,900	"
Pożyczkowym . . . . .	468,000	"
	<hr/>	
	Razem 3,084,900	"

W zakończeniu, dzięki przeszłorocznemu zjazdowi stowarzyszeń rolniczych, należących do Ogólnego związku, odbytemu w dniu 12 sierpnia w Halli, możemy podać najświeższe cyfry. Z dniem 1 lipca roku przeszłego liczyło się w Niemczech stowarzyszeń rolniczych 13,900, skąd okazuje się przyrost przez lat cztery od r. 1896 — 56%.

Kas pożyczkowych . . . . .	9,793	przyrost 53%
Stowarzyszeń nabywczych . . .	1,379	" 80%
nabiałowych . . . . .	1,917	" 47%
Innych stowarzyszeń . . . . .	811	" 200%

Z tej liczby 7,137 stowarzyszeń należy do Ogólnego Związku w Offenbachu. Kasy centralne Związku miały w ostatnim roku 667 milionów obrotu z aktywem i pasywem po 56 milionów marek. Koszta administracji wyniosły zaledwie 0.627% od obrotu. Centralne stowarzyszenia nabywcze sprowadziły towarów na 26 milionów marek. Kainitu dostarczył Związek stowarzyszeniom 1,800,000 centn. metrycznych, zaś należące do niego Zjednoczenie stowarzyszeń do naby-

wania nawozów sztucznych sprowadziło w ostatnich trzech kwartałach r. z. około 26,000 podwójnych wagonów szlaki Tomasa.

Ogólny Związek zwrócił szczególniejszą uwagę na wspólną sprzedaż zboża, do czego powołał komisję elewatorową, jako doradczy organ przedsięwziętych w tym kierunku usiłowań. Wspólna sprzedaż w roku sprawozdawczym wyniosła 381,998 centnarów zboża, gdy wynosiła 21,889 centnarów w roku poprzedzającym. Cyfry to jeszcze skromne, ale postęp olbrzymi. Słowem, gdzie tylko spojrzeć, daje się dostrzedz mrówcza praca stowarzyszeń z działaniem zdwojonym przez skojarzenia i związki, sięgające w najdalsze zakątki Niemiec i cieszące się życzliwym poparciem rządu. Duch tego narodu, polegający na przerabianiu osobistości jednostkowych w silniejsze i trwałe osobistości zbiorowe, na umiejętnem spożytkowywaniu przez rząd każdej siły kiełkującej, znalazł swój wyraz w stowarzyszeniach rolniczych. Drobne te zjednoczenia nie odznaczają się, biorąc je z osobna, szczególniejszym blaskiem. Lecz z Towarzystwem rolniczem na czele wyobrażają one wszystkie razem potężny taran, torując drogę dla pomyślności i postępu rolnictwa niemieckiego.

## II.

### W e F r a n c y i .

We Francyi stowarzyszenia rolnicze społeczno-gospodarcze są utworem świeżej daty, a jednak cieszą się wszechświatowym, zupełnie zasłużonym, rozgłosem.

Pierwsza rewolucya francuska, chcąc ukrócić przywileje i zapewnić ludności wolność zarobkowania, zniósła cechy, a obok tego zabroniła stowarzyszeń zawodowych, z obawy, że łatwo na cechy zamienić się mogą. Zagrożone karą kryminalną stowarzyszenia, albo nie istniały wcale, albo wegietowały pokątnie i dopiero prawo z r. 1884 o syndykatach zawodowych dało im byt legalny. Lecz prawo to, w rozumieniu wnioskodawców, miało na celu same tylko stowarzyszenia handlowe i przemysłowe, i przypadkowo jedynie w ostatniej chwili przed jego zatwierdzeniem przyszło na myśl jednemu z senatorów (p. Oudet), zaproponować rozciągnięcie jego działania na stowarzysze-



nia rolnicze. Poprawkę tę przyjęto bez rozpraw, nie przypisując jej donioślejszego znaczenia, gdyż nikt nie przypuszczał wtedy, że i te stowarzyszenia są potrzebne i że znajdują powodzenie.

Tymczasem pozwolenie zawiązywania syndykatów rolniczych trafiło na chwilę rozpoczynającego się kryzysu rolnego, którym zaskoczeni włościanie oglądali się za ratunkiem. Ratunek ten przynieśli im ludzie dobrej woli, rzeczy świadomi, którzy nie tylko wytłómaczyli włościanom korzyści, jakich od zjednoczenia oczekiwać mogą, ale do prowadzenia tych zjednoczeń przyłożyli sumienną pracę i cały zasób wiadomości i wpływów.

Na rok przedtem jeszcze, w roku 1883, nauczyciel rolnictwa, Tanviray, zawiązał w Blois stowarzyszenie dla sprowadzania nawozów sztucznych i wyjaśniania działania ich rolnikom. Stowarzyszenie to, czyniąc bezpośrednio większe zamówienia w fabryce, uzyskało znaczne ustępstwo w cenie i zaprowadziło analizę obowiązkową nawozów, a doskonale rezultaty nawożenia przysporzyły mu obficie uczestników. Po wydaniu prawa z r. 1884 stowarzyszenie to zamieniło się niebawem na syndykat, jakich wówczas zaczęło się tworzyć wiele, wobec przyjętej zasady bardzo niskich opłat, jak to uczynił syndykat w Die, uwalniając zupełnie uczestników od składek rocznych, za opłatą jedynie wpisowego, i zaprowadzając natomiast solidarną odpowiedzialność członków. We wrześniu 1884 roku syndykat w Poligny jasno streścił w ustawie zasadniczą myśl zjednoczeń rolniczych w słowach:

„Syndykat winien dać członkom korzyści dobrowolnego zjednoczenia, w którym stowarzyszeni, związani węzłami solidarności bratniej, będą sobie w potrzebie dopomagali nawzajem. Staraniem jego będzie obudzić zamiłowanie do zawodu, stanowiącego od wieków źródło narodowego bogactwa, przywiązać ludność do własnej zagrody i skiby, używając wszelkich, w zakresie jego leżących środków, ażeby pracę na roli na nowo otoczyć szacunkiem i zyskowniejszą uczynić“.

Syndykat departamentu Indre rozwinął szczegółowy plan działania, jak następuje:

Cel syndykatu polega wogólności na badaniu i obronie spraw gospodarczych rolnictwa, w szczególności zaś:

1-o Na roztrząsaniu i przedstawianiu zachodzącej potrzeby reform ekonomicznych wszelkiego rodzaju, na obronie ich przed władzami i żądaniu urzeczywistnienia, w tem zwłaszcza, co dotyczy ciężarów własności ziemskiej, taryf kolejowych i celnych, konwencji handlowych, poborów konsumcyjnych, oraz opłat od miejsca na jarmarkach i targach.

2-o Na upowszechnieniu nauczania rolnego i wiadomości zawodowych, tak za pomocą kursów, porad, rozdawnictwa broszur, zakładania bibliotek, jakoteż innych sposobów.

3-o Na obmyślaniu i popieraniu prób uprawy, nawożenia, maszyn i narzędzi udoskonalonych, na zakładaniu spółek wytwórczych i sprzedaż prowadzących, kas wzajemnej pomocy i emerytalnych, ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków, biur informacyjnych do zaofiarowania i zapotrzebowania ziemiopłodów, nawozów, inwentarza, nasion, maszyn i pracy.

4-o Na pośredniczeniu w sprzedaży produktów rolnych i w nabywaniu nawozów, nasion, narzędzi inwentarza żywego i zgoła wszelkich materiałów surowych i fakrykatów, w sposób zapewniający członkom korzyść otrzymanych rabatów.

5-o Na czuwaniu nad odstawami dla członków syndykatu, lub przez nich dokonaniem, aby zapewnić sumienność tych odstaw i zapobiedz nadużyciom.

6-o Na udzielaniu opinii i porad we wszystkim, co dotyczy zawodu rolniczego, oraz na przedstawianiu arbitrów i biegłych do rozstrzygnięcia spraw spornych rolniczych.

Program ten przyjęło mnóstwo syndykatów, zapoczątkowanych przez Towarzystwo rolników we Francyi, które już w początkach roku 1885 podobny plan działania szczegółowo wypracowało, położywszy pod tym względem zasługiniępożyte. Członek rady Towarzystwa, Densy, zajął się tak gorliwie upowszechnieniem w kraju tego planu i wogóle dążenia do zjednoczeń, że zasłużył sobie na miano „ojca syndykatów Francuskich“.

W początkach 1886 roku, pod wpływem rzeczonoego Towarzystwa, powstał Związek syndykatów rolniczych we Francyi, przyjęty z początku z niedowierzaniem, gdyż nie przypuszczano, aby włościanie wzięli żywy udział w sprawach ogólnych. Program związku brzmi w ustawie w sposób następujący:

1) Służyć dla syndykatów zjednoczonych za stały punkt do zawierania stosunków, dostarczać im środków i objaśnień dla wyszukiwania korzystniejszych miejsc zbytu i niższych taryf przewozowych.

2) Ułatwiać zakładanie nowych syndykatów.

3) Udzielać zjednoczonym syndykatom wszelkich wiadomości, zwłaszcza zagranicznych, dotyczących urodzajów, zapasów, zapotrzebowania, i wskazywać im w ten sposób drogę postępowania.



4) W kwestyach spornych i technicznych ściągających się do syndykatów, oraz ich członków, dawać im wskazówki i rady.

5) Ułatwić im korzystanie z laboratorium Towarzystwa rolniczego we Francyi, dla analizy gruntu i nawozów. Do związku należy obecnie 970 syndykatów i 312,435 członków.

Do pośredniczenia we wszelkich sprawach handlowych związek ten założył obok siebie „Syndykat centralny rolników francuskich,“ nie mogąc sam podług prawa spraw tych prowadzić.

Syndykat ten, spełniając zlecenia komisowe syndykatów prowincjonalnych, może przez zamówienia masowe osiągnąć większe rabaty, które dochodzą niekiedy do 12, 15, a nawet 30%, przyczyniając się do obniżenia ceny produktów. Syndykat ten dzieli się na 4 sekcye: nawozową, melioracyjną, hodowlaną i towarową. Prezesem jego był w roku 1893 p. Welche, dawny minister, prezes Towarzystwa ekonomii społecznej.

Operacye syndykatu osiągały w roku 1892—6 milionów franków, wszelkie koszta jego nie przenosiły 2% od tej sumy. Pośrednictwo w sprzedaży mniej ma powodzenia, cyfra jej osiągnęła jednak w r. 1892 w winie, nasionach i innych produktach, 800,000 franków. Z rozpraw przeszłorocznych międzynarodowego kongresu rolniczego na wystawie Paryskiej widać, że sprawa pośrednictwa syndykatów w sprzedaży mało się posunęła.

Obok tego utworzył się syndykat rolniczo-ekonomiczny pod przewodnictwem p. Kergalla. Działalność jego ściąga się do badania i gorliwego popierania potrzebnych w rolnictwie reform. P. Kergall wydaje pismo p. t. „La Démocratie rurale“, w którym gorąco zaleca ideę zjednoczenia, jako tarczę przeciw socjalizmowi i jego przeciwnictwo.

Walczy on i propaguje jedność, za pomocą broszur, wydawnictw, odczytów, i zwyczajsko na każdym kroku odpiera socjalizm, odsłaniając włościanom zwodnicze jego strony.

Prócz tego istnieją jeszcze syndykaty producentów wina i pszczelarzy, rozciągające działalność na całą Francję. Wreszcie liczne Towarzystwa miejscowe zawiązuje zorganizowane w tym celu Towarzystwo narodowe popierania rolnictwa („Société nationale d'encouragement à l'agriculture“).

Pod temi-to wpływami, w związku z działaniem miejscowych potrzeb, zaczęły się tworzyć syndykaty rolnicze coraz liczniejsze, co

raz pełniejsze życia i energii, których działalność zbiorowa jaskrawo odbija od poprzedniego zasklepienia i sobkowstwa.

Dają one uczestnikom to zaspokojenie, że każdy znajduje w nich dla siebie zajęcie, a pracując dla ogółu, ciągną korzyści z powodzenia. Z liczby inicjatorów szczególnie użytecznymi okazali się nauczyciele rolnictwa, upowszechniając wiedzę i biorąc udział w zarządzie syndykatów. Dalej, wielcy właściciele ziemscy, znajdując dla siebie w zjednoczeniach wdzięczne pole do zasług i pracy, chętnie dla wsi porzucili miasto. Pośpieszyli wreszcie do szeregów i byli urzędnicy, na wsi zamieszkali. Na czele ruchu znaleźli się dostojnicy: senatorowie, deputowani, akademicy, członkowie rad generalnych i ludzie tej miary, jak były prezes ministrów, Méline, dyrektor Credit foncier, Christoffe, słynny profesor, Paweł Leroy-Beaulieu, i wielu innych.

Do syndykatów należeć mogą właściciele rolni, służba folwarczna i wyrobnicy rolni, a nawet rzemieślnicy i zawodowcy, pracujący dla rolników, jako to: kowale, rymarze, fabrykanci nawozów i maszyn itp.

Do przyjęcia wymaga się polecenia 2 członków i przychyłnej uchwały zarządu. Zarząd otrzymuje zwrot kosztów, lecz wynagrodzenia nie pobiera. Nad działalnością jego czuwa rada nadzorcza, zwierzchnią zaś władzę w syndykacie wykonywa ogólne zebranie członków.

Zwyczajna opłata roczna wynosi od 1 do 3 franków, oprócz wpisowego, wynoszącego zwykle 1 fr. Tak zwani „protektorowie“ płacą po 5 do 20 franków rocznie. Tym zaś, którzy złożą na raz 20 do 100 fr., przysługuje miano założycieli. Syndykaty mogą przyjmować zapisy testamentowe i otrzymują niekiedy zasilki rządowe. Odpowiadając zwykle ze swego majątku, przyjęły niektóre solidarną odpowiedzialność członków, co ze strony ostrożnych Francuzów dowodzi niezmiernego do syndykatów zaufania.

Trzy są strony działalności syndykatów francuskich, stanowiące niepożyta ich usługę: 1) Wyzwolenie drobnych rolników z powijków nieuctwa i rutyny. 2) Zaprowadzenie mnóstwa instytucji współdzielczych. 3) Gorliwe zajęcie się wzajemną pomocą dla biedniejszych członków.

Pod względem wiedzy rolniczej syndykaty upowszechniają wiadomości techniczne za pomocą prób praktycznych i wykładów, rozpisują doświadczenia, ogłaszają konkursy, urządzą wystawy i pola



doświadczalne; stały się one szkołą, opartą na wzajemnem nauczaniu w rolnictwie, a dokładając usiłowań w celu dostarczania jaknajlepszych i jaknajtańszych materyałów produkcji i czyniąc przez to postęp łatwym i niezawodnym, zachęciły do niego ogół.

Pod względem urządzeń współdzielczych, syndykaty mogą podług prawa sprowadzać przedmioty w rolnictwie niezbędne. Gdy jednakże pożądanem jest dla rolnika i w innych przedmiotach codziennego użytku obchodzić się bez pośrednictwa, załatwiają więc tę sprawę syndykaty, wyłaniając z pośród siebie pewną liczbę członków, którzy zakładają spółkę udziałową współdzielczą, spożywczą i wogóle taką, jakiej trzeba, tak, że właściwy syndykat może użyć wszystkich środków na cele naukowe i wzajemne, pozostawiając spółce handlowe. Pod tym względem położył wielkie zasługi p. Artur Rostand, obdarzony prawdziwym geniuszem finansowym i handlowym, który, jako jeden z kierowników syndykatu Charenty, założył dla jego potrzeb Towarzystwo spożywczo-współdzielcze, z kapitałem 200,000 franków.

Towarzystwo to ma obecnie samych towarów zupełnie zapłaconych za 1,200,000 franków i liczy 11,500 uczestników, płacących po 5 centymów tygodniowo. Członkowie jego są wszyscy uczestnikami syndykatu, płacąc po 1 fr. rocznie i biorąc udział w zyskach. Założenie oddzielnego Towarzystwa dozwoliło syndykatowi użyć na same nagrody w konkursach rolniczych 45,000 franków, utrzymywać nauczycieli rolnictwa do porad, analiz i pól doświadczalnych, których corocznie urządza się po kilkadziesiąt. Towarzystwo współdzielcze dostarczyło członkom syndykatu w jednym roku 1891—10 milionów kilogramów nawozów sztucznych. Utrzymuje wypożyczalnie maszyn rolniczych, pomiędzy innymi 7 żniwiarek-wiązalek.

Dążeniem p. Rostand'a, było: zawiązać rolników w wielkie stowarzyszenia spożywczo-współdzielcze, które-by mogły znaleźć we własnem gronie spóżywców i sprzedawców. Założenie takich stowarzyszeń z przybraniem mieszkańców miast, jako spóżywców, urzeczywistnionem zostało z wielką korzyścią w Lionie, mając za przedmiot bydło na rzeź, co się powtórzyło w kilku innych punktach Francyi. Zresztą współdzielność w rolnictwie ma zakres tak obszerny, że Francya jest dopiero w początku spełnienia programu. O wspólnej sprzedaży produktów, prowadzonej przez syndykaty, wyrażają się najnowsze źródła, że dotychczas miały powodzenie bardzo niestale i niepewne, a jednak zazdroszczą francuskim syndykatom Niemieccy autorowie, że bierze od nich zboże intendentura. Zapewnie zdarzało się to,

lecz się nie powtarzało często. Urządzenie należyte sprzedaży w szerokich wymiarach jest, jak się zdaje, dla spółek rolnych wszystkich krajów sprawą przyszłości.

Kredyt pod wpływem syndykatów uczynił we Francji postęp ogromny. Pod względem ubezpieczeń, syndykaty zajmują się jedynie popieraniem Towarzystw ubezpieczenia bydła od śmiertelności. Pod innymi względami pośredniczą dla członków w Towarzystwach ubezpieczeń.

Wreszcie, co się tyczy pomocy wzajemnej, rozwija się ona w duchu czystej miłości bliźniego i chlubnie świadczy o charakterze syndykatów we Francji. Z konkursu, rozpisanego w 1897 przez hr. Chambruna dla zbadania, czem zajmują się syndykaty, okazuje się, że w zakresie pomocy wzajemnej zakładają one schronienia dla starców, chorych i sierot, kasy wsparcia dla chorych, biura zaofiarowania pracy, sądy rozjemcze, kasy pomocy wzajemnej dla robotników, kasy Raiffeisenowskie, zakłady wsparcia dla robotników wiejskich, ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków. Przyznane nagrody świadczą, że urządzenie zakładów wzajemnej pomocy poczytuje się za największą zasługę syndykatów.

Wurządzonym następnie konkursie robotników wiejskich rozdawano im w nagrodę uczciwej długoletniej pracy w jednym folwarku książeczki renty dożywotniej po 200 fr.

Syndykatów francuskich liczy się obecnie 2,000 z cyfrą uczestników, przekraczającą milion, i obrotem rocznym, przewyższającym 100 milionów franków. Ale obrót ten jest zaledwie częścią zasług syndykatów, był to raczej skuteczny środek ich spopularyzowania. Upowszechnienie umiejętności rolniczej, zjednoczenie społeczne, na duchu i na prawdzie a nie na samej tylko materyjalnej korzyści oparte, podźwignięcie włościactwa francuskiego na wyższe szczeble uspołecznienia ręką klas wyższych, oddających się z poświęceniem sprawie zjednoczenia, oto tytuły do chluby dla syndykatów we Francji.



## III.

**Stowarzyszenia rolnicze w Danii.**

Duńskie spółki rolnicze mogą być uważane z wielu względów za wzór praktyczności. Wprawdzie składają się one przeważnie z gospodarstw włościańskich dwuwłókowych, dziesięć razy mniejszych od naszej przeciętnej jednostki folwarcznej; jednakże różnicę łagodzi nierównie większa intensywność gospodarstw duńskich. Stowarzyszenia powstają w Danii ściśle w miarę zachodzących potrzeb. Tak np. włościanin chciałby mieć buhaja, ale do kupna brak mu środków. Łączy się więc w spółkę z kilkunastu sąsiadami, składając razem pieniądze na kupno. Lecz spółka taka nie ma ani czasu, ani wystarczającej znajomości rzeczy do zajęcia się wyborem i nabyciem sztuk odpowiednich. Dla spełnienia tych zadań i wyjednywania zasiłków rządowych, spółki okoliczne łączą się w związek, mający obowiązek czuwać na ich sprawami. Tym sposobem każda spółka w chwili tworzenia się odpowiada najpilniejszej potrzebie. Wielkie Królewsko-Duńskie Towarzystwo rolnicze łączy silnemi węzłami wszystkie te spółki i związki w jedną całość. Nie występuje ono wcale z własnymi projektami, ale, stojąc na gruncie ściśle praktycznym, przychodzi w pomoc zawiązującym się spółkom, umie je wesprzeć radą i wyjednać dla nich pomoc rządową.

Pomiędzy drobnymi stowarzyszeniami a Towarzystwem Królewsko - Duńskiem pośredniczą wielkie związki prowincjonalne. Z tych najważniejszym jest:

a) Związek Towarzystw rolniczych Jutlandyi, liczący z górą 33,000 członków, który dba głównie o postępowanie rolnictwa. Czynności jego spełniają oddzielne komitety. Z tych mleczarniany zbiera próby masła, sera i maszyneryi; zootechniczny prowadzi księgę stad i slud-book koński, oraz wyjednywa dla spółek stadniczych zasiłki rządowe (46 do 72 rubli na stadnika). Komitet odczytowy, otrzymując od rządu zasiłki, układa program prelekcyi dla upowszechnienia umiejętności rolniczej i badania sposobów uprawy, zawiaduje wydanictwami związku i nauczycielami wędrownymi. Komitet drob-

nych fermerów opiekuje się włościanami, mającymi najszczuplejsze działki. Urządza on dla nich wędrowki poglądowe po wzorowych gospodarstwach włościańskich, miastach, muzeach, wystawach i t. p. dając im na to zasiłki od 10 do 52 rubli na osobę i wyjednywając obniżone opłaty na kolejach, parostatkach i zajazdach. Wędrowki te odbywają się grupami, trwają zwykle około 3 tygodni. Włościanin uczy się tym sposobem nie tylko nowych dla siebie rzeczy w rolnictwie, ale nadto wychodzi z zasklepienia, poznaje swój kraj, rozwija się i kształci. Komitet do badania masła określa związek pomiędzy jego własnościami, a rasą i utrzymaniem krów. Oprócz tego istnieją komitety specjalne do spraw kolejowych, handlowych i sprawozdawczych. Do najważniejszych czynności związku należy urządzenie wystaw, którym przypisuje się wielkie znaczenie. Bydło bowiem premiowane na wystawach ogromnie zyskuje na cenie, równie jak i cała obora nagrodzonego wystawcy.

b) W tym samym duchu działają Związki innych prowincyi.

Przy niektórych rząd utrzymuje specjalistów do hodowli. Związkowi Zelandzkemu, zamierzającemu prowadzić wywóz świeżego mięsa, dodał bezpłatnie 4 weterynarzy.

c) Obok tych związków istnieje komitet handlowy Duńskich Towarzystw rolniczych, zbierający wiadomości o cenach masła i jego konjunkturach handlowych, prowadzący księgi stad, z których dotyczące koni i bydła jutlandzkiego, oraz czerwonego duńskiego i koni frederiksboreskich, są już ułożone i wydane.

2-o Dalsze miejsce z szeregu stowarzyszeń zajmują towarzystwa rolnicze miejscowe, których z początkiem 1897 roku liczyło się 99, z ogólną liczbą członków 53,130 i sumą składek 72,000 rubli. Pieniądze te wydatkują się głównie w postaci nagród dla wystawców, oraz jako premia dla drobnych właścicieli; na oba te przedmioty rząd dołożył ze swej strony 70,000 rubli.

Wszystkie te Towarzystwa urządzą corocznie wystawy, wydają nagrody fermerom za pracowitość i porządne gospodarstwo i składają sprawozdania, a obok tego do rzędu zajęć poszczególnych Towarzystw należą: doświadczenia nawozowe, zaprowadzenie chlewni zarodowych, premiowanie najlepszego dojenia krów, kasy pożyczkowe, których dochód czysty rozdaje się najczęściej zgrzybiałym robotnikom, sprowadzanie buhai i ogierów, sprowadzanie cieląt i prosiąt zarodowych, oraz narzędzi ulepszonych i rozlosowywanie ich pomiędzy członków, zaprowadzenie maszyn do czyszczenia zboża, urządzenie odczytów, prowadzenie kultur błotnych, premiowanie żywoptłów, nau-



ka kucia koni, prowadzenie szkółek drzewnych, wspomaganie zubożających fermerów, krzewienie rzemiosł wśród ludu.

W jednej z kas pożyczkowo-wkładowych tych Towarzystw liczyło się 3,100,000 rubli oszczędności członków. Na wyróżnienie zasługuje Fiońskie Towarzystwo patryotyczne, nie tylko ze względu, że utrzymuje niższą szkołę rolniczą i upowszechnia wśród ludu naukę rzemiosł, lecz zwłaszcza, że wypracowało zasady konkursów hodowlanych całych obór, ze wszech miar zasługujących na naśladowanie. Konkurs taki odbywa się oddzielnie pomiędzy oborami mniejszemi, liczącymi od 5 do 25 sztuk, i oddzielnie pomiędzy większemi. W komisji konkursowej, złożonej z 3 członków, musi brać udział uczony specjalista i weterynarz. Konkurs ciągnie się 2 lata. Przed rozpoczęciem jego komisya objeżdża obory zapisane do konkursu i decyduje, które będą przyjęte, następnie zaś ubiegające się obory zwiedza 3 razy do roku, przyczem spisuje protokół, mając na uwadze pochodzenie bydła według księgi stad, eksterier, sposób żywienia i utrzymania, zalety mleka i t. p. Właściciele bydła obowiązani trzymać się rachunkowości przepisanej przez komisję, oraz stosować się do innych jej zaleceń. Po ukończeniu konkursu komisya przedstawia towarzystwu dokładne sprawozdanie z motywowaną konkluzją. Premia przysądza ogólne zebranie Towarzystwa i rezultat konkursu ogłasza się niezwłocznie. Premia składają się z medali oraz innych nagród.

Ale mniejsza o jakość nagrody, tu chodzi o sam fakt jej przyśądzenia, gdyż obora premiowana staje się głośną i rozchwytywaną.

3) Obok Towarzystw miejscowych istnieją Towarzystwa współdzielcze: leśne i hodowlane. Do tych należą:

a) Duńskie Towarzystwo zadrzewiania pustkowi, mające 4,800 członków, ze składką roczną po 2 ruble. Otrzymuje ono od rządu przeszło 100,000 rubli zasiłku rocznie.

Działalność jego polega na zalesieniu jutlandzkich wrzosowych pustkowi, nawożeniu marglem błot i uprawie wrzosowisk. Towarzystwo zadrzewiło 70,000 morgów pustkowi, zaprowadza uprawy błot mchem zarosłych, ku czemu wielce użytecznym okazał się margiel; urządza dla przewożenia onego kolejki i prowadzi poszukiwania jego w podglebiu przez techników swoich, którym fermer daje pożywienie i pomoc. Pod opieką Towarzystwa tego istnieje w Jutlandyi mnóstwo małych stowarzyszeń leśnych, którym w roku 1896 Towarzystwo rozdało 8,700,000 drzewek iglastych i 2,400,000 liściastych, urządza-

jąc dla stowarzyszonych odczyty specjalistów i rozdając im broszury swoje bezpłatnie.

b) Stowarzyszenia hodowli koni, których liczy się 146, posiadają 170 ogierów, wartości ogólnej 512,178 rubli. Tak wysoka cena (około 3,000 rb. za sztukę) jest miarą staranności, jakiej dokłada się w tej sprawie.

c) Stowarzyszenia hodowli bydła (czyli spółki stadnicze) których liczy się 492, posiadają 518 stadników dla 37,544 krów, należących do uczestników. W poniższym przypisku podajemy ciekawe dla nas zasady ich działania <sup>1)</sup>.

Ponad drobnymi stowarzyszeniami stoją w Jutlandyi Związki spółek stadniczych, pozostające w styczności z Towarzystwami rolniczymi miejscowymi. Zootechniczny komitet związku Towarzystw rolniczych w Jutlandyi jest ogniwem, wiążącym te spółki z rządem i wyjednywującym zapomogi.

W komitecie zootechnicznym zasiada od każdego związku spółek po jednym przedstawicielu. Zarządy Związków zaopatrują swoje spółki w księgi rachunkowe, schematy sprawozdań i otrzymują od spółki na koszt po 5 rubli rocznie. Spółki obowiązane są sprowadzać stadniki wyłącznie tylko rasy jutlandzkiej i posyłać je na wystawę

1) Zadanie stowarzyszenia polega na posuwaniu hodowli w sposób jaknajprędszy, jaknajtańszy. Tym celem tworzące się kółka kupują do spółki stadnika.

Członkiem stowarzyszenia może być każdy właściciel bydła, o ile jest członkiem Towarzystwa rolniczego, do czego nie jest obowiązany, jeżeli posiada mniej, niż 4 morgi.

Członkowie płacą rocznie składkę od krowy. Wysokość składki oznacza ogólne zgromadzenie, zbierające się raz na rok. Drobni gospodarze czteromorgowi płacą połowę i mogą doprowadzać krowę 3 razy. Krowy mają być zdrowe i nie może ich być więcej stu na jednego stadnika. Pierwszeństwo do kupna cieląt od członków ma zarząd stowarzyszenia. Każdy członek zarządu, których bywa 3 do 7, ma sobie powierzony rewir do dozorowania. Zarząd zaciąga pożyczkę na kupno stadnika i urządza dla niego pomieszczenie, czuwa również nad doborem krów do rozplodu. Krowy zarodowe otrzymują numer: lepsze na prawym rogu, gorsze na lewym.

Raz na rok dokonywa się rewizji wszystkich obór i wybiera się krowy zarodowe dla stowarzyszenia, w czem winien brać udział z urzędu specjalista rządowy. Spółka stadnicza, starając się o zapomogę rządową, winna podać bydło pod dozór weterynarza rządowego i przyjąć kontrolę ministerjum rolnictwa.



skoro im minie 2 lata, pod karą 10 rubli za uchybienie. Takież same urządzenia spotyka się w innych prowincjach.

W Fionii obowiązkowe jest ubezpieczenie bydła od upadku i szczepienie cielętom i jałówkom tuberkuliny. Na wyspie Fien członkowie spółek obowiązani są prowadzić ścisłą rachunkowość paszy. Hoduje się wyłącznie rasę Fiońską czerwoną. Uwagi jest godnem, że w r. 1893 sprzedano 70 krów cielnych, oraz partyę stadników do prowincyi nadbałtyckich. W r. 1894 znów sprzedano taką samą partyę, a wszystkie należące do niej sztuki zostały premiiowane na wystawie w Wendenie.

d) Na uwagę zasługują nadto 2 Towarzystwa, prowadzące obory na rachunek własny. Jedno w Zelandyi (Turebylille), posiadając 150 krów na oborze, ma na celu doskonalenie czerwonej rasy duńskiej, oraz doświadczenia z tuberkuliną. Drugie w Jutlandyi hoduje 50 krów na oborze, sprowadza do nich corocznie buhaja z Anglii, bydło przeznaczają na opas.

e) Istnieją prócz tego Towarzystwa kontrolujące, których jedynym zadaniem jest śledzenie ilości i gatunku mleka w gospodarstwach nabiiałowych. Wszystkie te szczegóły przytaczam, ponieważ ujednostajnienie, a raczej uświadomienie hodowli, uważać należy za jedno z najpilniejszych zadań naszych stowarzyszeń.

4) Przechodzimy teraz do stowarzyszeń wytwórczych, a przede wszystkim do tej gałęzi przemysłu rolniczego, w której Dania celiuje, przodując w niej przed wszystkimi innymi współzawodnikami, nie wyjmując Niemiec.

Mówię tu o współdzielczym wyrobie masła. Od czasu jak ten produkt stał się przedmiotem handlu międzynarodowego, wyrób jego musiał się oprzeć na właściwych podstawach. Jak powiedziano poprzednio, aby handel taki mógł stać się korzystnym, potrzebną jest obfitość i jednostajność towaru, która nie da się osiągnąć przy wyrobie w drobnych ilościach, zwłaszcza jeżeli na każdą partyę składa się kilka gospodarstw. Z chwilą, jak do wyrobu masła zaczęto używać separatorów, niezmiernie upraszczających i przyspieszających wyrób, sprawa nabrała praktycznego znaczenia, a jeżeli przed innemi krajami przoduje w niej Dania, zawdzięcza to ona dawnemu wdrożeniu ludności do spółek rolniczych, a następnie umiejętnej, niezmiernie starannej i bardzo ujednostajnionej hodowli. Oprócz prywatnych przedsiębiorstw, samych spółkowych zakładów wyrobu

masła znajduje się w Danii przeszło tysiąc. Zasady ich, dla rolnika ciekawe, przytaczam w przypisku <sup>1)</sup>.

Też same przyczyny, jakie dały początek spółkom wyrobu masła, wpłynęły w Danii na zawiązanie spółek do wywozu wieprzowiny, której Anglia spotrzebowuje ogromne ilości. Wymaga się jednak tak starannego przyrządzenia towaru, że tylko szlachetuz wzorowo umontowany, a prowadzony przez doświadczonego rzeźnika, może uczynić temu zadość.

Hodowla świń na wielką skalę powstała z chwilą założenia spółkowych zakładów wyrobu masła, a to dla zużytkowania znacznych ilości mleka zbieranego i maślanki, jakie te zakłady zwracają fermom. Ta okoliczność powiększyła ogromnie produkcję wieprzowiny, lecz korzystną jej sprzedaż zapewniły dopiero rzeźnie spółkowe <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Kapitał zakładowy, wynoszący około 13,000 rubli, otrzymuje się na kredyt, za poręczeniem solidarnem członków. Uczestnik obowiązanym jest odstawić do zakładu całą ilość mleka, jaką ma na sprzedaż, i podług odstawy oblicza się udział jego w zyskach i stratach. Jeżeli przed upływem 10 lat pragnie wyjść ze stowarzyszenia, płaci od każdej krowy odszkodowanie (po 12 rubli 50 kop. w pierwszym roku, następnie o rubla mniej co rok).

Święta i niedziele, z wyjątkiem jedynie trzech dni świąt najuroczystszych w roku, nie przerywają odstawy. Uczestnicy obowiązani są żywić krowy sposobem przepisany. Zimowa pasza powinna składać się w połowie z makuch rzepakowych. Wylęcza się z paszy: żyto, groch, wykę, rzepę, brukiew, kartofle i kapustę, a liści buraczanych dozwala się jedynie w pomieszaniu z paszą dolowaną. Czystość mleka zapewniają drobiazgowo przepisane warunki. Mleka od krów chorych przyjmować nie wolno. W razach wątpliwych wysyła się weterynarza. Za 28 funtów mleka o średniej zawartości tłuszczów płaci się, jak za funt masła; przewżyżkę lub niedobór tłuszczu uwzględnia się w cenie podług tablic. Największy stosunek tłuszczu okazał się dotychczas  $6\frac{2}{3}\%$ , co daje  $16\frac{2}{3}$  garnca mleka za garniec masła. Mleko zbierane oraz maślanek zabierają dostawcy po 4 kop. za 10 funtów. Jeden z członków pełni funkcję rewizora. Za mleko płaci się co miesiąc.

<sup>2)</sup> Tych w roku 1896 istniało w Danii 25 z kapitałem 1,268,540 rubli, i liczbą członków 57,743. W tymże roku zarznięto świń 633,141 i otrzymano średnio za pud żywej wagi 3 rb. 61 kop. Spółka załatwia nietylko rzeź, ale też wywóz i sprzedaż wieprzowiny. Członkiem spółki może być każdy fermier, który się zobowiąże dostarczać oznaczonej ilości świń, ale to tylko przy



c) W dalszym szeregu stowarzyszeń wytwórczych wspomnieć trzeba o cukrowni ziemiańskiej w Nikepingu. Należy do niej 3,500 członków z kapitałem 546,000. Pozostaje ona pod zarządem 3 dyrektorów: technicznego, handlowego i gospodarczego, pod zwierzchnictwem rady nadzorczej. W r. 1896 plantacye dla niej wynosiły 40,000 dużych morgów przy urodzaju 175 korcy z morga i cenie 79 kop. za korzec. Uczestnicy obowiązani są stosować się w uprawie i odstawić do warunków ściśle przepisanych, poniekąd nawet uciążliwych.

d) Do Towarzystw wytwórczych zaliczyć też należy te, których zadaniem jest udoskonalanie wytwórczości, a mianowicie:

Towarzystwo duńskich producentów masła, posiadające 1,268 członków, z których 900 pracowało przedtem we spółkowym wyrobie masła. Zajmuje się ono urządzeniem wystaw masła i sera, odczytami i wydawnictwami. Z tych „wiadomości dla dostawców masła“ rozchodzą się w 30,000 egzemplarzy po 5 kop. numer. W podobny sposób działa kilka innych Towarzystw.

e) Towarzystwa produkcyi nasion dążą do ich udoskonalenia i aklimatyzacyi. Działają za pomocą specjalistów i instrukcyi, dopomagają do sprzedaży, urządzą wystawy.

5) Przechodząc do Towarzystw, mających na celu kupno i sprowadzanie towarów, wymienić trzeba:

a) Związek duńskich Towarzystw spożywczych w Kopenhadze, do którego należą 362 stowarzyszenia miejscowe, wnoszące po 52 ruble corocznej składki. Cel związku polega na ujednostajnieniu działań należących do niego stowarzyszeń, kupowaniu dla nich towarów i okazaniu im pomocy.

b) Związek Jutlandzki do nabywania nawozów sztucznych ma 2,000 członków. Członkiem związku może być każdy fermer, lub stowarzyszenie fermerów, opłacając po 4 kop. z morga zasiewu i 10 kop. na każdy centnar zamówionego nawozu, z których 5 kop. idzie na zadatki, a 2½ kop. na analizę.

---

pierwszem zawieraniu spółki. Następnie przyjmowanie uczestników zależy już od uznania zarządu. Charakterystycznym jest przepis, że nikomu z urzędujących lub usługujących w rzeźni nie wolno brać datków pod ogromną karą. Nieporozumienia pomiędzy uczestnikami i zarządem załatwia sąd polubowny, pobierający zwrot kosztów podróży i dyety. Dla śledzenia biegu handlu wieprzowiną założono w Jutlandyi kantor rzeźni spółkowych.

c) Towarzystwo Fiońskie do sprowadzania nawozów, nasion, paszy i towarów kolonialnych, ciesząc się wielkiem powodzeniem. Jest ono podzielone na sekcye parafialne, w których korespondencyę i ekspedycyę towarów załatwia prezes wybieralny, otrzymujący  $\frac{1}{2}$  procent od obrotu.

d) Towarzystwo do sprowadzania surogatów paszy zapobiega ich zafalszowaniu i nadużyciom dostawców, jakoteż ich zmwom.

Z pomiędzy Towarzystw dla wspólnej sprzedaży zasługują na wymienienie:

a) Związek duńskich fermerów dla wywozu masła, którego członkowie obowiązani są oddawać mu całkowitą ilość produktu tego, jaką na sprzedaż przeznaczają. Otrzymane masło związek płaci podług oszacowania specjalnego komitetu i wysyła je za granicę, gdzie utrzymuje agentów. Ma prawo kupować masło od postronnych. Jeżeli zakład jaki potrzebuje wskazówek, zarząd posyła mu instruktora. Wszystkie należące do związku zakłady powinny być solidarne i wykonywać zalecenia zarządu.

b) Towarzystwo wywozu masła posiada własne składy i warsztaty, w których masło oczyszcza się, sortuje, pakuje i stempluje. Do Towarzystwa przyjmują się takie tylko zakłady, których produkcya premiowana była na wystawach, i oprócz innych zalet odznacza się jednostajnością.

c) Towarzystwo do wywozu jaj ma 18,000 członków, płacących po 25 kopiejek wpisowego. Celem Towarzystwa jest związanie stałych stosunków za granicą. Rozwija się silnie <sup>1)</sup>.

7) Towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych:

a) Towarzystwo ubezpieczeń inwentarza żywego w Danii posiada 3,500 członków i 33,000 funduszu rezerwowego.

b) Towarzystwo Jutlandzkie ubezpieczenia inwentarza od nieszczęśliwych wypadków. Składka od konia 2 $\frac{1}{2}$ %, od bydła 2 do 3 $\frac{1}{4}$ %. Podobne, lubo nieco odmienne, zasady ma kilka innych Towarzystw.

---

<sup>1)</sup> W r. 1895 wywiozło 5,804 pudy, a w r. 1899—51,558 pudów jaj, których idzie średnio 250 na pud. Średnia cena puda 6 rb. 89 kop. Do Towarzystwa należą 344 kółka; jeżeli które nie dostarczy jaj przez pół roku, wyklucza się ze związku. Jaja muszą być czyste i zdrowe, najwyżej siedmiodniowe i nosić na sobie stempel kółka i numer uczestnika. Za uchybienie warunków płaci się karę. Towarzystwo ogłasza specjalne wydawnictwo.



c) Fiońskie Towarzystwo ubezpieczenia buhai ma wyłącznie na celu ubezpieczenie tej części wartości zwierząt, jaka nie zostaje przyjętą do ubezpieczenia w innych Towarzystwach.

d) Towarzystwa ubezpieczenia od karbunkułu.

e) Istnieje wreszcie kilka Towarzystw ubezpieczeń wzajemnych od gradobicia.

8) Kasy oszczędnościowo-pożyczkowe.

a) Stowarzyszenie służących i robotników w Skodborgu i Lemwigu ma na celu dostarczanie uczestnikom własnych zagród. Służący, który chce należeć do stowarzyszenia, płaci 13 rubli rocznie, lub więcej i uzyskuje prawo do korzystania z ofiar. Członkowie ofiarodawcy i postronni płacą po 2 rb. 60 kop. rocznie, lub 26 rubli jednorazowo. Skoro oszczędności zebrane na rachunku uczestnika dojdą do wskazanej wysokości, Towarzystwo kupuje mu zagrodę gotową, lub grunt na jej pobudowanie, a jeżeli fundusze uczestnika nie wystarczą, zaciąga pożyczkę.

b) Kasy dla służących. Rozwijają pomiędzy nimi oszczędność; wydają nagrody najbardziej zasłużonym; przyjmują zasiłki i zapomogi od ofiarodawców; udzielają z nich gratyfikacyi za długoletnią i sumienną służbę.

c) Towarzystwa pomocy dla zubożałych rolników.

Składają się z członków i ofiarodawców. Dla otrzymania zasiłku potrzeba przynajmniej przez lat dziesięć prowadzić gospodarstwo, jako właściciel, dzierżawca, lub rządcą, mieć imię nieskazitelne i znajdować się w rzeczywistej potrzebie. Człowiek czemkolwiek skompromitowany nie może liczyć na zasiłek.

Niektóre z tych Towarzystw, oprócz wydawania zasiłku, zajmują się wyszukiwaniem posad dla zubożałych członków i pomagają wdowom po nich i sierotom; niektóre zajmują się tylko dzierżawcami, inne zaś najdrobniejszymi fermerami, którym po przejściu lat 55 płacą roczne zasiłki.

9) Towarzystwa kształcenia się w rolnictwie. Z tych na uwagę zasługuje Towarzystwo duńskich kandydatów agronomii. Celem jego jest osiągnięcie zjednoczenia pomiędzy osobami, które otrzymały wyższe wykształcenie rolnicze i udzielanie im pomocy do kształcenia się dalszego. Towarzystwo ma swoje wydawnictwo, urządza konferencye i odczyty.

10) Specyalne Towarzystwa ogrodnicze, pszczelnicze, hodowli drobiu i królików rządzą się ogólnemi zasadami Duńskich stowarzyszeń. Z tych Towarzystwo ogrodnicze Królewsko-Duńskie, dążąc do rozwinięcia ogrodnictwa drobnych fermerów, wysyła do

nich instruktorów i za postępy w ogrodnictwie wydaje im nagrody.

Takim jest całokształt stowarzyszeń rolniczych w Danii. Pierwszą ich cechą znamionną jest przejście się zasadami przemysłowemi, nadanie zarządowi silnej władzy i poddanie się karność; drugą: że się składają przeważnie z drobnych właścicieli, którym rząd, Towarzystwo rolnicze i cała ziemiańska społeczność gorliwie przychodzi w pomoc, dźwigając ich na coraz wyższe szczeble społecznienia i dobrobytu, trzecią okazuje się nader praktyczna organizacja Towarzystw Rolniczych, pilnie zabiegających około utrzymania związku pomiędzy postępem umiejętności, a praktyczną pracą rolnika.

Całość daje obraz jakiegoś mrowiska, urządzonego na wzór ogromnej fabryki, wyrabiającej towary wyłącznie wyborowe, hołdującej rozumnej nakładowości w produkeyi. Wszczepienie w rolnictwo najzdrowszych zasad przemysłowo-handlowych, za pomocą zjednoczenia usiłowań i pracy, na podstawie jasnego uświadomienia potrzeb, takim jest zadanie stowarzyszeń rolniczych w Danii, i z zadania tego wywiązują się one doskonale.

#### IV.

### K o n k l u z y e .

Z pierwszego wejrzenia na stowarzyszenia rolnicze, pozytywne powszechnie za najznamienitsze, uwagę zwraca fakt, że każdy z trzech podanych typów: niemiecki, francuski czy duński, pozostaje w ścisłej zależności od charakteru narodowego, warunków krajowych i stosunków gospodarczych otoczenia. Dalsze zastanowienie dozwala jednak dostrzedz, że rządzą nimi wszystkimi szersze prawa, wypływające z natury zawodu rolniczego, skutkiem których działalność rzeczonych stowarzyszeń, pomimo zachodzących różnic, musi trzymać się w pewnej mierze tych samych torów. W nich więc, w tych rysach



wspólnych szukać należy cech, właściwych stowarzyszeniom rolniczym. Przedewszystkiem wspólne jest stowarzyszeniom Niemiec, Francyi i Danii, że składają się przeważnie z drobnych rolników, którym wyższe klasy przychodzą z chętną pomocą w urządzeniu i kierownictwie, następnie zaś: że powstały we Francyi i w Danii, a po części i w Niemczech, pod wpływem wielkich Towarzystw rolniczych, które wypracowały dla nich zasady i plan działania, i na każdym kroku podtrzymują ich działalność. Ten żywy stosunek życzliwości i opieki zachowuje również Towarzystwo Rolnicze Anglii względem zjednoczeń miejscowych. Z tych stosunków wybijają się na powierzchnię fakt, że stowarzyszenia rolnicze są węzłem zjednoczenia w s z y s t k i e h sił, pracujących na roli, w nich objawia się widomie solidarność pomiędzy rolnikiem zamożnym, i światłym, i najskromniejszym chłopkiem. S o l i d a r n o ś ć ta zatem świata ziemiańskiego we wszystkich kierunkach jest wewnętrznem dążeniem i zasadniczą cechą znamioną stowarzyszeń rolniczych.

Drugą jest niemniej ważny i powszechny fakt wzajemnego łączenia się i kojarzenia w najrozmaitszych kierunkach stowarzyszeń każdego kraju. Nietylko dążą one do tego, żeby z całości stworzyć jedność, ale i do tego jeszcze, aby w każdym rodzaju stowarzyszeń stworzyć zjednoczenie centralne. Oparty jest ten kierunek na przekonaniu, że stowarzyszenia w połączeniu mogą najskuteczniej wesprzeć się nawzajem, i użyczając sobie wzajemnie sił, potęgować je w możliwym stopniu. Czynią to w poczuciu, że rolnicy, opierając się na własnych siłach, najprędzej dojdą do poznania własnych potrzeb i sposobów ich zaspokojenia. Poczucie to jest dla samopomocy podstawowem. S a m o p o m o c zatem i podniesienie przez nią świadomości własnych sił i znaczenia jest drugą cechą znamioną stowarzyszeń.

Trzecią stanowi stosunek stowarzyszeń tych do kapitału zakładowego, dywidendy i zarządu. Rozpoczynają one zwykle z funduszem bardzo słabym, i dbając tylko o to, aby stowarzyszeni odnosili z nich korzyść jak największą, nie ubiegają się wielce o własne zyski, tak, że fundusze ich powiększają się słabiej od obrotu. Zebrany wielkim majątkiem nie przechwala się żadne z typowych stowarzyszeń rolniczych. Zarządzane przez uczestników własnych, mają one najczęściej na czele kierowników bezpłatnych, którzy za zaszczyt liczą sobie oddać bezinteresownie pracę i zdolność na korzyść stowarzyszeń. Zajęcie jak największej liczby członków w spełnianiu zadań stowarzysze-

nia jest również rysem ich znamionym. Wszystkie te właściwości nadają stowarzyszeniom rolniczym wybitną cechę w z a j e m n o ś c i, która, wraz z solidarnością i samopomocą, dopełnia liczby trzech dążeń pokrewnych, stanowiących węzeł, siłę i zadatek przyszłości stowarzyszeń rolniczych.

Mając na pamięci te trzy główne podstawy, przystąpimy do wykrycia innych zasad, rządzących stowarzyszeniami rolnymi, przez porównanie ich z urządzeniami pokrewnymi.

1. Najpodobniejsza do stowarzyszenia, zwłaszcza nabywczego, spółka handlowa, zamyka się ściśle w dążności do pieniężnych zysków, a ograniczając obowiązki uczestników do złożenia kapitału zakładowego i nie wymagając po nich zjednoczenia usiłowań i zdolności, różni się zasadniczo od stowarzyszenia rolniczego, mającego nieporównanie szersze cele i oczekującego dla ich spełnienia na gorliwe oddanie się uczestników zadaniom wspólnym.

Wprawdzie, w stowarzyszeniach rolniczych, spożywczych i wytwórczych, uczestnicy składają się również na kapitał zakładowy; lecz kiedy spółka handlowa do sprowadzania nawozów sztucznych najlepiej odpowie zadaniu, dając największe dywidendy, to stowarzyszenie rolnicze cel swój osiągnie wtedy jedynie, kiedy, bez względu na zyski, da towar w najlepszym gatunku, po cenie najprzystępniejszej, gdyż tym dopiero sposobem ułatwi stowarzyszonemu nabycie produktów, postęp zapewniających, a przez to, zamiast zysków różnych, w gospodarstwie korzyści stałe.

Wreszcie spółka handlowa osiąga zyski przez wydobycie jak największej różnicy pomiędzy ceną, zapłaconą producentowi za towar, a ceną, jaką za tenże towar płaci spożywca; dlatego też może zapłacić za towar drożej, byle-by mogła nałożyć na spożywcę wyższą cenę. W stowarzyszeniu rolniczem wyrachowanie takie było-by chybionem, gdyż w niem chodzi o bezwarunkowe obniżenie ceny dla nabywcy, i odbijać się na nim nie należy. Zatem szukać trzeba towaru tam, gdzie można go otrzymać po cenie najprzystępniejszej i w najlepszym gatunku.

Jeżeli stowarzyszenie rolnicze, dla powiększenia czystych zysków przedsięwzięcia, pobierać będzie wyższą cenę za towar, licząc na to, że pobraną od uczestników nadwyżkę cen zwróci im w dywidendzie, to niewątpliwie dla polepszenia bilansu poświęci wielkość obrotów, gdyż w każdym przedsięwzięciu handlowem, akcyjnym, czy wza-



jennem, obroty, w miarę podnoszenia cen, stają się mniejsze, i nadzieja na dywidendę nie zastąpi uczestnikowi niskiej ceny.

II. Drugim z kolei urządzeniem, przypominającym stowarzyszenia rolnicze, są syndykaty przemysłowe. Polegają one na związku pewnej ilości przedsiębiorstw jednoimiennych, z celem korzystnego spieniężania produktu: węgla, metalu, cukru i t. p. Ponieważ najskuteczniejszym, jeżeli nie jedynym, ku temu środkiem jest utrzymanie zaofiarowania w takiej mierze, aby nigdy nie przewyższało zapotrzebowania, przeto też urządzenie ich zasadza się ostatecznie na bezwarunkowym oddaniu się połączonych przedsiębiorców pod dyspozycję zarządu, od którego w syndykatach, najdalej idących, zależą wszystkie warunki produkcji, poczynając od stosunków robotniczych i kończąc na skąpem, lub obfitem zasilaniu rynków, a więc natężenie produkcji, cena i wszelkie obroty. Z pomiędzy stowarzyszeń rolniczych tak wielką władzę zarządowi przyznają jedynie spółki elewatorowe w Niemczech, w Danii zaś wszystkie prawie stowarzyszenia wytwórcze i wywozowe. Temu też zapewne zawdzięczają one powodzenie w sprzedaży, które nie dopisuje stowarzyszeniom, zachowującym dla stowarzyszonych większą swobodę działania.

Zdawało-by się zatem, iż, aby stowarzyszenie rolnicze stało się narzędziem, dogodnym dla sprzedaży, trzeba, aby uczestnicy poddali się pod względy handlowe pod rozporządzenie zarządu. Warunek ten w społeczeństwach, niewdrożonych do karności dobrowolnej, niełatwym jest do osiągnięcia, gdyż do trwałej jego skuteczności nieodzownym jest bardzo dojrzałe i głębokie przeświadczenie wewnętrzne uczestników o jego potrzebie, inaczej stowarzyszenie, za pierwszym niepowodzeniem, rozpadnie się niebawem. Potrzebny też jest nieodbić zarząd doświadczony i wypróbowany w obrotach kupieckich.

Należy też zastanowić się nad tem bacznie, że najlepiej udają się syndykaty przemysłowe, obracające towarem łatwo wymiennym, to jest takim, którego partya może być łatwo zastąpiona inną partya, bez dotykanej różnicy w gatunku. Tak na przykład węgiel, nafta, żelazo, miedź, odpowiadają temu warunkowi, a wymiennosc ich niezmienne ułatwia głównemu zarządowi rozporządzanie towarem i zapobiega niemilym zatargom pomiędzy producentami a nabywcami o różnicę gatunku. Ta okoliczność tłumaczy nam wyjątkowe powodzenie spółek nabiałowych i elewatorowych pośród stowarzyszeń rolniczych. Zaczynają one od tego, że towarowi swemu przez jego wyrównanie nadają warunki wymiennosci.

III. We Francji przez czas długi niedozwalano stowarzyszeń zawodowych, w obawie, aby się na cechy nie zamieniły. Otóż cechy, oprócz celów pobocznych, zwykle humanitarnych, ma przed sobą dwa główne dążenia: pierwsze, aby, przyjmując do zgromadzenia zawodowego jedynie tylko członków, mających należyte przygotowanie techniczne, zapobiegać współzawodnictwu niedouczonych zawodowców postronnych, jako przynoszących cechowym uszczerbek, a społeczeństwu złą i niedokładną robotę, i drugie, aby przygotowywać starannie czeladników i uczniów na dobrych rzemieślników. Pierwsze z tych dążeń ma pod względem ekonomicznym znaczenie jedynie zapobiegawcze, i nie może przynieść uczestnikom korzyści bezpośrednich, lecz jedynie uboczne, najczęściej wątpliwe. Wprost odwrotne pod tym względem znaczenie mają stowarzyszenia zawodowe, a zwłaszcza rolnicze. Te bowiem, zdaniem ogółu, odpowiadają celowi o tyle, o ile zdołają rozwinąć obroty i wpłynąć na rozwój i udoskonalenie pojedynczych gospodarstw. O ile zaś chodzi o działalność wychowawczą cechów, stowarzyszenia rolnicze położyły pod tym względem niepożyte zasługi. Objawiły się one w staraniach o zakładanie szkół wyższych i niższych, oraz o wykłady elementarne rolnictwa, w rozsyłaniu nauczycieli wędrownych, w urządzaniu odczytów, konkursów, prób i wystaw, w redagowaniu użytecznych wydawnictw. Nadto niektóre stowarzyszenia przygotowują starannie wyższych i niższych oficjalistów gospodarczych, pastuchów, owczarzy, majstrów rozmaitych, co za sprawę wysokiej użyteczności poczytywać należy. Dążenie do upowszechnienia pomiędzy rolnikami umiejętności zawodowej i rozszerzenia umysłowego ich widnokągu, jest, rzecz można, wspólne wszystkim, wyżej cenionym, stowarzyszeniom rolniczym, i pod tym względem cechy rzemieślnicze, pomimo najlepszych chęci, dla braku środków, obok urzędzeń zastarzałych, nigdy im nie dorównają.

IV. Pewnemi stronami działalności spotykają się wreszcie stowarzyszenia rolnicze z instytucjami użyteczności publicznej, a nawet filantropijnymi. Te ostatnie bowiem opierają się nie na samem tylko miłosierdziu: początek im daje i przy życiu je utrzymuje pragnienie dobra społecznego. Jeżeli pragnienie to odniesiemy do zakresu ludności rolniczej, dostrzeżemy mnóstwo urzędzeń, założonych właśnie z tą myślą przez stowarzyszenia, a co większa jeszcze, że w postępowaniu wielu stowarzyszeń względy na dobro powszechne ludności rolniczej zajmują górujące miejsce. I wiać część działalności i powodzenia syndykatów francuskich przypisać należy gorącej chęci najoświecieńszych rolników Francji służyć włóściaństwu do pomocy



w walce z niepomyślnymi warunkami rolnictwa, i wyrwać je z pod wpływu propagandy socjalistycznej. W konkursie syndykatów, rozpisany przez hr. Chambruna w roku 1897, wyróżniono zaszczytnie te tylko, które się odznaczyły zakładaniem dla ludności rolniczej kas pożyczkowych, ochron dla starców, kas emerytalnych i tym podobnych instytucji samopomocy społecznej. Już hr. Rocquigny w znakomitem swoim dziele o syndykatach rolniczych utrzymuje, iż ostatecznym ich celem jest pomoc dla potrzebujących jej uczestników: „L'assistance est le but final des syndicats agricoles“, p. 307. Syndykaty Francji są bardziej przejęte solidarnością społeczną, aniżeli handlową.

W społeczeństwie duńskim, tak bardzo do sprawy stowarzyszeń wdrożonem, dążenie do wspierania zgrzybiałych, lub zubożałych członków gorąco jest popieranem, a zjednoczenie, mające na celu dostarczenie własnego domostwa każdemu robotnikowi rolnemu, który ze swojej strony nie cofa się od ofiar, zasługuje na zaszczytną wzmiankę. Wogóle stowarzyszenia francuskie i duńskie, pod wodzą najświetlejszych mężów, zajmują się głównie własnością; w Niemczech zaś, oprócz stowarzyszeń, złożonych przeważnie z drobnych rolników, załatwiają też samą potrzebę znakomicie rozwinięte związki włościńskie (Bauernvereine), które założyli i nad którymi czuwają pierwszorzędni ludzie.

Kończąc, chciał-bym w kilku słowach uwidocznic ostateczne cele stowarzyszeń rolniczych.

Tam, gdzie dosięgły one swego szczytu, to jest w Niemczech, Francji i Danii, dowiodły, jak wielką jest potęga zjednoczenia, gdy czerpie swoje siły w czynnikach społecznych. Centnary towarów i miliony puszczonych w obrót funduszów, mając w głównem działaniu znaczenie jedynie pomocnicze, dają bardzo niezupełny obraz doniosłości stowarzyszeń. W tych chodzi o rzeczy nieskończone ważniejsze: chodzi mianowicie o podniesienie ducha, o wzbudzenie odwagi w poczuciu siły, płynącej ze zjednoczenia, o wzmocnienie produkcji, o wzbogacenie jej w umiejętność i jednolitość metod, obok urozmaicenia wytwórczości. Tu chodzi o zjednoczenie sił rozproszonych pracowników w silnie związane grupy, rządzące się zasadami wspólnymi, bez pogwałcenia indywidualności, i nadanie przez to pracy rolnika sprężystości i organiczności pracy fabrycznej. Stać się to może jedynie pod warunkiem zupełnej solidarności rolników w postępowaniu.

A skoro solidarność ta przeniknie po szczeblach materyalnego interesu do umysłu i serca, wtedy znów chodzić będzie o to, aby rolnicy, poczuwając się do obowiązków bratnich, dopomagali sobie wzajem radą i usługą. Najskromniejszy nawet byt ozłoci im przekonanie, że nie są odosobnieni, że działają w jedności. I rzeczywiście, podwoją się ich siły, bo któż wątpi o tem, że siłą jest jedność <sup>1)</sup>.

J. JEZIORAŃSKI.

<sup>1)</sup> *Zródła:*

1. Buchenberger: Agrarwesen und Agrarpolitik, 1893. — Die Association in der Landwirtschaft.
2. Eyth Max: Die Königliche Landwirtschaftsgesellschaft v. England, 1883
3. Statuts de la Société des Agriculteurs de France. Décret de 1872.
5. Le Monde Moderne 7 Juin 1898. La Société des Agriculteurs de France.
6. Deutsche Landw. - Gesellsch. Beschreibung, den Besuchern der Pariser Weltausstellung gewidmet, 1900.
7. Jahrbuch der Deutschen Landw. - Gesellsch., 1899.
8. Wölbling: Der erste Rundgang der Landwirtschaftlichen Wanderausstellungen in Deutschland, 1899.
9. Kriukow: Sielskoje chozajstwo w Danii, 1899.
10. Mentzel & Lengerke: Landwirtschaftlich Kalender, 1900.
11. Landwirtschaftliche Jahrbücher XXVII Band, 1899.
12. Mendel Sternfels. Mehrere Abfassungen über die Landwirtschaftlichen Vereine und Genossenschaften im Lexicon der Staatswissenschaften.
13. Fassbender: die Bauernvereine, 1888.
14. Reichsbote, 1900. №№ 188, 191. Sprawozdanie ze Zjazdu Stowarzyszeń rolniczych w Halli w sierpniu 1900 roku.
15. Comte de Rocquigny. Syndicats agricoles, 1893.
16. Hubert Valléroux. Les associations, 1899.
17. Dr T. Kudelka. Landwirtschaftliches Genossenschaftswesen.
18. La Démocratie Rurale Journal de la Solidarité Nationale 1899 Directeur Kergall. — *Gazeta Rolnicza*, 1900 rol: 19. № 2. Dr Leśniowski: „Obecny stan hodowli nasion“.
20. № 29. O spółkowych śpichrzach zbożowych. 31. № 28, 30. Lutosławski Jan: Wystawa Paryska pod względem rolniczym.
22. № 36. Międzynarodowy Kongres rolniczy na wystawie Paryskiej.



---

# PISMIENNICTWO.

---

Prof. dr Franciszek Piekosiński: „Zdobycze szlachty polskiej w dziedzinie prawa publicznego w wieku XV”. Kraków, 1900.

Najważniejsze zdobycze, jakie szlachta polska w dziedzinie prawa publicznego na koszt władzy państwowej odniosła, pochodzą z XV wieku, a mianowicie z epoki panowania pierwszych pięciu Jagiellonów. Bezpośrednim powodem rozwoju stosunkowo szybkiego tych zdobyczy była przemiana w Polsce monarchii dziedzicznej na elekcyjną. Każdy nowowybrany król wystawiał, w chwili obejmowania władzy monarszej, osobny akt, który, pospolicie, przywilejem ziemskim zwano. Akt taki obejmował albo ogólnikowe tylko oświadczenie w przedmiocie zatwierdzenia praw stanów Królestwa, co się rzadziej zdarzało, albo też obejmował szczegółowe tych praw wyliczenie, co się działo pospolicie. Stąd w przywilejach tych ziemskich mamy jak najszczegółowsze i najautentyczniejsze źródło, jak wyglądały za każdego panowania prawa stanów Królestwa, i jak one stopniowo pomnażały się na koszt władzy monarszej. Ta konieczność wystawiania

przywileju ziemskiego przez każdego nowoobranego króla miała jeszcze ten skutek, że stany Królestwa korzystały z tej sposobności, aby na każdym nowoobranym królu coraz to nowe wykołatać ustępstwa i zdobycze.

W walce pomiędzy szlachtą a królem o zdobycie swobód prawno-publicznych, kurczyła się nie tylko władza królewska w miarę rozszerzania się tych swobód, ale kurczyły się także prawa innych stanów, zwłaszcza włościańskiego i mieszczańskiego. Stosunkowo obronną ręką z pośród reszty stanów Królestwa Polskiego wyszedł kościół, który niezbyt dotkliwie zmuszony był zrobić koncesye na rzecz stanu szlacheckiego; natomiast stanowi włościańskiemu i mieszczańskiemu zakusy szlachty silnie uczuć się dały. Zdobycze szlachty na koszt władzy królewskiej dotyczyły różnych dziedzin działalności publicznej. W dziedzinie samorządu, już przywilejem cieńskim Lasikonogiego z roku 1229 zastrzeżeniem zostało, że książę prawa słuszne i przyzwoite utrzymywać będzie w swej mocy wedle rady biskupów i dostojników. Tu więc senatorowie po raz pierwszy powołani zostają wyraźnie do współdziałania w rządzie. Przywilejem lutomyśkim z roku 1291 zastrzegł król Wacław, że dostojności i urzędy nadawane będą za radą biskupa, oraz starszych dostojników, jak to z dawna było zachowywane. Ale tak postanowienia przywileju cieńskiego, jak i lutomyśkiego, dopuszczały tylko klasę przedniejszą, to jest tylko klasę dostojników, do udziału w rządzie; zwyczajna szlachta, pospółstwo szlacheckie, żadnego zgoła udziału w rządzie nie brało. W tej mierze są epokowemi przywileje cerekwickie i nieszawskie z roku 1454. Przywilejem owym zdobył sobie ogół szlachecki jednym zamachem przeważny udział w rządzie. Król zaś nie mógł ignorować uchwały pospółstwa szlacheckiego, lecz powziętą uchwałę wykonać musiał. Radą senatorską był król w działalności swej więcej pozornie ograniczony; tymczasem postanowienia przywileju cerekwicko - nieszawskiego są już bardzo realnem i bardzo stanowczem ograniczeniem władzy królewskiej.

Prof. Piekosiński jest jednak zdania, że pospółstwo szlacheckie polskie stało już około XV wieku na tym stopniu społecznego rozwoju, iż do samorządu było dojrzałe. Unia z Litwą, Grünwald, przyjęcie hołdu ziem pruskich w roku 1454, świadczą o tak znakomicie rozwiniętym zmyśle politycznym u pospółstwa szlacheckiego polskiego, że je już śmiało do współdziałania w rządzie przypuścić było można. Że się ten ustrój polityczny, zainaugurowany w XV wieku w Polsce, w następnych wiekach zepsuł i wykrzywił, to już nie może iść na



karb szlachty z połowy XV wieku. Przywileje cerekwicko - nieszawskie nie zawierały w sobie nawet zarodku do późniejszych zboczeń prawnopublicznych, za które późniejszą społeczność szlachecką odpowiedzialną uczynić należy.

Co się tyczy przywilejów stanów Królestwa Polskiego, to już przywilejem lutomyskim z 1291 roku zatwierdzone zostały tak kościołowi, jak i stanom, mianowicie dostojnikom, rycerstwu, mieszczanom i innym poddanym wszelkie starodawne prawa, zwyczaje i swobody. Postanowienia te wielokrotnie wznawianymi były, aż do roku 1454. W sprawie nadawania urzędów i starostw, przywilejem wyszehradzkim z roku 1339 postanowionem zostało, że król żadnego cudzoziemca, krom Polaka, nie zamianuje starostą. Przywilej koszycki z roku 1374 nakazał urzędy nadawać tylko ziemianom, i zabronił osobom, pochodzącym z krwi książęcej, nadawać starostwo. Przywilej cerekwicki zastrzegł, iż wyższe dostojenstwa, jak kanclerstwo, podkanclerstwo, marszałkowstwo i kuchmistrzowstwo, mają być nadawane zarówno Wielkopolanom, jak i Małopolanom. Co do niektórych urzędów zapadły osobne postanowienia. I tak na przykład przywilejem krakowskim z roku 1386 zniesiony został urząd oprawców (justyaryusza), przywilejem czerwińskim z roku 1422 postanowionem zostało, iż żaden sędzia nie będzie mianowany starostą w tej samej ziemi, co później przywilej cerekwicki rozszerzył, iż żaden w ogóle dostojnik równocześnie starostą zamianowany być nie może. Wreszcie zastrzegł przywilej krakowski z roku 1386 i 1388, iż król zgoła żadnych listów na ekspektatywy wydawać nie będzie.

W sprawie służby wojennej najstarszem postanowieniem jest przywilej cieński z 1229 roku, wedle którego książę obowiązany był bronić kraju wedle sił swoich przeciw nieprzyjaciółom. Nie można inaczej tłómaczyć sobie owego postanowienia, jak tylko, że szlachta już i podówczas obowiązana była do obrony granic kraju przeciw nieprzyjacielowi, lecz że na księciu ciążył obowiązek starania się o posilki, o ile-by własne środki kraju okazały się niedostatecznymi, o budowę grodów, zwłaszcza rubieżowych, o należyte uzbrojenie wojska i t. d. Przywilej lutomyski postanawia, że żołd ma być wypłacany rycerstwu wedle dawnego zwyczaju. Chodziło tu o wypłacenie żołdu podczas wyprawy poza granice kraju, gdyż tylko taki żołd był w starodawnym zwyczaju. Dopiero przywilej budziński z roku 1355 robi po raz pierwszy wyraźną różnicę pomiędzy wyprawą wojenną poza granice kraju, a obroną granic kraju przeciw nieprzyjacielowi, i postanawia, że wrazie wyprawy wojennej poza granice kraju, król obowią-

zany będzie wynagrodzić rycerstwu wszelaką szkodę. Przywilejem koszyckim z roku 1374 król zobowiązał się wynagrodzić rycerstwu szkodę nawet za popadnięcie w niewolę.

Dopiero przywilej koszycki z roku 1334, a za nim piotrkowski z roku 1388, postanowił wyraźnie zasadę, która jest najstarszem prawem zwyczajowem, iż poddani obowiązani są w razie napadu nieprzyjacielskiego bronić kraju wedle swych możliwości. Przywilej krakowski z roku 1386 postanawia, że gdyby z powodu zamierzonej wyprawy rozdany został żołd między rycerstwo, a wyprawa taka w ciągu roku nie przysłała do skutku, rycerstwo wolnem być ma tak od zwrotu żołdu, jako i od zamierzonej wyprawy. Dopiero przywilej jedlnieński z roku 1430, a po nim przywilej cerekwicko - nieszawski z roku 1454 stanowią, że żołd ten wynosić ma ryczałtowo po 5 grzywien na każdy oszczep. Wysokość żołdu przez cały wiek XV pozostała nie naruszoną, mimo, że moneta krajowa bezustannie podlała, a zatem i wartość tego żołdu ciągle się zmniejszała. Przywilejem korczyńskim z roku 1456 zobowiązał się król dostarczyć chorążemu potrzebnej ilości koni i broni, co było znacznem obciążeniem skarbu królewskiego, a znakomitem ulżeniem obowiązku szlachty służenia w wojnie o własnym chlebie. Ten-że przywilej zabronił uciskania ziemian przez wojska zaciężne, a przywilej piotrkowski z roku 1496 rozporządził, że wszelkie szkody, wyrządzone ziemianom przez żołnierzy zaciężnych, przez tych-że nagrodzone być winny. W przywileju jedlnieńskim zastrzeżono, iż żaden gród nie może być oddany w dzierżawę cudzoziemcowi, lecz tylko rodowitemu Polakowi i nie z krwi książęcej pochodzącemu.

W sprawie sądownictwa przywilej cieński z roku 1229 postanowił ogólnikowo, że sądy niesprawiedliwe zostają zabronione. Ponieważ w chwili wydania przywileju nie istniały jeszcze w Polsce żadne ustawy pisane, jedynem więc prawem obowiązującym było prawo zwyczajowe. Przywilej jednak czerwiński z roku 1422 stanowi, że sądy trzymać się mają nietylko zwyczajów, ale i statutów króla Kazimierza. Później przybyły także, jako prawo pisane, statuta warekie z roku 1423. Tym statutem postanowione zostało, iż starostowie tylko o cztery artykuły mają prawo sądzić. Postanowienie to zadało cios śmiertelny jurysdykcji kasztelańskiej. Wreszcie przyrzekł król przywilejem nieszawskim z roku 1454, że ilekroć do jakiej ziemi przybędzie, wymierzy żalującym sprawiedliwość przeciw starości miejscowemu. Przywilej czerwiński z roku 1422 i jedlnieński z 1430, stanowiły, że król szlachcica osiadłego ani uwięzi, ani mu dóbr nie zagra-



bi, dopóki-by przy przeprowadzonym sporze prawem pokonany nie został. Wreszcie przywilejem cerekwickim zastrzeżono, iż król nie ma wydawać listów zakaznych, wstrzymujących wymiar sprawiedliwości.

W sprawie innych przywilejów szlachty przywilej nieszawski z roku 1454 postanowił, że każdy szlachcic trzykroć do roku w żupach królewskich sól na własną potrzebę po cenach produkcji kupować może. Od szlachty, sól wiozącej, żadne cło pobieranem być nie ma, a postanowienie to przywilejem piotrkowskim z roku 1496 rozciągniętem zostało na wszystkie wogóle towary i przedmioty, przez szlachtę z domu, lub do domu prowadzone. Tenże sam przywilej piotrkowski postanowił, że żadne wogóle nowe cło, ani targowe ustanawiane być nie ma. W sprawie wybijania monety już przywilejami: czerwińskim z roku 1422 i jedlnieńskim z roku 1430, zobowiązał się król, iż bez pozwolenia dostojników żadnej monety wybijać nie będzie.

Zdobycze szlachty na rzecz kościoła zaznacza dopiero statut piotrkowski z roku 1496. Rozporządza on, iż odtąd do kościołów katedralnych nie mają być na godności i prebendy przyjmowani ludzie stanu plebejuszowskiego, krom trzech, lub najwyżej pięciu doktorów. Jeszcze jedno postanowienie, skierowane przeciw kościołowi, zawiera statut piotrkowski. Oto stanowi on, iż dostojnicy duchowni nie mają wydawać do sądów świeckich listów zakaznych w sprawach świeckich, krom spraw duchownych. Najważniejsze postanowienia, skierowane przeciw mieszczaństwu, zawiera statut warecki z roku 1423. Stanowi on, iż wojewoda wraz ze starostą i innymi dostojnikami ma corocznie ustanawiać ceny towarów i artykułów spożywczych. Statut piotrkowski z roku 1496 postanowił, że mieszczanom, ani plebejuszom, dóbr, na prawie ziemskim zasądzonych, nabywać nie wolno. Plebejusz bowiem nie mógł z dóbr ziemskich odbywać służby wojennej sposobem ziemskim, a zatem musiała mu być odjęta możność nabywania tych dóbr. Statut nieszawski z roku 1454 stanowił, że mieszczanin, raniący szlachcica, lub kmiecia, może być pozwany przed sąd ziemski, a statut cerekwicko-nieszawski przepisał, że poddani ziemian w miastach prawem polskim sądzeni być winni. Statut piotrkowski z roku 1496 poszedł dalej i postanowił, że kmiecie za długi w mieście nie mogą być aresztowani, lecz przed swymi dziedzicami pozywani być winni. Wreszcie tenże sam statut rozporządził, że mieszczanom nie wolno przechowywać u siebie ludzi luźnych, nie mających stałej służby, a to, aby wsie nie były pozbawione ludności robotczej.

W zabiegach szlachty o rozszerzenie swoich praw i przywilejów bezpośrednio po władzy monarszej, najwięcej stosunkowo skurczyły się prawa klasy wieśniaczej. Choć i w tym wypadku nie było żadnego zuchwałstwa szlachty, ale żelazna konieczność, wywołana zmianą stosunków zewnętrznych i wewnętrznych. Wskutek szczęśliwie ukończonej wojny trzynastoletniej i wcielenia Prus do Polski, uprawa ziarna stała się przedsięwzięciem bardzo intratnym, ale do tego potrzeba było roli, a kraj był pokryty lasem i niezbędnymi wtedy były ręce do pracy. Zgodnie z tą potrzebą, postanowienia statutu piotrkowskiego z roku 1496 przepisują, iż jeden tylko z synów kmieci może opuścić rolę dla nauki, lub rzemiosła, a reszta synów na rok zostać powinna. Że jeden tylko kmiotek może do roku przesiedlić się z wioski do wioski, wreszcie, że ludność robocza podczas żniw z kraju za granicę wychodzić nie powinna.

Statut warki z roku 1420 dozwalał dziedzicowi skupienia nieużytecznego, lub krnąbrnego sołtysa. Postanowienie to pozornie było zupełnie słuszne i sprawiedliwe. To też nie w samej treści postanowienia statutu warkiego tkwiło niebezpieczeństwo, lecz w formie, czyli w sposobie jego wykonania. Statut warki bowiem nie określał wcale, jaka to władza ma prawo rozstrzygać, czy skarga dworu na sołtysa, który jest krnąbrnym, jest uzasadniona, skutkiem czego proste utrzymanie dworu wystarczało do przeprowadzenia skupu sołtysa. W tym skupie nie było-by jeszcze nic złego, gdyby dziedzic, skupiwszy sołtysa, sam wykonywał jego jurysdykcję. Inaczej się jednak stało. Dwór powierzał wykonywanie jurysdykcji sołtysiej zazwyczaj ekonomowi, osobie, pod względem moralnym i intelektualnym, bardzo lichy. A to właśnie przyczyniało się bardzo do pogorszenia losu kmieci.

Autor, rozpatrując te wszystkie zdobycze, jakie szlachta polska w XV wieku w dziedzinie prawa publicznego, bądź to z ujmą dla władzy monarszej, bądź z ograniczeniem praw i przywilejów innych stanów, sobie wywalczyła, przyszedł do tego przekonania, że w tych zdobyczach nie znajdowały się żadne takie, które-by, rozumnie przeprowadzone, mogły w czemkolwiek zrodzić niebezpieczeństwo dla całości Rzeczypospolitej polskiej. W drobnej rozprawce zawarł prof. Piekosiński niezmiernie bogatą treść. Z wzorową gruntownością i sumiennością przedstawił rzecz o stanie stanu szlacheckiego w XV wieku, kosztem władzy monarchicznej, oraz innych klas społecznych. Prócz tego, autor rozwój ówczesnego prawodawstwa w dziedzinie prawa publicznego starał się oprzeć na konieczności społecznej i eko-



nomicznej, czem się przyczynił znakomicie do rozjaśnienia owej epoki, a przede wszystkim do odtworzenia narodzin konstytucyi stanowej polskiej. Jednym słowem, praca prof. Piekosińskiego jest niezmiernie pouczająca, i zajmie, jak zresztą wszystkie prace tego zasłużonego uczonego, wybitne miejsce w literaturze naszej historyczno-prawnej.

A. REMBOWSKI.

Prof. dr G. Tschermak: „Podręcznik mineralogii“, dzieło, zawierające 840 drzeworytów i III tablice kolorowe. Z piątego wydania niemieckiego przełożył, uzupełnił i przedmową historyczną opatrzył Józef Morozowicz (Wydanie Kasy pomocy dla pracujących na polu naukowem, imienia d-ra Józefa Mianowskiego). Warszawa 1900.

Ze wszystkich działów nauk przyrodniczych, do ostatnich czasów najbardziej upośledzoną u nas była mineralogia. Jeszcze w roku 1868 wyszła ostatnia polska mineralogia, przez prof. Altha z Krakowa napisana, a od ukazania się tej pracy do chwili obecnej parę tylko popularnych wydano dziełek. Naglącą przeto była potrzeba zapelnienia dotkliwie uczuwaney luki, koniecznem było dostarczenie czytelnikom polskim książki, stojącej na poziomie współczesnej wiedzy.

Lukę tę wypełnia wydany w roku przeszłym „Podręcznik mineralogii“ Tschermaka, przez J. Morozowicza przełożony. Nader trafny jest niewątpliwie wybór tłómaczonego podręcznika z pośród tak licznych cudzoziemskich tej treści wydawnictw, gdyż dzieło to posiada niewątpliwie wielkie zalety. Przedewszystkiem podnieść należy oryginalność i indywidualność pracy Tschermaka, który przez lat wiele z korzyścią sam nad mineralogią pracował i znacznie się do jej postępów przyczynił. Wobec tego panuje on w zupełności nad przedmiotem, zna do najdrobniejszych szczegółów jego literaturę, ocenia trafnie i krytycznie nowsze zdobycze wiedzy. Dlatego też Tschermak przed wszystkimi innemi wprowadził do swego podręcznika naukę o sposobie występowania minerałów i o ich powstawaniu i przeobra-

zaniu się w przyrodzie; uwydatnił on w ten sposób związek między mineralogią a geologią i petrografią, rozpatrywać zaczął minerały nie jako okazy oderwane, lecz jako ciała przyrodzone, w skład skorupy ziemskiej wchodzące. Systematykę oparł Tschermak na układzie peryodycznym pierwiastków chemicznych, a przy każdym rozdziale podał dość obszerną, choć niewyczerpującą, literaturę.

Na obfitą treść „Podręcznika mineralogii“ składają się następujące rozdziały: przedewszystkiem we wstępie zapoznaje się czytelnik z określeniem mineralogii, z krótkim rysem jej historycznego rozwoju, podziałem i najogólniejszą literaturę podręcznikową. Dalej następuje część ogólna; pierwszy jej rozdział, „Morfologia“, wyjaśnia pojęcie ciał krystalicznych i bezpostaciowych, podaje sposoby powstawania kryształów i ich wzrost; wreszcie zawiera krótki, ale treściwy zarys krytalografii, opis skupień krystalicznych i pseudomorfoz. Dział następny, „Mineralogia fizyczna“, zawiera wiadomości, dotyczące własności fizycznych ciał mineralnych, a więc ich sprężystości, łupliwości i t. p. Najobszerniejsze miejsce poświęcone zjawiskom optycznym w kryształach, jako najważniejszym i stanowiącym podstawę współczesnych badań nad minerałami. Rozdział trzeci zawiera „Mineralogię chemiczną“, przystępny i jasny wykład najważniejszych dla mineralogii zasad chemii nieorganicznej, ze szczególnem uwzględnieniem tak ciekawej sprawy polimorfizmu, izomorfizmu i mieszanin izomorficznych. Za temi rozdziałami, powtarzającemi się stereotypowo w każdym obszerniejszym podręczniku mineralogii, idą działy, tylko książce Tschermaka właściwe i o jej wartości stanowiące. Rozdział czwarty mianowicie traktuje o pokładoznawstwie, opisuje rodzaje występowania mineralów, ich pargenezę i sukcesyę, wykazuje ich doniosłość dla zagadnienia o powstawaniu mineralów, szerzej opracowanego w rozdziale piątym. Tschermak zwraca tu przede wszystkim uwagę na zmienność mineralów i ciągle ich przekształcanie się w przyrodzie, podaje najważniejszede drogi, na jakich powstają minerały, najważniejsze ich chemiczne przeistoczenia, stałe krążenie w przyrodzie niektórych ciał. W następnym rozdziale Tschermak wyklada pokrótce przejęte przez siebie podstawy systematyki mineralów. Zacieśnia on dotychczasowe pojęcie „gatunku“ mineralu, zastosowując je do dawniejszych odmian (np. kryształ górny), dawniejsze zaś gatunki (np. kwarc), rozważa jako rodzaje. Rodzaje, na zasadzie wspólnych cech, łączą się naturalnie w grupy izomorficzne, a te możemy dotychczas tylko w sztuczny zestawiać sposób. Za tak obfitą w treść częścią ogólną idzie nie mniej bogata część szczegółowa, z wyczerpującemi opisami mineralów ważniejszych i z krótkimi cytatai, dotyczącemi rzadkich mineralów. Przekład p. Morozowicza pod wie-



lu względami przewyższa niemiecki pierwowzór, dzięki zmianom i uzupełnieniom przez tłómacza poczynionym, które do podręcznika wprowadzają najnowsze zdobycze wiedzy, przez Tschermaka jeszcze nie uwzględnione. Do najnowszych zaliczyć należy wprowadzenie do krystalografii podstaw nauki o symetrii, obecnie niepodzielnie w tej dziedzinie władnej. Dalej tłómacz uwzględnił prace Moissana i Joly'ego, dotyczące zachowania się minerałów przy wysokich temperaturach, podał zachowanie się minerałów pod wpływem promieni Röntgena. W dziedzinie mineralogii chemicznej, niewątpliwie największy znaczą krok naprzód badania Lemberga i Thugutta nad budową krzemianów.

Uwzględnił je Morozowicz obszernie, jak na to zasługują, poświęcając im nieco miejsca zarówno w części ogólnej, jak i przy opisie poszczególnych minerałów. Wreszcie niektóre zmiany w układzie części szczegółowej, jak np. podział opisów minerałów na poszczególne działki, ułatwiają korzystanie z „Podręcznika“, a wprowadzenie krótkich charakterystyk wszystkich znanych dotychczas minerałów czyni zeń podręczną encyklopedyę mineralogii.

Dla nas jednakże szczególnie ważnemi są dopełnienia, dotyczące rzeczy polskich; zmieniają one charakter książki, nadając jej lokalną barwę. Morozowicz mianowicie podaje przy każdym mineralu występowanie jego w granicach ziem polskich, podaje w słowiańskim brzmieniu zniemczone u Tschermaka nazwy miejscowości. Słownictwo przez Morozowicza używane wolnem jest od wszelkich dziwolągów językowych, tak licznie przez dawniejszych mineralogów tworzonych; wyrazy te, nieraz ciekawe, podane w „etymologii i synonimice“, przy każdym mineralu. Na końcu tłómacz dołączył spis minerałów, przez Puseha na ziemiach polskich zebranych, i spis meteorytów, w granicach dawnej Rzeczypospolitej spadłych. Niepoślednią wreszcie zasługę tłómacza stanowi obszerna historyczna przedmowa, uwzględniająca rozwój mineralogii u nas. Dzieli Morozowicz ten rozwój na pięć okresów: pierwszy—to doba średniowiecznych zielników, łączących liczne przesady z minimalnemi wiadomościami faktycznemi; dalej idzie „doba przed-wernerowska“, podczas której wybitnie zaznacza się działalność X. Kluka. Z początkiem XIX wieku zaczyna wszechwładnie panować u nas wpływ Wernera. Powstają liczne mineralogie, osobliwie w uniwersytecie wileńskim, stojące na poziomie ówczesnej wiedzy w Europie. Dalej w następnych dwóch okresach stopniowy zanik zajęcia się mineralogią, której po 1860 roku ani jednego obszerniejszego nie poświęcono dzieła! Miejmy nadzieję, że „podręcznik mineralogii“ za zwiastuna odrodzenia mineralogii u nas uważać będziemy mieli prawo. Najżywszem tedy uznaniem

obdarzyć należy cenionego mineraloga naszego, p. Morozowicza, że zechciał poświęcić masę czasu i mozołu na nieprodukcyjną dla uczonego pracę tłumaczenia „Podręcznika mineralogii“, że przystosował je do naszych potrzeb i wymagań, że poruszył stojącą od tak dawna odłogiem niwę mineralogii w Polsce. Może przykład jego zachęci do pracy w tym kierunku młodsze pokolenia. i kiedyś może polska mineralogia również w nauce miejsce posiedzie.

I to zasługa Morozowicza, że książka naukowa u nas wydana została w szacie wytwornej, na dobrym papierze, czystymi czcionkami, z doskonałemi drzeworytami. Słabsze nieco są tablice, ale za to wszystko, co w książce znajdujemy, w Warszawie miejscowemi środkami wykonaniem zostało. Szczere przeto tłumaczowi Tschermaka od ogółu należy się uznanie za piękne i użyteczne dzieło.

JAN LEWIŃSKI.



---

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Ilekróć stajemy oko w oko ze śmiercią ludzi, zasłużonych społeczeństwu, zadajemy sobie pytanie, kto ich zastąpi, kto podola temu ciężarowi, który oni na barkach swoich niesli, wspierając, jak kolumny mocne i niezachwiane, przez długie lat szeregi, nasze instytucje obywatelskie, świecąc przykładem pracy i poświęcenia, umysłu i serca, oddając krajowi najlepsze swoje siły intelektualne i moralne? Kto z ludzi młodszego pokolenia potrafi, jak tamci, umiłować gorąco cele i zadania swoje i z równem zawsze napięciem energii, nie wątpiąc o rezultatach, ani popadając w apatyę i rozgoryczenie, do ostatniego tchu wytrwać na raz obranem stanowisku? Kto przyjdzie po nich, kto im dorówna?

A mogiła rozwiera się za mogiłą... Exodus est! Ustępują z widowni powoli ci ludzie „zeszłego wieku“, których działalności w znacznym stopniu kraj zawdzięcza swój rozwój ekonomiczny, dobrobyt swój, kulturę swoją.

Nauka polska poniosła w ostatnich czasach dotkliwą stratę przez śmierć Stosława Łaguny, sztuce polskiej ubył Gerson, ubył Al. Gierymski, świat przemysłowo-handlowy stracił Szlenkiera i t. d., aż oto ziemiaństwu polskiemu nie stało jednego z najwybitniejszych jego przedstawicieli — obywatela, pełnego zasług, ś. p. Konstantego Górskiego, którego niezmordowanej pracy, inicjatywie, współdziałaniu, przewodnictwu i opiece społeczeństwo wiele zawdzięcza,

Ś. p. Górski urodził się dnia 8 maja 1827 roku w woli Pękoszewskiej, w powiecie Rawskim, z ojca Franciszka, generała brygady b. wojsk polskich, zmarłego w roku 1830, i matki — Teodozyi z Krempsich.

Otrzymałszy staranne wychowanie domowe, kształcił się następnie w Warszawie, gdzie w roku 1847, jako medalista, ukończył gimnazjum gubernialne, poczem, jednocześnie z bliźniaczym bratem swoim, Janem, udał się na uniwersytet do Berlina. Zaimmatrykułowany tam na wydziale prawnym, z zapałem oddał się studjom naukowym.

Do uniwersytetu berlińskiego licznie garnęła się podówczas młodzież polska. Wśród niej spotkał Górski wielu, którzy następnie na rozmaitych polach dobrze zasłużyć się mieli krajowi. Z ówczesnych stosunków koleżeńskich zmarłego na wyróżnienie zasługuje zawarcie bliższej znajomości z Janem Koźmianem, Michałem Mycielskim, Tadeuszem Chłapowskim i Julianem Klaczką, z którymi obcowanie nie mogło pozostać bez wpływu na umysł i charakter młodzieńca.

Opuściwszy Berlin, dalsze studia odbywał ś. p. Górski w Paryżu, gdzie bawił do roku 1854. Atmosfera, jaką zastał wśród kolegów paryskich, usposabiała do pracy poważnej, do badań gruntownych Górski znalazł blizkich i serdecznych towarzyszy: w Kalince, późniejszym autorze „Sejmu czteroletniego“, w Feliksie Sobańskim i Stanisławie Okęckim.

W Paryżu zainteresował się też Górski żywo nowym, tworzącym się dopiero podówczas kierunkiem liberalnym w katolicyzmie, i zapoznał się z jego inicjatorami, do których w pierwszej linii należeli: Ozanam, Montalembert, Augustyn Cochin, Lacordaire i Gratry.

Po powrocie do kraju poświęcił się Górski obowiązkom ziemiańskim. Jako współwłaściciel woli Pękoszewskiej i Tułowic, gospodarzył na tych majątkach, zajmując się jednocześnie gorliwie



sprawami rolnictwa krajowego wogóle, czy to jako członek rady powiatowej rawskiej, czy też jako członek Towarzystwa rolniczego, w którym prowadził protokoły walnych zebrań wespół z Władysławem Garbińskim i Franciszkiem Lutosławskim. Na tem stanowisku opracował zmarły kilka sprawozdań, dotyczących kwestyi ważnych, poddawanych obradom Towarzystwa. Na wyróżnienie zasługuje tu krytyczne oświetlenie dyskusyi nad pytaniem: „Jakie są przyczyny zbytecznej zmienności cen produktów rolniczych?“, oraz przedstawienie narad Towarzystwa nad tem: „Jakiemu systematowi urzędzeń osad włościańskich dać pierwszeństwo przy zawieraniu kontraktów wieczysto-dzierżawnych na zasadach ogłoszonych przepisów?“. Obok tego, w roku 1861, jako referent delegacyi, wyznaczonej do zaprojektowania zmian, potrzebnych w zastosowaniu instrukcyi skarbowych, klasyfikacyjnych i detaksacyjnych, przedstawił Górski wyczerpujące sprawozdanie z obrad i uchwał, powziętych w tej mierze.

W roku 1862, mianowany przez Wielopolskiego referendarzem stanu b. Rady Stanu Królestwa Polskiego, przerzucił się Górski od zajęć rolniczych do biurowych. Wkrótce jednak, zmuszony okolicznościami do opuszczenia służby publicznej, powrócił na rolę, gospodarując początkowo na Woli Pękoszewskiej, następnie w Motkowicach, majątku własnym w powiecie Pińczowskim.

Nie sądzone mu jednak było w zaciszu domowem i w pracy na zagonie ziemi ojczystej życie spędzić. Ruch ekonomiczny, tak znamienny dla początków siódmego dziesięciolecia wieku ubiegłego — znów go na szerszą powołał arenę. W kraju powstawały jedna za drugą liczne instytucye przemysłowe, handlowe, kredytowe i społeczne. Wśród tych ostatnich jedno z poważniejszych miejsc zajęło Towarzystwo ubezpieczeń od ognia, którego istnienie i rozwój, tak później pomyślny, od samego początku niemal związać się miały z imieniem Górskiego.

Powołany do Warszawy przez Leopolda Kronenberga, z końcem roku 1872 objął Górski, po ustąpieniu pierwotnego dyrektora, Niemca, Ludwika Metza, zarząd tej instytucyi, i kierował nią do ostatnich dni życia, doprowadziwszy do zupełnego rozkwitu.

Światły, niezwykle inteligentny, wytrawny w sądzie, posiadający gruntowną wiedzę teoretyczną, zdobywał Górski latami praktykę, która go uczyniła w końcu jedynym i niezastąpionym wprost specjalistą w danej dziedzinie.

I tu jednak nie zasklepił się w pracy jednostronnej, nie poprzestał jedynie tylko na pełnieniu obowiązków zarządzającego wielką instytucją ubezpieczeń.

Zawsze czuły na hasło pracy dla dobra ogółu, szedł Górski chętnie wszędzie, gdzie się pole do takiej pracy otwierało, gdzie go wzywano, poszukiwano, ceniono — nie jako firmę, ale jako siłę umysłową i moralną, niezbędną w radzie, pożądaną w inicjatywie.

Nie pozostawił odłogiem nawet pracy publicystycznej. Będąc jeszcze studentem uniwersytetu berlińskiego, pisywał stamtąd udatne korespondencye i artykuły głębsze do „Przeglądu Poznańskiego“. W Paryżu należał do składu redakcyi wydawanych tam podówczas „Wiadomości Polskich“. W Warszawie wreszcie, wspólnie z Feliksem Sobańskim i hr. Ludwikiem Krasińskim, stworzył dziennik polityczny, „Kronikę“, a następnie brał udział w wydawnictwach: „Biblioteki Warszawskiej“, „Kroniki rodzinnej“ i „Niwy“, do której redakcyi należał, jako członek stały od roku 1876 do roku 1887. Jemu też zawdzięcza istnienie swoje „Słowo“, którego był inicjatorem i duszą, nie szczędząc nigdy wskazówek, rad i opieki materyjalnej temu pismu które postawił na straży swoich dążeń i ideałów.

Dążenia te i ideały zmarłego scharakteryzował w pięknej mowie pogrzebowej p. Władysław Andrychiewicz.

Obdarzony szczególnym darem zjednywania sobie ludzi, — mówił on, — ś. p. Konstanty umiał ich też pozyskiwać dla swoich przekonań. Tych ostatnich bronił zawsze ze szczerym zapalem, używając w dyskusyi iście wytwornej formy. Pod tym względem był on mistrzem, trudnym do naśladowania, a każda sprawa dobra miała w nim chętnego i umiejącego rzecznika.

W jednej z rozpraw publicystycznych, jakich, niestety, wydał oddzielnie zaledwie kilka, i to pod przybranem nazwiskiem: K. A. Zagóry — ubolewa nad rozwieleniem się w świecie militarystyki, i mówi o potrzebie wydoskonalenia się stosunków społecznych. W pracy tej, zatytułowanej: „Europa krzyżacka“, na kilka lat naprzód przewidział i przepowiedział późniejsze ugrupowanie się stosunków politycznych; to też dziś, kiedy stoimy u grobu ś. p. Konstantego, nie bez interesu może będą słowa jego, wypowiedziane, w tej pracy o przyszłych dziejach ludzkości:

„Spodziewać się należy, — czytamy tam, — że kierunek pozytywny w nauce w badaniach swych ekonomicznych i społecznych, przyczynić się może do zgodniejszego z prawdą zapatrywania się na życie, ustrój i obowiązki społeczne“.

„Przyszłość należeć będzie do ulepszeń społecznych, o ile oprą się one na gruncie miłości, sprawiedliwości i wykonania chrześcijańskiego,



a przeprowadzone zostaną nie wyłącznie przez państwo, lecz połączonemi siłami Kościoła, społeczeństwa, państw, stowarzyszeń i dusz pojedynczych, miłością Boga, oraz bliźniego przejętych“.

Taką widział przyszłość, o takiej marzył, taką pieścił w czystej swojej duszy...

To były jego idealy.

Do dni ostatnich widzieliśmy i ś. p. Górskiego czynnym na zajmowanych stanowiskach i kierującym sprawami powierzonej jego pieczy instytucji — nawet na łożu śmiertelnem. Chory, zmęczony, dźwigający na sobie brzemień lat, strawionych w pracy, rozbity i zgnębiony bolesnem przejściem, które dotknęło jego rodzinę przez śmierć w roku 1896 ukochanej córki, ś. p. Zofii, siłą swojej hartownej i mocnej woli dźwigał się jeszcze do zajęć, przyjmował w domu urzędników Towarzystwa ubezpieczeń i z nimi załatwiał sprawy ważniejsze, wymagające decyzji jego, sprawy, których nikt nie obejmował i nie wyczuwał lepiej od niego — w najdalej idących skutkach.

Towarzystwo ubezpieczeń od ognia było umiłowaną instytucją zmarłego. Rozwinął on je i umocnił przedewszystkiem, a potem dopiero rozszerzył swoją działalność, otworzył więc „Przezorność“, Towarzystwo ubezpieczeń na życie i od nieszczęśliwych wypadków, powołał do bytu grupy gubernialnych ubezpieczeń rolnych i przyłożył ręki do zawiązania Towarzystwa ubezpieczeń od klęsk gradowych, „Ceres“, którego ustawa, świeżo zatwierdzona, w znacznej mierze jego wskazówkom zawdzięcza gruntowną swoją redakcyę.

Jako czynny członek Rady Zarządzającej Towarzystwa drogi żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej i Rady Banku Handlowego, w dziejach obydwu tych instytucji dobrze zapisał Górski imię swoje.

Skromny i pracowity, głęboko religijny i prawdziwy chrześcjanin w życiu, żadnych holdów i żadnych wyróżnień nigdy ś. p. Konstanty nie pragnął. Nie przyjął też w roku 1897, kiedy obchodzono dwudziestopięciolecie pracy jego na stanowisku prezesa Zarządu Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, żadnych innych dowodów uznania, czci i wdzięczności ze strony współpracowników i podwładnych, prócz medalu pamiątkowego, wykonanego artystycznie przez Piusa Welonskiego, a noszącego napis: *Rozumem prowadził, sercem zdobył sercem*. I te słowa może najlepiej go charakteryzują.

Umarł w dniu 1 marca roku bieżącego w 74-tym roku życia, pozostawiając po sobie jasne wspomnienia, jako człowiek i jako obywatel.

Cześć jego pracy wytrwałej, zasodom niewzruszonym i cnocie, cześć jego pożytecznej dla kraju działalności!

---

Jak wspomnieliśmy powyżej, ostatnią sprawą, która zabiegom i pracy ś. p. Konstantego Górskiego zawdzięcza pomyślne załatwienie swoje, jest powołanie do bytu Towarzystwa „Ceres”.

Kłęski gradowe, kraj nasz nawiedzające, dla ziemiaństwa są bardzo dotkliwe, tem dotkliwsze, im cięższe są dzisiaj warunki pracy na roli. Wobec tego oddawna już szukano zabezpieczenia od nich. Nie mieliśmy jednak w kraju instytucji, a d l o c stworzonej, mimo niejednokrotnych w tym kierunku usiłowań i starań. Z musu posilkowano się początkowo towarzystwami zagranicznymi, co, ściśle rzecz biorąc, przeciwne było prawu, później zaś — agenturą warszawską Moskiewskiego „Towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia ziemiopłodów od gradobicia”. Obecnie dopiero zyskujemy Towarzystwo własne, które, z mocy świeżo zatwierdzonej przez władze ustawy, wchodzi w życie.

Ustrój nowej instytucji całkowicie oparty został na zasadzie w z a j e m n o ś c i, która tłumaczy się solidarną odpowiedzialnością wszystkich członków.

Działalność Towarzystwa obejmuje przedewszystkiem gubernie Królestwa Polskiego, w następstwie jednak może się rozciągnąć i na niektóre inne gubernie Cesarstwa, nie inaczej atoli; jak po wyjednanii na to w każdym poszczególnym wypadku zezwolenia p. ministra spraw wewnętrznych.

Siedzibą Zarządu Towarzystwa jest Warszawa. W innych miejscowościach Królestwa mogą być zakładane oddziały i agentury.

Każdy członek Towarzystwa odpowiada za wszystkie straty, przez instytucję poniesione, aż do chwili wystąpienia z niej. Członkowie opłacają premia, według odpowiednich taryf ustalone dla każ-



dego gatunku ziemiopłodów. Prócz tych premii stałych mogą być zgromadzone składki dodatkowe na straty nadzwyczajne, oraz składki wyjątkowe, ustanowione przez zebranie ogólne na pokrycie kapitału obrotowego wrazie jego wyczerpania.

W ogólnych zebraniach członkowie nie biorą udziału bezpośrednio, ale pośrednio, przez wybieranych pełnomocników. Wybór tych ostatnich stanowi ciekawą stronę ustawy nowej instytucji. Dokonywa się on na zasadach następujących: przed upływem każdego trzyletniego okresu (najpóźniej w listopadzie) sporządza się dwie listy: założycieli i członków zwyczajnych. Listę założycieli sporządza dyrekcya aż do czasu umorzenia funduszu założycielskiego. Listy powyższe będą nadsyłane przez dyrekcję wszystkim członkom, celem wyboru z nich za pomocą piśmiennej odezwy przedstawicieli do udziału w rozstrzygnięciu spraw bieżących. Z pomiędzy założycieli, na których oddano głosy, z prawa decydowania na ogólnych zebraniach korzystać może tylko 12, posiadających największą liczbę głosów. Przedstawiciele, wybierani z pomiędzy członków zwyczajnych, powoływani są po dwóch z każdego powiatu i pełnią obowiązki tak zwanych inspektorów Towarzystwa. Przedstawiciele wybierają ze swej strony, za pomocą list imiennych i odezwo do rady, z pomiędzy siebie pełnomocników i kandydatów na zebranie ogólne: po jednym pełnomocniku i po dwóch kandydatów na 30 — 50 członków, zamieszkałych w każdej gubernii, po dwóch pełnomocników i czterech kandydatów na 51 — 100 członków, wreszcie po trzech pełnomocników i sześciu kandydatów na 101 i więcej członków, gdzie zaś liczba członków nie dochodzi 30, tam dyrekcya, według wskazówek Rady, złączy z przedstawicielami członków Towarzystwa. W ten sposób złożone zgromadzenia ogólne wybierają członków rady, zatwierdzają taryfy i warunki polisowe, ustanawiają etat, podział zysków i wysokość składek dodatkowych. Pierwsi założyciele mają jednak także głos na ogólnych zebraniach aż do czasu umorzenia sumy 100,000 rubli, złożonej na kapitał obrotowy, i ze stosownem zmniejszeniem liczby głosów w miarę umarzania się tej sumy.

Zwierzchniczemi organami Towarzystwa są — dyrekcya i rada, złożona z siedmiu członków, wybieranych przez zgromadzenie ogólne na lat pięć.

Co do zasad rachunkowych, ustawa podaje te same, jakie obowiązują wszystkie inne wzajemne towarzystwa ubezpieczeń.

Co się zaś tyczy porządku biurowości i korespondencji, to stosowne przepisy orzekają: Towarzystwo porozumiewa się z władzami, instytucjami i osobami rządowemi w języku rosyjskim, na pytania,

wystosowane po rosyjsku, odpowiadać winno po rosyjsku, cała biurowość, nie wyłączając protokołów posiedzeń i dzienników buchalteryi, ma być prowadzona tylko w jednym języku rosyjskim; sprawozdania natomiast wolno ogłaszać także i w tłumaczeniu na język polski, pod warunkiem wszakże, że przekład polski będzie dany równoległe (en regard) z tekstem rosyjskim. Porozumienie się Towarzystwa z innemi towarzystwami i osobami prywatnemi dozwolone jest wreszcie w języku polskim (§ 24).

Tak się przedstawiają zasadnicze przepisy ustawy Towarzystwa „Ceres“, tej tak bardzo pożądanej przez rolników i dla ich dobra niezbędnej instytucyi.

S. p. Górskiemu zawdzięczać należy jej powstanie i ten szeroki bezwzględny prawie samorząd, oparty na zasadach reprezentacji a w statutach utrzymany — rozwój zaś i rozkwit Towarzystwa zawisł już całkowicie od tych, co w niem rządzić będą, od samych rolników.

---

Warszawa pozyskać ma nowy gmach teatralny. Oto zjawił się projekt budowy nowego teatru „Rozmaitości“, projekt, który posiada wszelkie warunki urzeczywistnienia.

Prezes teatrów warszawskich, załatwiwszy sprawę domu dochodowego, który nietylko pod względem materyalnym szczerze się opłaci, ale pomieści zarazem pralnię, bibliotekę nut, skład dekoracji, skład materyałów kosztownych, salę dla szkoły baletowej itd., a więc liczne potrzeby teatru zaspokoi, rozpoczął starania o zbudowanie nowego gmachu teatralnego na terytoryum pałacu Brühlowskiego. Starania te uwieńczone zostały obecnie skutkiem pomyslnym.

Nowy gmach stanąć ma w tem miejscu, gdzie dawniej znajdowały się kuchnie i mieszkania oficyalistów, a dziś są mieszkania, zajęte przez niektórych urzędników kancelaryi warszawskiego generał-gubernatora.

Według projektu sytuacyjnego nowego teatru, tak, jak go podano w „Kuryerze Warszawskim“, główny korpus pałacu Brühlowskiego, będący obecnie siedzibą centralnej stacyi telegraficznej, pozostanie nietkniętym. Natomiast oficyny piętrowe, zacieśniające tak bar-



dzo ulicę Wierzbową, będą zwalone, na ich zaś miejscu powstanie ulica, biegnąca w półkole pomiędzy pałacem, a projektowanym nowym gmachem teatru, kończąca się przy ul. Kotzebuego w pobliżu bramy do ogrodu Saskiego.

Główny front teatru zwrócony będzie ku ogrodowi Saskiemu, sąsiadując z pałacem saskim.

Sam gmach nowego teatru stanąć ma pośrodku padwórza pałacowego i oprze się tyłami o projektowaną od ul. Wierzbowej czteropiętrową oficynę, w której na dole będą urządzone sklepy eleganckie, na piętrach zaś lokale prywatne, oraz mieszkania dla urzędników kancelaryi general-gubernatora.

Oczywiście—nie jest to projekt ostateczny i mogą w nim powstać jeszcze te lub inne zmiany, szczegółowe więc roztrząsanie jego złych i dobrych stron byłoby dziś przedwczesne.

Mimowoli jednak nasuwa się uwaga, dla czego tworzy się u nas specjalna dzielnica teatralna? dla czego wszystkie teatry zgrupowane być mają w jednym prawie miejscu, z pominięciem innych stron miasta, zabudowanych i zamieszkanych gęsto, tętniących życiem i gwarem właściwego śródmieścia? Teatr Wielki, nowy teatr „Rozmaitości“, teatr „Nowości“ (Eldorado), teatr „Nowy“ na Królewskiej, teatr „Letni“ w Ogrodzie Saskim—wszystko to będzie z sobą sąsiadowało, jak dziś sąsiaduje, wywołując w porze zbliżającego się przedstawienia natłok powozów i zupełne zatamowanie ruchu kołowego w ulicach, dążących ku placowi Teatralnemu. Miasto tymczasem rośnie ciągle, przestrzenie w niem się zwiększają, życie jego mieszkańców staje się „dzielnicowem“, jak to zwykle bywa w wielkich miastach. Dzielnicowość ta każe nam się upominać o teatr z tej strony ogrodu Saskiego, i dziwna dla czego nie myśli o tem zarząd teatrów warszawskich, dla czego, zamierzając budowę nowego teatru, nie poczynił on starań, nie rozważył nawet możliwości wybudowania go na placu Wareckim, na terytorjum dzisiejszego szpitala Dzieciątka Jezus, lub jeszcze dalej ku południowi?

Teatr w tej dzielnicy byłby bardzo pożądanym i niewątpliwie dojdzie do tego, że go kiedyś zbudować będzie potrzeba; dla czego jednak sprawy tej nie przyspieszyć i potrzeb nie przewidywać.

Dziś zapóźno już się o to upominać, skoro miejsce pod budowę nowego teatru zostało wybrane; ale myśleć o tem mogą jeszcze kapitałiści prywatni, dla których wzniesienie gmachu teatralnego w dobrym

punkcie, w połączeniu z domem dochodowym, było-by doskonałą lokatą kapitału.

Wracamy jednak do teatru „Rozmaitości“. Obecny projekt budowy jego zyskał gorącego zwolennika w ordynacie hr. Maurycem Zamoyskim, który oświadczył się z gotowością ofiarowania na niski procent 1,300,000 rubli, aby ułatwić i przyspieszyć budowę. Obok tego, pragnąc, aby gmach nowy nietylko odpowiadał nowoczesnym wymaganiom bezpieczeństwa i wygody, ale był zarazem dziełem sztuki i upiększył miasto, hr. Zamoyski przeznaczył 5,000 rubli na nagrody konkursu architektonicznego, który w swoim czasie ma być ogłoszony. Zostało to już urzędownie zakomunikowane prezesowi teatrów.

Niewątpliwie starszemu pokoleniu mieszkańców Warszawy przykro będzie rozstawać się z dzisiejszą salą „Rozmaitości“, w której przeżyło ono tyle chwil wesołych i wzniosłych, słuchając przemawiających ze sceny najlepszych artystów polskich, w ciągu 65 lat, wśród których błyszcza niezagaszem nigdy światłem imiona Królikowskiego i Żółkowskich; ale — przyznać trzeba, że dawno już była pora na te przenosiny. Mimo tradycyi bowiem i miłej atmosfery swojej, teatr „Rozmaitości“ tak już dziś jest nieeuropejskim, tak się przedstawia szczupło i brudno, że bez względu na punkt projektowanego teatru — tylko cieszyć się można z nowej jego siedziby, która, oby jak najrychlej powstała — dla dobra sztuki i publiczności.

Jak wiadomo, artyści teatrów warszawskich powzięli myśl szlachetną stworzenia schroniska, w którym znaleźli-by przytułek na starość zmęczeni pracą zawodową weterani sztuki. Stała się jednak rzecz dziwna. Za kandydatów do przyszłego schroniska uznano tylko artystów teatrów rządowych i tylko solistów, pomijając zupełnie chóry, orkiestrę i ten właściwy proletaryat aktorski, koczujący po kraju w trupach prowincjonalnych, dla którego przedewszystkiem potrzeba opieki, i który, jak tego liczne dowiodły przykłady — najczęściej woła o pomoc.

Było w tej pierwszej uchwale zgromadzenia organizacyjnego jakieś przeoczenie istotnych zadań nowej instytucyi, niewłaściwe zwięzienie zakresu jej działania, stronnicze stanowisko inicjatorów lepiej sytuowanych i płatnych wobec rzeszy cierpiącej nieraz głód, chłód i niedostatek, z nędzą graniczący.

Dobrze też uczyniła prasa warszawska, zwracając na tę niewłaściwość uwagę i nawołując w imię sprawiedliwości do zmiany uchwały pierwotnej, która to zmiana zapewne już nastąpiła.



Upomnieli się o swoje prawa aktorowie prowincjonalni.

„Co stanie się z nami—wołają oni w „Kuryerze Warszawskim,” —przez usta pp. Jadwigi Wiśniewskiej, Romana Józefowicza i Wacława Rybickiego,—co się stanie z nami, ubogimi pracownikami scen prowincjonalnych, którzy w ciągłej walce o chleb powszedni i w ciągłych wędrowniach po kraju, narażeni jesteśmy na utratę zdrowia i sił, nie mogąc z nadzwyczaj skromnych warunków materialnych nic zaoszczędzić na czarną godzinę?”

I prawda. Artyści teatrów rządowych pobierają pensye stałe i niejeden z nich ma możność nietylko przyzwyczajonego życia, ale odłożenia nawet choćby niewielkiej sumki na wypadek niezdolności do pracy; artyści prowincjonalni natomiast, jak ptaki niebieskie, żyją z dnia na dzień i życie to jest aż nadto dobrze znane, aby je tu charakteryzować.

Warunki ich pracy sprzyjają demoralizacyi i nieraz jednostka, zmęczona takim życiem, stacza się na dno i miesza z mętami społecznymi; to jednak nie upoważnia do odmówienia pomocy i prawa do korzystania z niej artystom prowincjonalnym wogóle, wśród których nieraz jest i talent wybitny, i rzetelna praca dla dobra sztuki. Pominąwszy jednak to stanowisko obywatelskie, prosty obowiązek pomagania biedniejszym powinien być otworzyć podwoje „Schroniska“ dla wszystkich pracowników teatralnych.

---

„Przegląd Katolicki“ niedawno temu zamieścił kilka szczerze wypowiedzianych uwag o braku wykształcenia estetycznego wśród duchowieństwa i wynikającym stąd wandalizmie. Autorem uwag tych jest ks. biskup Niedziałkowski.

Wywody swoje czcigodny autor poparł kilku ciekawymi przykładami.

„Byłem jeszcze bardzo młodym kapłanem—opowiada ks. biskup —kiedy jeden ze starszych księży zabrał się do restauracyi obrazów naszego kościoła. Długim szeregiem leżały one wzdłuż korytarza, rozłożone na stołach—niby ofiary, przeznaczone na tortury, a koło

nich chodził znany w miasteczku malarz szyldów, wylewał na nie obficie terpentynę, a potem—czego ona nie wygryzła—wycierał pomekszem, następnie pędzlem, zaprawionym do malowania rondli, kielbas, bułek i krzeseł na szyldach, przemaalowywał wszystkie obrazy. He ich wtenczas przepadło, już dobrze nie pamiętam, powiem tylko, iż był wśród nich oryginał Caravaggia, pochodzący z petersburskiego Ermitażu; obraz przedstawiał biczowanie. Kto wie, czem jest Caravaggio i jak rzadkie są jego obrazy, może sobie wyobrazić, jaką przysługę oddano sztuce, przy pomocy owego szyldowego artysty. Później nieszczęśliwy ten obraz przez równie znającego się na pięknie zawiadowcę kościoła trzymany był w nędznym składzie, oblewany deszczem i śniegiem, aż wreszcie udało mi się wydostać go, oddać do restauratora, który zmył pomalowanie—i obraz został uratowany, straciwszy może tylko delikatniejsze laserowania i półtony.

„W innym miejscu, w ogromnym po-jezuickim gmachu widywałem, od stu lat po wydaleniu jezuitów wiszące na ścianach portrety ich przełożonych, malowane na drzewie. Po dłuższej niebytności, zwiedzając tę miejscowość i opatrując różne zabytki i ciekawości, zobaczyłem jeden z tych portretów stojący pod ścianą. Gdzież reszta?—pytam proboszcza.—A niema, odpowiada mi—mój poprzednik, ponieważ drzewo było suche i dobre—kazał sobie porobić z portretów stolki. Ten sam poprzednik sprzedał albę ze starych brabanckich koronek za 120 rb., a tak się ucieszył, że doskonały interes zrobił, że handlarzowi dodał darmo stary krucyfiks, duży zaś obraz św. Franciszka, oryginał Battoniego, tak gdzieś zawieruszył, że dotąd na ślad jego trafić nie można itd.“

Nie przytaczamy tu wszystkiego, co mówi ks. Niedziałkowski, i te bowiem przykłady rzucają aż nadto jaskrawe światło na stosunek duchowieństwa prowincjonalnego do pomnikowej sztuki kościelnej i sztuki wogóle.

A przecież nie szczędziła ofiar wysoce kulturalna szlachta polska i darzyła kościoły bogatemi i wspaniałemi dziełami. I dłóto, i pędzel włoski pracowały nieraz ku ozdobieniu świątyni polskiej, gdzieś w zapadłym kącie nawet. Niejeden gobelin czasu wojny zdobyty na Turkach, zawisał następnie na ścianach kościelnych, niejeden kobierzec z namiotu bogatego beja rozpościerał się na stopniach ołtarza, niejeden puhar misternej roboty szedł na potrzeby służby Pańskiej. Było z czego dawać, więc dary płynęły obficie, i nie tak dawne to dzieje. Tymczasem pamięątek, nie już z odleglejszych epok, ale z końca XVII i z pierwszej połowy XVIII wieku po kościołach naszych znajduje się mało. Czas zrobił tu swoje, wiele rzeczy zginęło, prze-



padło, w proch się rozsypało, ale wiele też zawdzięcza zagładę swoją nietyle karygodnemu niedbalstwu, ile właśnie zupełnej niewiedzy, nieznaomości rzeczy i niezdawaniu sobie sprawy z tego, co jest przedmiotem wartościowym, a co nie.

Ks. biskup Niedziałkowski ma rację: księża nasi nie posiadają nawet elementarnego wykształcenia estetycznego. To ich usprawiedliwia, ale nie uniewinnia ani ich, ani społeczeństwa.

Jeżeli w seminariach naszych jest za dużo pracy, za dużo nauk innych, wyłączających możliwość wprowadzenia wykładów estetyki, zwłaszcza, że mają one do czynienia z młodzieżą, nieposiadającą nawet średniego wykształcenia (4—6 klas gimnazjalnych), to po ukończeniu seminarium, młodzi księża, osiągając ten stopień dojrzałości umysłowej, jaki im nauka, pobierana w okresie pięcioletnim, zapewnia, sami powinni odczuwać niedostateczność swego wykształcenia i rozszerzyć je czytaniem i studyowaniem dzieł odpowiednich. Czas na to chyba się znajdzie w najruchliwszej nawet parafii.

Tyle duchowieństwo.

A społeczeństwo? Oddawna powinno ono już było uczynić zadość palącej potrzebie i zbiorowemi siłami stworzyć instytucję, która roztoczyła-by baczną, sumienną i fachową opiekę nad pomnikami i zabytkami sztuki, która-by zajęła się zgromadzeniem danych co do ilości i jakości zabytków tych, rozproszonych po kraju, która-by je następnie konserwować mogła i bronić od zetknięcia z ręką profanów. Co zaś do sztuki kościelnej, to w porozumieniu z duchowieństwem, i ręka w rękę z niem idąc, nie trudno było-by to nawet uczynić.

Tak, jak zajęto się w roku zeszłym konserwacją ruin Czerska w myśl tego, do czego kiedyś w piśmie naszym nawoływał p. Maryan Wawrzyniecki, odnośnie do zabytków architektonicznych, w spełnieniu, zresztą, prostego obowiązku cywilizacyjnego, sprawą tą należało-by się zająć. Powinniśmy wiedzieć przynajmniej, czy i gdzie jest jeszcze u nas jaki Caravaggio, lub Battoni.

A może wie już o tem nasze Towarzystwo artystyczne?

---

Dwaj profesorowie byłej Szkoły Głównej: ś. p. Walenty Dutkiewicz i ś. p. Józef Kasznica, pierwszą głęboką wiedzą prawniczą, drugi— obok wiedzy—sercem dobrego człowieka, zdobyli sobie w swoim czasie przywiązanie i szacunek młodzieży.

Wyrazem uczuć tych była obecnie, po latach z górą trzydziestu od chwili przekształcenia Szkoły Głównej na uniwersytet, uroczystość poświęcenia dwóch tablic pamiątkowych, które, ku uczczeniu zasług mężów tych, ufundowali w kościele po-pijarskim wdzięczni uczniowie.

Uroczystość odbyła się dnia 9 marca przy liczny udziałem prawników warszawskich, do kilku należących pokoleń.

Oba pomniki umieszczone są na jednym poziomie drugiego filaru lewej nawy kościoła, w ten sposób, że jeden zwrócony jest ku wejściu, drugi ku ołtarzowi. Wykuto je z brunatnego marmuru chęcińskiego w kształcie tablic. Nad tablicami widnieją, malowane na blasze, przez artystę-malarza, L. Illicza, portrety profesorów. Napisy zaś na tablicach głoszą:

Na pierwszej:

Ś. p.

Walentemu Dutkiewiczowi,  
profesorowi kursów prawnych,  
dziekanowi wydziału prawa i  
administracji Szkoły Głównej  
w Warszawie.

Znakomitemu badaczowi,  
znawcy prawa hipotecznego,  
tudzież dawnego prawa polskiego.  
Urodzonemu 5 lutego 1798 roku.  
Zmarłemu dnia 22 kwietnia 1882 roku.  
Wdzięczni uczniowie.



Na drugiej:

Ś. p.

Józefowi Kasznicy,  
 Dziekanowi wydziału prawa i  
 administracyi Szkoły Głównej  
 i uniwersytetu w Warszawie,  
 głębokiemu myślicielowi  
 i przyjacielowi młodzieży,  
 urodzonemu 20 maja 1834 roku,  
 zmarłemu 7 października 1887 roku.  
 Wdzięczni uczniowie.

W tym samym czasie, kiedy sztuki plastyczne zdobyły sobie nareszcie w Warszawie własną siedzibę w nowym gmachu, ozdobionym na frontonie krótkim, lecz wiele mówiącym napisem: „Artibus“, dokonywał reszty dni, złożony ciężką, nieuleczalną niemocą, artysta, który, nie materyjalne wprawdzie i nie pod budowlę, ale pod instytucję samą, jako inicjator, duchowe założył fundamenty. Nie było danem Wojciechowi Gersonowi oglądać gmachu; dożył jednak rozkwitu instytucyi i przed śmiercią, przebiegłszy myślą jej losy, mógł powiedzieć sobie ze spokojnem sumieniem dzielnego pracownika, że ten rozkwit, wyrażony symbolicznie w zmianie nazwy instytucyi, jest w lwiej części jego dziełem. Mówi się dziś „pałac sztuki“; dawniej, przed kilkudziesięciu laty, mówiło się: „Towarzystwo zachęty sztuk pięknych“; otóż ta *zachęta* w dobie, gdy sztuka polska prawie nie istniała, była treścią, duszą niezmordowanej działalności Gersona. Obecnie „zachęta“ zrobiła swoje; sztuka jest — i właśnie w tej chwili uleciała dusza, jakby w poczuciu spełnionego zadania.

Czy to zadanie oceniano jak należy za życia Gersona? Zdaje się, że nie, i że, zwykłą rzeczy kolejną, śmierć dopiero wymierzy mu sprawiedliwość, pogłębiając przed patrzącymi perspektywę i wydobywając z oddaleń przeszłości takie rysy, z których złoży się prawdziwa fizyognomia artysty i obywatela.

Dwa z nich uwydatnił był alegorycznie sam Gerson, zdo-  
biąc w 1868 roku malowidłami enkaustycznymi strop sali wysta-  
wowej w tymczasowym lokalu Towarzystwa w galerii po-Bernardyń-  
skiej. Wtedy-to artysta przedstawił pędzlem stosunek skrajnych sił,  
wytwarzających rozkwit sztuk, w postaciach, wyobrażających *zapał*  
i *równowagę*; pierwszy pośredniczy między poezją i sztukami, druga  
między sztukami a nauką.

Zapał i równowaga! W tych dwóch wyrazach mieścił się cały  
artysta: można-by powiedzieć, że siła działalności Gersona była wy-  
nikiem ciągłego zetknięcia tych przeciwległych biegunów twórczości,  
płynącej u Gersona prądem stałym, nieprzerwanym a jednostajnym.  
Który z tych dwu biegunów był dla artysty dodatnim, który ujem-  
nym? Na to pytanie odpowiedzieć by można rozmaicie, stosownie do  
panujących w danych chwilach kierunków w sztuce, do sposobów  
zresztą pojmowania zapału i równowagi; na odpowiedź zaś może  
w tej chwili nie pora, a w każdym razie nie miejsce w kronice bie-  
żącej.

To tylko zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nerwowego, go-  
rączkowego zapału artystów romantyków nie odczuwał Gerson ni-  
gdy; nie widać go ani w pomysłach artysty, ani w ich wykonaniu,  
choć młodzieńcze jego lata przypadają na najświetniejszą epokę ro-  
mantyizmu w sztuce, choć i później rozwijał się w atmosferze dziejo-  
wej dramatyczności, w której rozkwitły najpiękniejsze kwiaty histo-  
rycznego malarstwa. Zapał Gersona nie był nigdy niecierpliwem sza-  
motaniem się wybujałego indywidualizmu, lecz wyraził się raczej ja-  
ko pełna pogody miłość dla sztuki, upatrująca w niej dla artysty po-  
słannictwo społeczne i popychająca go przedewszystkiem na obywa-  
telskie tory. Wykonanie pomysłów pod wpływem tak skierowanego  
zapału nie miało w sobie nic gwałtownego, choć nie było pozbawione  
siły. Gerson, malując obrazy historyczne, mógł być dramatycznym,  
jak inni malarze nasi, tylko że dramat jego nie miał akademickiej po-  
wagi Siemiradzkiego, ani potężnej namiętności Matejki, ani deklama-  
cyjnego patosu Andriollego; dramat Gersona nie porywał, nie prze-  
rażał, ale zajmował i przekonywał.

Działo się to wszystko za sprawą owej równowagi, którą Ger-  
son przeciwstawił zapałowi, słusznie, jako wszechstronnie wykształ-  
cony artysta, obok nauk wyznaczając jej sąsiedztwo. Nie była jednak  
ta równowaga ową modną w swoim czasie między artystami i pisarza-  
mi przedmiotową obojętnością, obywającą się bez wewnętrznych, sub-  
iektywnych bodźców, a poprzestających na zewnętrznych, materyal-  
nych wrażeniach. Równowaga w twórczości Gersona — to po prostu  
rzadka a nader szczęśliwa harmonia składowych jej czynników, to



nie mniej ważna harmonia między artystą i człowiekiem, której dzieła Gersona zawdzięczały główną i zasadniczą swoją cechę, — *spokój*.

Przejdźmy całą skalę motywów artystycznych w obrazach Gersona. a przekonamy się, do jakiego stopnia spokój jest ich charakterystycznym znamieniem, jak w nich dramat nie bywa nigdy sensacyjnym, liryzm nie przechodzi w sentymentalność, charakterystyka nie potraça o przesadę, ani humor o karykaturę. Równowaga, spokój panuje w kompozycji Gersona, omijającej wyteżone sytuacje; w wyrazie fizyognomii, których piękność zawsze jest ludzką, a brzydota nigdy nie razi potwornością; w postawie i ruchu figur, przedstawionych w ten sposób, aby w nich tajemnice umiejętnego rysunku, niezwykle skrócenia, anatomiczne studia nie były w oczy z góry zamierzonymi efektami; w kolorycie zresztą, nieco przyćmionym, który nie jednal mu zwolenników między widzami. Dziwiono się stałości (niektórzy nazywali to uporem) artysty, zapominając, że malarz zazwyczaj tak oddaje naturę, jak ją widzi; że niezależnie od takiej, lub innej przyrodzonej właściwości wzroku, która jednemu zacieśnia perspektywiczne horyzonty, drugiemu blask kolorów przyćmiewa — rysunek i koloryt w dziełach poważnego artysty wyrażają stanowisko jego względem zadań sztuki; że owa ogólna równowaga, której ślady widzimy w pomysłach Gersona, w jego technice malarskiej występuje również w stosunku linii do barwy, a zatem w kolorycie, pozbawionym olśniewających efektów i miarkowanym tak, aby w całkowitem wrażeniu barwa nie pochłonięła linii.

Szukając w indywidualności Gersona źródła tej harmonii między zapałem a równowagą, między poetą a filozofem, między idealistą a realistą, między rysownikiem a kolorystą, możnaby łatwo przy pomocy hipotezy à la Taine dopatrzeć się jej we wpływach szczepowych, w odgłosach krwi dwu narodowości: francuskiej i niemieckiej, złagodzonych długoletniem, dobroczynnem działaniem polskiej tradycyi, polskiej atmosfery. Gerson urodził się w Warszawie (d. 1 lipca 1831 roku) z ojca Wojciecha Gersona, którego rodzina nawskroś francuska, wywodząca się od jednego z braci Jana Gersona, kanclerza uniwersytetu paryskiego (1428), przyszła z Francyi przez Szwajcaryę do Styrii, ażeby następnie osiąść w Galicyi, — i z matki Antoniny z Dietrichów, pochodzenia saskiego. Być może, iż atawizm mógłby wyjaśnić wiele stron i właściwości talentu Gersona, gdyby prawa, według których działa, lepiej nam były znane. Zamiast więc gubić się w ryzykownych przypuszczeniach i domniemaniach, bezpieczniej jest poprzestać na pewniku, który je wszystkie zawrzeć w sobie może: że równowagę w rozwoju talentu Gersona, harmonię i spokój dziełom je-

go dało zdrowie fizyczne i moralne; pierwsze podtrzymywało obcowanie z naturą ojczystego kraju, — drugie wzmacniała czysta i zaena atmosfera rodziny, która już dawno miała wszelkie prawo polską się nazywać.

Nie było też w dzieciennych latach Gersona tych nadzwyczajnych błysków, zawczasu zapowiadających, według świadectwa historyi znakomitych malarzy, przyszłego artystę; umysł i serce chłopca rozwijały się spokojnie, prawidłowo i bez wstrząśnień; nauki szkolne (w II-em gimnazjum filologicznem w Warszawie) poszły swoim trybem, a studia malarskie, rozpoczęte w 1845 roku w Szkole sztuk pięknych, wcześniej ujawniły dążenia do samodzielności. Przyłgnąwszy odrazu do Piwarskiego, który był prawdziwym kierownikiem młodzieży i istotnym pedagogiem w szkole, Gerson umiał stanąć niezależnie i krytycznie względem dobrego i doświadczonego pejzażysty Breslauera, zdolnego perspektywisty Zaleskiego, znanego portrecisty Kaniewskiego i wielce utalentowanego Hadziewicza. Od każdego z nich można było wiele skorzystać, ale teorię sztuki, pominiętą w szkole, tworzyć sobie musiał każdy na swoją rękę. Łatwo odgadnąć, jaką tu rolę odgrywała niewykształcona dowolność i fantazja, podniecona podmuchem wiejącego z za granicy romantycznego indywidualizmu.

Atmosfera, która owionęła Gersona w chwili wejścia do Szkoły sztuk pięknych, przesiąknięta jeszcze była tchnieniem cyganeryi, idącej wtedy ręką w rękę z literacką *bohème*. Panowało tam nieuctwo i próżniactwo; ale wogóle młodzież, zapełniająca podówczas szkołę, nie była złą; szaleństwa jej nawet, po poprzedniej generacji oddziedziczone, jakkolwiek podcięły parę zdolnych organizacyi artystycznych, miały bardziej charakter fanaberyi niedouczonych głów, aniżeli zgubnej zasady postępowania. Nie uległ tej fanaberyi Gerson, dzięki wpływom rodzinnym, dzięki warunkom moralnym i materialnym, które tak się odrazu dla młodego chłopca ułożyły, że go zmusiły do poważnego na życie i na swój zawód poglądu. Obojętny na drwiny kolegów, zabrał się z zapalem do perspektywy, do anatomii, do historyi sztuki. W 17-tym roku szedł już przez życie o własnych siłach, — tak, że wstąpiwszy do szkoły dzieckiem, opuścił ją dojrzałym młodzieńcem. Koledzy nazywali go „Katonem bez namiętności“, — Wójcicki przyrównał go do „okrętu bez żagla“. W istocie, namiętności, za której głosem idąc, artysta, według ówczesnych pojęć, w mętach życia miał znajdować najobfitsze źródło natchnienia, takiej namiętności nie uczuwał młody malarz; ale żagle na burzliwych i zdradnych falach artystycznego zawodu była dlań wielka miłość sztuki i nieodstępujące go nigdy poczucie prawdy.



Na podstawie tego poczucia, którego źródłem była szczęśliwa równowaga między temperamentem, ujarzmionym pracą, a myślą, kształconą studjami, rozwijały się pojęcia Gersona o stosunku artysty do sztuki i do świata. Odbywał się ów rozwój drogą reakcyi przeciw pojęciom, będącym podówczas w obiegu. „Katon bez namiętności“ nie chciał się jednak pogodzić z poglądami, rozwiniętymi w „Sfinksie“ przez Kraszewskiego, który jedynie w ascetyzmie życia klasztornego widział wtedy atmosferę, odpowiedną do tworzenia dzieł idealnych; z drugiej znów strony młodzieniec, rozgrzany na całe życie ciepłem rodzinnego ogniska, oburzał się na gorączkowy mistycyzm bohatera „Poganki“ Żmichowskiej, który najszlachetniejsze uczucia poświęcał w ofierze sztuce, jakby krwiożerczemu Molochowi. Młody malarz tak głęboko wniknął w to, czem artysta być nie powinien, że z tej negacyi trafił wprost na to, czem mu być należy.

Jak na rozwój ducha Gersona silnie dwie książki wpłynęły, tak w wyrobieniu jego techniki malarskiej, w wykształceniu jego pojęć estetycznych, dwie daty ważną odgrywają rolę: pobyt w Petersburgu (1853—55 na stypendyum Królestwa), skąd do kraju wrócił z medalem srebrnym, i podróż za granicę przez Kraków, Drezno, Lipsk, Strasburg do Paryża, gdzie w ciągu piętnastu miesięcy (1856—1858) do pracowni Leona Cogneta uczęszczał. W akademii petersburskiej usilną pracą wydoskonalił ścisłość rysowniczą i sztukę malowania, w Paryżu studia u Cognet'a były jakby sumiennym obrachunkiem z owocami kilkoletniej nauki, stwierdzeniem zdobytej już artystycznej samodzielności. Oglądanie arcydzieł Ermitażu, galerji drezdeńskiej, Luwru, Cluny, przyczyniło się nietylko do otworzenia przed okiem artysty szerszych widnokręgów estetycznych, ale do wzmocnienia w nim popędu do wszechstronności, który zresztą wcześniej już przebijał się w pracy Gersona. Młody malarz rozpoczął wprawdzie od krajobrazów, niewątpliwie dla tego, że w podróżach, odbywanych pieszko pó kraju, podczas szkolnych wakacyi, prawda z konieczności przedstawiła mu się najprzód w widokach natury i w charakterystyce ludzi, z naturą zblizonych. Specyałności malarskie nazywając *optolkami*, nie dał się artysta „zamknąć wraz z bydelkiem na krajobrazowem pastwisku“. Malarstwo było dlań już wtedy sztuką jedną, nierozdzielną, językiem plastycznym, którym artysta ma prawo wypowiadać myśli i uczucia swoje w takiej formie, w jakiej je oczom jego wyobraźnia przedstawi. Nie zaimponował mu również słynny podówczas i gorąco dyskutowany w „Café de la Régence“ frazes Juliana Klaczki, utrzymującego, że pieniądze krajowe, wydawane na kształcenie artystów za granicą, są groszem straconym, który lepiej był-by użytym na przygotowywanie młodzieży do innych zawo-

dów. Wracając z Francji do kraju (1858), jedzie już Gerson z myślą obalenia tego paradoksu i z postanowieniem natychmiastowego zbadania, kto to jest ów cudzoziemiec Zmyoski, który otworzył w Warszawie nieustającą wystawę obrazów z losowaniem, wtedy, gdy artyści zmuszeni byli dotąd zbywać swoje prace w sklepie materiałów rysunkowych, gdy od 1845 roku wystawy dzieł sztuki w Warszawie nie było, tak, że nawet w czasie wystawy przemysłowej w 1857 roku sztukom pięknym wystąpić nie pozwolono.

W powietrzu czuć już było wojnę z tym cudzoziemcem, a zbrojono się do niej w sali rysunkowej, którą Gerson dla kolegów w pracowni swojej przy ulicy Miodowej otworzył.

Rysowało się tam na trzecim piętrze, malowało się z żywego modelu wieczorem od 5 do 7-ej, ale i rozprawiało się wiele o sprawach i losach sztuki, a w tych właśnie dyskusjach gromadził się materiał palny.

Było bo o czem, było też i komu rozprawiać.

W sali rysunkowej u Gersona spotykali się: Kostrzewski, Kurella, Maleszewski, Markoni Karol, Rycerski, Simmler Józef, Szermentowski, Suchodolski Zdzisław, Szuppe Alfred, Tegazzo, Zarzycki, Bouchard, Petzold, Jakubowski, Oleszczyński Władysław (rzeźbiarz), Święcki, Sypniewski, Balukiewicz, Bakałowicz, Kosowicz; a później Polkowski, Lerue, Pillati, Pless, Stolcman, Leski, Olszyński, Kaczorowski, Murzynowski, Cegliński, Nowakowski, Wieniawski.

Oprócz kwestyi teoretycznych o sposobach tworzenia, o kierunkach mniej więcej idealistycznych lub naturalistycznych, o szkołach, o rozgraniczeniach na rysowników i kolorystów, mówiono o ciężkich okolicznościach, w jakich wegetować musieli artyści. Warunki bytu dla malarzy były twarde. Małe obrazki płacono po 100 złp., tyleż za portret naturalnej wielkości (popiersie); za ramy do obrazków płacono się zwykle obrazkami. Gersonowi, pod pozorem że „sztuka chleba nie daje“ proponowano malowanie herbów na karetach. Nic więc dziwnego, że od pytań oderwanych rozprawy wracały zawsze ku czterem praktycznym postulatam: 1-o Artyści nie mogą nadal ograniczać się wystawianiem swych prac w sklepie u Hirszla; 2-o nie mogą też wchodzić w stosunki, ani w układy z cudzoziemcem Zmyoskim nieznaney konduity; 3-o skoro władza pozwoliła cudzoziemcom stworzyć wystawę sztuk pięknych stałą, uzna niewątpliwie prawa artystów miejscowych do posiadania takiej lub podobnej wystawy stałej; 4-o w razie przyścia do skutku wystawy, można-by pomyśleć o założeniu Towarzystwa Sztuk pięknych.

Starsi artyści nie okazywali początkowo zaufania do tych projektów, nazywali je „mrzonkami“. Jednak, dzięki niezmordowanym



zabiegom Gersona, otwarto wystawę krajową w dniu 3 lipca 1858 r., a w dwa lata później ziszcila się „mrzonka“ uradzona na Miodowej ulicy na 3 piętrze w sali rysunkowej Gersona, przybyła krajowi instytucya zwana „Towarzystwem zachęty sztuk pięknych“, umożliwiająca szerszy i wyższy rozwój sztuk plastycznych, przez gromadzenie zbiorów, obrazów, dzieł, przez stypendya i konkursy, instytucya, o której kiedyś miał wyrzec Matejko, że „Warszawie i Towarzystwu sztuk pięknych karierę swoją zawdzięcza“.

Wśród zabiegów i prac około losów malarstwa krajowego, wśród działalności noszącej na sobie charakter społeczno - obywatelski, nie drzemie bynajmniej indywidualna twórczość Gersona, który od 1858 r. zwrócił się ku obrazom obyczajowym i historycznym. Niepodobna w tej pobieżnej wzmiance wchodzić w szczegółowy rozbiór jego obrazów. Dodać tu tylko należy, że w miarę dojrzewania artysty, na którego ostateczne wyrobienie wpływały podróże zagraniczne, dzieła jego nabierały coraz więcej czysto duchowych przymiotów. Nad stroną techniczną, nad efektem materyalnym, zapanowała myśl, a im silniejszą była tej myśli przewaga, tem ją Gerson powściągliwiej w języku plastycznym wypowiadał, tem skromniejszych środków do wyrażenia jej używał, jak gdyby artysta najmniej chciał znysły widza zaprzętnąć, a najłatwiej wejść z nim w zetknięcie duchowe. I tu niewątpliwie szukać należy przyczyny słabszej popularności dzieł jego, w stosunku do rozgłosu, jakim cieszyli się znakomici jego koledzy. Pod względem pomysłów musieli mieć nad nim zawsze przewagę ci, których nie w wyborze tematu nie krępuje — bo dla ogółu temat jest połową obrazu; w wykonaniu przewyższał go każdy talent, który się realniej do widza odzywał, bądź realizmem barwy, bądź realizmem w charakterystyce ludzi lub rzeczy.

Jeżeli więc historyczne obrazy Gersona gromadziły około siebie mniejszy zastęp zwolenników, to jeszcze trudniej zyskiwały sobie uznanie te jego pomysły, w których tematy, uduchowiając się coraz bardziej, wkraczają w sferę alegoryi; a właśnie do malarstwa monumentalnego, ściennego, uczuwał zawsze Gerson pociąg szczególny. Każda wielka budowla publiczna była dla artysty pobudką do snucia szeregu pomysłów odpowiednych do jej przeznaczenia; ściana reformacka przy ulicy Senatorskiej, ściana przy kościele ewangelickim, sufity byłego senatu, dolny przysionek teatru wielkiego, zapełniały się w myśli Gersona figurami, kompozycjami malarskimi, którym ludzie lub okoliczności nie dozwoliły wyjść z dziedziny artystycznej wyobraźni, lub ze stanu kartonów, wypełniających tekę autora. Zawody doznawane przez artystę tem były przykrzejsze, im większa była jego bezinteresowność, im bogatsze środki tych, którzy obojętnie lub wy-

mijająco przyjmowali propozycje Gersona. Ale czy można dziwić się profanom, jeżeli później Towarzystwo sztuk pięknych tak często różniło się w zdaniu co do własnych celów, co do zadań i dobra sztuki z tym, który się tyle do istnienia jego przyczynił; jeżeli na przykład Gerson kołatał napróżno do komitetu o założenie organu Towarzystwa, na co mu niezmiennie odpowiadano, „że jest dość pism zagranicznych traktujących o sztuce“? Dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią urzeczywistnił artysta, własnymi, ciężko zapracowanymi środkami, oddawna piastowaną myśl, rozpoczynając wydawnictwo „Świat artystyczny“, które, powalony śmiertelną chorobą, przerwać był zmuszony; natomiast, za czasów swego prezesostwa, usiłował zapełnić przedział, jaki z natury rzeczy istnieć musi między artystami, a ogółem, wykładami publicznymi i pracami literackimi z zakresu teorii i historii sztuki, z których i „Biblioteka Warszawska“ korzystała.

Nie ustawał też wpływ Gersona na młodsze pokolenia artystów, choć na określenie go nie można obecnie użyć wyrażenia: „stworzył szkołę“. Szkoła, pojmowana jako pewien kierunek, nie wychodzi już dzisiaj od jednostki, lecz jest wynikiem ogólnego prądu, ogarniającego różne drogi, któremi myśl ludzka podąża—jednostka jakaś może ją tylko w danej chwili silniej streścić, nie pochłaniając w sobie indywidualności innych. Właściwie mówiąc, szkół artystycznych dziś nie mamy: posiadamy tylko wielkie indywidualności, które, im są silniejszymi, tem silniej skupiają się, wyodrębniają, tem trudniemszym czyniąc naśladownictwo, to jest, bądź co bądź, główny czynnik wszelkiej szkoły. Każdy jest dziś dla siebie mistrzem; nikt nie chce mieć nikogo przed sobą, ani po sobie; „precz ze szkołami!“—oto hasło dzisiejszej twórczości na wszystkich polach.

Nie przesądzając w tej chwili, co sztuka wywalczyć sobie zdoła pod tem hasłem, należy jednak uczynić małe zastrzeżenie na korzyść szkoły, zasługującej, aby ją z pod ogólnej klątwy wyjęto—dla szkoły, w której ludzie czytać się uczą. Malarstwo ma także swoje abecadło, swoją umiejętność czytania, swoją ortografię, swoje rudymenta, bez których obejść się nie zdoła najgenialniejsza organizacja artystyczna; szkołę zaś, w której te rudymenta przyswoić sobie trzeba, przejść musi idealista, zarówno jak realista, naturalista, impresjonista, a choćby tak zwany „niepodległy“,—jest to bowiem jedyna „podległość“, z pod której wyzwolić się niepodobna. Stać na czele takiej szkoły jest dziś może większą zasługą, aniżeli oddając styl własny, indywidualność swoją na pastwę rutyny, przygotowywać nieudolnych kopistów.—W takim, dzisiejszem rozumieniu rzeczy, powiedzieć można śmiało o Gersonie, że „stworzył szkołę“, że wielu artystów, któ-



rych nazwiska zasłynęły w dziejach naszej sztuki, wyszło „ze szkoły Gersona.“

Nauczanie było od najmłodszych lat Gersona prawdziwą namiętnością artysty; uczył, będąc jeszcze w szkole; przez lat 12 (1860—1872), uczył w Instytucie głuchoniemych maluczkich, słabych, upośledzonych i z niewyczerpaną cierpliwością kształcił ich na dzielnych, samoistnych rysowników; w 1872 r. objął po ustępującym Hadzewiczu posadę nauczyciela rysunków i malarstwa w szkole rysunkowej, skąd w ostatnich latach wyszedł cały szereg malarzów, znanych w świecie artystycznym. Wreszcie prywatna pracownia Gersona była szkołą, w której niejednym młodym talentem skrzydeł do lotu próbował, i przez którą przesunęli się, niczem niekrępowani w rozwoju swej indywidualności: Maszyński, Chełmoński, Piotrowski, Piechowski, Fechner, Brochocki, Alchimowicz, Wyczółkowski, Owidzki, Szwojnicki, Waroczewski, Bakałowicz Stefan i inni.

Wyczerpująca charakterystyka działalności artysty, którego śmierć obudziła szczery, głęboki żal we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa, nie jest zadaniem kronikarskiego wspomnienia. Niegdyś Żmichowska streściła świetnie tę charakterystykę, odtwarzając w jednym ze swoich fragmentów („List nie wiem czyj i nie wiem do kogo“) indywidualność Gersona, pod postacią Karola malarza. Naszkicowawszy duchową fazygnomię artysty, zakończyła Gabryela temi słowy: „L mnie się niegdyś zdawało, że się artyści na konieczną pracę według swego talentu rodzą, bo też spotykałam takich jedynie, w których talent był pochłaniającą inne lub wyłączną władzą; dopiero osobistość Karola przekonała mię, że talent wielki, nawet znakomity bardzo talent, może być i być powinien tylko naddatkiem, jedną kosztownością więcej, przyrzuconą do skarbnicy ducha ludzkiego. Karolowi z łatwością przyszło-by wyrzec się ołówka i pędzla, bo Karol poza talentem swoim jest człowiekiem, który potrafi to wszystko, co my potrafimy, chociaż potrafi i to, do czego my zdolni nie jesteśmy. Mam przecie ufność w Bogu, że ten dar łaski przydatniej, że to „więcej,“ co Karol przyniosł z sobą na świat, nie obarczy go zalem ani zmarnowania swego, ani swej bezużyteczności. Dla niego malarstwo nie jest fatalistycznie potrzebnem, ale dla mnie on jest potrzebny malarstwu“.

Trudno o charakterystyczniejsze, dosadniejsze określenie. Gerson potrzebny był sztuce naszej; ciche, łagodne, a stałe promieniowanie jego działalności potrzebne było obok olśniewających, meteorycznych błysków, które otworzyły Europie oczy na świetność tej

sztuki. I dlatego na owo promieniowanie zwróciliśmy tu uwagę. Trzeba żeby, gdy mowa będzie o Gersonie, wiedziano i umiano o nim powiedzieć coś więcej prócz banalnego ogólnika o płowym kolorycie; trzeba, żeby w zdaniu o artyście, w braku entuzjastycznych uniesień, znalazła miejsce sprawiedliwość, uznająca i oceniająca wszechstronne zasługi, które nazwisko Wojciecha Gersona pozwalają wypisać na czele karty z nowszych dziejów naszego malarstwa.



---

## Wiadomości bibliograficzne.

— Wydział historyczno-filozoficzny Krakowskiej Akademii Umiejętności wydał tom XV seryi II swoich rozpraw (ogólnego zbioru tom czterdziesty). Znajdujemy tam prace: W. Kętrzyńskiego: „O Słowianach, mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Sałą i czeską granicą“; W. Nowodworskiego: „Lata szkolne Jana Zamoyskiego“; O. Balzera: „W sprawie sankcyi statutu mazowieckiego pierwszego, z roku 1532“; F. Buiaka: „Kalimach i znajomość państwa tureckiego w Polsce około początku XVI wieku“ i S. Kutrzeby: „Sądy ziemskie i grodzkie w wiekach średnich. I. Województwo Krakowskie (1374 — 1501).“

— Władysław Smoleński wydał dwa tomy swoich „Pism historycznych“. Treść pierwszego tomu jest następująca: Szlachta w świetle własnych opinii. Szlachta w świetle opinii wieku XVIII. Jędrzeja Święcickiego opis Mazowsza. Szlachta w poddaństwie proboszczów płockich. Drobną szlachtą w Królestwie Polskiem. Wiara w życiu społeczeństwa polskiego. Książd Marek, cudotwórca

i prorok Konfederacji Barskiej. Onufry Korytyński. Cezar Pyrhys de Varrille. Przyczyny upadku projektu kodeksu Zamoyskiego. — W tomie drugim znajdujemy rozprawy: Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce wieku XVIII. Kalendarze w Polsce wieku XVIII. Żywioly zachowawcze i Komisya edukacyjna. Polska szkoła orientalna w Stambule (1766—1795). Stan i sprawa żydów polskich w XVIII wieku. Kuźnica Kollątajowska. Uwięzienie Kollątaja. — Obszerniejsza ocena tego dzieła ukaże się wkrótce w „Bibliotece“.

— Nakładem Akademii Umiejętności wyszła praca Piotra Bieńkowskiego pod tytułem: „De simulacris Barbarorum Gentium apud Romanos“ z równoległymi podaniami tekstami polskim i niemieckim i z pięknymi w tekście ilustracyami. Zeszyt, poświęcony uosobieniom ludzi u Rzymian, jest pierwszym owocem studyów autora nad postaciami barbarzyńców w sztuce greckiej i rzymskiej; stanowi on osobną całość i przedstawia metodę, której badacz zamierza trzymać się w obrobieniu całego materiału, a która polega na tem, że zabytki mają być podzielone na grupy typologiczne, to jest nie wedle czasu i miejsca, ani też wedle materiału i techniki, ale wyłącznie wedle zewnętrznych właściwości fizyognomii i stroju.

— Edward Bogusławski podał w broszurze o 100 stronicach „Metodę i środki poznania czasów przedhistorycznych w przeszłości Słowian“. Praca ta wydana jest z zapomogi Kasy pomocy d-ra Mianowskiego.

— Zeszyt IV tomu trzeciego „Herbarza polskiego“ Adama Bonieckiego wyszedł z druku i zawiera herby: Chrzanowskich, Chudzewskich, Chudzińskich, Chusteckich, Chwalczewskich, Cwalibogów, Chwalińskich, Chwalisławów, Chwałkowskich, Chybskich, Chyckich, Chyrzewskich, Chyjeńskich, Chyleckich, Chylickich, Chyliczkowskich i innych aż do Ciecierskich.

— Ukazał się zeszyt I roku IV „Przeglądu Filozoficznego“, mieszczący w sobie rozprawę Władysława Gosiewskiego: „Zarys teorii Matematycznej monadologii“, Przegląd krytyczny oraz autoreferaty prof. Struvego, d-ra Jerzego Żuławskiego, prof. Maurycego Straszewskiego i d-ra Halperna.

— A Schopenhauera „Psychologii miłości“ w tłumaczeniu A. L. wyszła druga edycja.

— „Prawo mniejszości“ d-ra Jerzego Jellinka, prof. prawa w Heidelbergu, przełożył S. Posner i wydał z przedmową Aleksandra Świętochowskiego.



— Do „Biblioteki dzieł chrześcijańskich“, wydawanej przez ks. Zygmunta Chełmickiego, przybył drugi tom „Historji powszechnej Kościoła katolickiego“ Józefa kardynała Hergenröthera.

— Ks. Adolf Szelażek, regens konsystorza plockiego, wydał własnym nakładem „Nauki apologetyczne, zastosowane do potrzeb i wymagań ducha inteligencji“.

— W Krakowie wyszło studjum krytyczne ks. d-ra Józefa Karczmarczyka, pod tytułem: „Ireneusz z Lugdunu a nasze ewangelie“.

— Do dzieła swego: „Pogląd na ustrój przyrody“, dedykowanego wykształconej młodzieży płci obojg, wydał p. Józef Zagrzejewski „Suplement, zawierający streszczenie, objaśnienie i uzupełnienie poglądów, w tenże dziele zawartych“.

— „Jak się mamy żywić, czyli pożytek pokarmów“. Broszurę, pod tym tytułem napisaną przez P. Weigulda przetłumaczył Gustaw Chwat-Czyński.

— Jako przyczynek do historii rolnictwa w Polsce ukazała się „Brona podlaska“ przez Tymoteusza Łuniewskiego.

— Dział belletrystyki wzbogacił się w ubiegłym miesiącu powieściami i nowelami, na których czele notujemy: Adama Krechowickiego: „Fiat lux“, obraz historyczny z czasów Jadwigi Jagielly; Wiktora Gomulickiego: „Biała“, „Chałat“, „Te przeklęte czarne oczy“, „Kwiaty z lasu“; A. Suszczyńskiej: „Przekonaną“. Nadto Cecylia Walewska wydała fantazyę powieściową pod tytułem: „Bez duszy“; w Kijowie zaś ukazały się „Obrazki“ Pazia. W nowelistycznej formie wreszcie traktuje dr Władysław Cichoński szkice z praktyki sędziowskiej na powiecie, wydane pod ogólnym tytułem: „Z życia sędziowskiego“.

— W „Bibliotece dzieł wyborowych“ mamy do zanotowania dwa tomy (172 i 173) nowel i opowiadań O. Ludwika Colomy, pod tytułem: „A pfeł“, „Tumany i kałuże“ przez H. J. z hiszpańskiego przełożonych i poprzedzonych przedmową Hajoty, oraz pierwszy tom (174) powieści Maryi Rodziewiczówny, pod tytułem: „Błękitni“.

— Zeszyt pierwszy, styczniowy, miesięcznika: „Chimera“, poświęconego literaturze i sztuce, wyszedł w ozdobnem wydaniu i zawiera następujące

utwory: Miriama: „Pamięci Zeyera“; Juliusza Zeyera: „Na Synaj“; Zenona Przesmyckiego: „Los geniuszów“; Jana Kasprowicza: „Moja pieśń wieczorna“. Cypryana Norwida: „Ad leones“; Edwarda Porębowicza: „Z poezyi ludowej duńsko-norweskiej“; Stanisława Przybyszewskiego: „Synowie ziemi“ (część I-sza); Jana Lemańskiego: „Żal“, „Ruch etyczny“; Józefa Ruffera: „Pies“, „Zakłete skarby“; Leopolda Stoffa: „Gra“, „Wspomnienie“, „Rzeźbiarz“; Kazimiery Zawistowskiej: „Magdalena“, „Święte“; Henryka Zbierzchowskiego: „Las“, „Jesienią“; hr. de Villiers de l'Isle Adam: „Axel“, oraz „Kronikę miesięczną“.

— Natalia Osterloff wydała: „Podręcznik nauki języka francuskiego“.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

**Michał Kołłążę Radziwiłł.**